

KLASYKA LITERATURY AMERYKAŃSKIEJ
NATIONAL BOOK AWARD 1962

KINOMAN



walker
percy

***Kinoman* ukazał się na amerykańskim rynku
wydawniczym w 1961 roku.
Percy'ego szybko okrzyknięto czołowym głosem
literatury amerykańskiego Południa, a samą powieść
nagrodzono prestiżową *National Book Award*.
Dziś pozycja ta weszła do klasyki literatury
amerykańskiej.**

„Percy to wybitny pisarz. Jego proza zapiera dech w piersiach”.
The New York Times Book Review

„Zaskakująca w swojej oryginalności, emanująca mądrością.
Percy posiada rzadki talent tworzenia postaci zupełnie nietuzin-
kowych – cokolwiek robią, o czymkolwiek mówią, czytelnik ma
wrażenie, że słyszy te historie po raz pierwszy w życiu”.

Time

„Tę bezsilność, która dopada tyłu z nas i zakorzenia się gdzieś
w najgłębszych zakamarkach naszej duszy, Percy potraktował
z odpowiednią dozą powagi i humoru, perfekcyjnie wyważając
rozżalenie i apatię”.

Time

„Percy to jeden z najznakomitszych pisarzy. Etyczne rozterki i filo-
zoficzna głębia jego dzieł sprawiają, że stanowi klasę sam dla siebie”.
National Review

„Osobliwa, delikatna, skonstruowana w taki sposób, by skłaniać
do refleksji.”

San Francisco Chronicle

ISBN: 978-83-89779-80-8



9 788389 779908

Cena detaliczna: 29,00 zł



walker

percy

KINOMAN

Z języka angielskiego przełożył

Marek Fedyszak



Tytuł oryginału:
THE MOVIEGOER

Copyright © 1960,1961 by Walker Percy Copyright
© renewed 1988,1989 by Walker Percy

Copyright © 2007 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copy-
right © 2007 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga
Zdjęcie na okładce: Corbis

Redakcja: Mariusz Kulan Korekta:
Beata Iwicka, Jolanta Olejniczak

ISBN: 978-83-89779-90-8

Dystrybucja:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp.z.o.o
ul. Poznańska 91 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax (22)721 30 00
e-mail: hurt@olesiejuk.pl
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa:
www.merlin.com.pl
www.empik.com

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice
tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl

Katowice 2007. Wydanie I
Druk: Drukarnia Lega, Opole

WALKER PERCY

KINOMAN

Walker Percy urodził się w Birmingham w Alabamie w 1916 roku. W 1937 roku ukończył studia na University of North Carolina, a cztery lata później uzyskał doktorat z medycyny na Columbia University. Pierwsza powieść jego autorstwa, *Kinoman*, została uhonorowana National Book Award w 1962 roku. Inne utwory Percyego to powieści: *The Last Gentleman* (1966), *Love in the Ruins* (1971), *Lancelot* (1977), *The Second Coming* (1980), *The Thanatos Syndrome* (1987) oraz dwa tomy esejów: *The Message in the Bottle* (1975) i *Lost in the Cosmos: The Last Self-Help Book* (1983). Pisarz zmarł w 1990 roku.

Inne książki **WALKERA PERCY'EGO**

POWIEŚCI

The Last Gentleman (1966)

Love in the Ruins (1971)

Lancelot {WH}

The Second Coming (1980)

The Thanatos Syndrome (1987)

ESEJE

The Message in the Bottle (1975) *Lost in*

the Cosmos: The Last Self-Help Book (1983)

Z WYRAZAMI WdzięCzności

DLA

W.A.P.

... Szczególną cechą rozpaczy
jest właśnie to, iż nie uświadamia
sobie, że jest rozpaczą.

SØREN KIERKEGAARD,
Choroba na śmierć

Poniższa historia jest wytworem wyobraźni. Wszyscy jej bohaterowie, z wyjątkiem gwiazd filmowych, i wszystkie wydarzenia są fikcyjne. Podobieństwo do prawdziwych osób jest niezamierzone i nie powinno nasuwać żadnych skojarzeń. Gdy wspominam o gwiazdach filmowych, nie chodzi o konkretnych aktorów, lecz o postacie, które przedstawiają na ekranie. Topografia Nowego Orleanu i okolicznych zalewisk została nieznacznie zmieniona. Jeśli chodzi o „gminę Feliciana”, to istnieją gminy o nazwach East Feliciana oraz West Feliciana, ale nie znam tam nikogo.

Rozdział pierwszy

1

Dziś rano otrzymałem od mojej ciotki bilecik z zaproszeniem na lunch. Wiem, o co chodzi. Ponieważ co niedzielę bywam u niej na obiedzie, a dzisiaj jest środa, może to oznaczać tylko jedno: ciotka chce odbyć ze mną kolejną poważną rozmowę. Zapewne niezwykle zasadniczą - albo otrzymam jakąś złą wiadomość o jej pasierbicy Kate, albo porozmawiamy poważnie o mnie, o mojej przyszłości i o tym, co powinienem robić. Już to wystarczy, by się śmiertelnie przerazić, ja jednak nie uważam tego za rzecz z gruntu nieprzyjemną.

Pamiętam, jak mój starszy brat Scott zmarł na zapalenie płuc. Miałem wtedy osiem lat. Ciotka opiekowała się mną wtedy i zabrała mnie na spacer ulicą za budynek szpitala. Było to ciekawe miejsce. Po jednej stronie znajdowały się siłownia, wentylatory oraz szpitalne krematorium, szumiące i wydychające gorący dym o mocnej woni. Po drugiej stał rząd murzyńskich domów. Psy, dzieci i starcy przyglądali się nam, siedząc na werandach. Z przyjemnością zauważyłem, że ciotka Emily dysponuje chyba całym czasem tego świata i jest skłonna ze mną rozmawiać, o czym tylko zechcę. Na pewno stało się coś niezwykłego. Szliśmy powoli w równym tempie.

- Jack - powiedziała, obejmując mnie mocno i uśmiechając się do murzyńskich bud. - Ty i ja zawsze byliśmy dobrymi kumplami, prawda?

- Tak, ciociu. - Serce mi zadrżało, a włosy na karku zjeżyły się jak psu.

- Mam dla ciebie złe wieści, chłopcze. - Objęła mnie mocniej niż kiedykolwiek. - Scotty nie żyje. Teraz wszystko zależy od ciebie. Będzie ci trudno, ale wiem, że zachowasz się jak żołnierz.

Powiedziała prawdę. Tak umiałem się zachować z łatwością. To wszystko, co musiałem zrobić?

Przypomniało mi to o filmie, który widziałem w zeszłym miesiącu nad jeziorem Pontchartrain. Pojechałem z Lindą do kina na nowym przedmieściu. Najwyraźniej ktoś się przeliczył, przedmieście bowiem przestało się rozrastać i kino - różowa, ozdobiona sztukaterią kostka - stało w szczerym polu. Wiał silny wiatr i fale uderzały o wał nadmorski; ich łoskot słychać było nawet w budynku. Film opowiadał o człowieku, który utracił pamięć w wypadku i wskutek tego stracił wszystko: rodzinę, przyjaciół, pieniądze. Samotny znalazł się w obcym mieście. Musiał zacząć od zera, szukać mieszkania, pracy, dziewczyny. Utrata wszystkiego była tragedią i wydawało się, że bohater filmu bardzo cierpi. Z drugiej strony jego sytuacja nie była przecież taka zła. Błyskawicznie znalazł nowe lokum, łódź mieszkalną na rzece i bardzo ładną dziewczynę, miejscową bibliotekarkę.

Po projekcji staliśmy pod markizą i rozmawialiśmy z kierownikiem kina, a raczej słuchaliśmy, jak opowiada o swoich kłopotach - sala kinowa świeciła pustkami, co mnie sprawiło przyjemność, ale jemu nie. Noc była piękna i czułem się świetnie. W górze rozciągało się najczarniejsze niebo, jakie kiedykolwiek widziałem; czarny wiatr pchał ku nam wody jeziora. Fale przeskakiwały nad falochronem i rozbryzgiwały się na ulicy. Kierownik musiał krzyknąć, żebyśmy go mogli usłyszeć

- z głośnika umieszczonego tuż nad jego głową dobiegała paplanina dotkniętego amnezją bohatera filmu i bibliotekarki. Właśnie leciał fragment, w którym przeglądali roczniki gazet w poszukiwaniu rozwiązania problemu jego tożsamości (mężczyzna pamiętał wypadek jak przez mgłę). Linda stała nieszczęśliwa obok. Była nieszczęśliwa z tego samego powodu co ja

- ponieważ sterczeliśmy przed kinem w zapadłej dziurze, bez samochodu (mam wóz, ale wolę jeździć autobusami i tramwajami). Dla Lindy szczęście to jazda samochodem do centrum i kolacja w Sali Błękitnej hotelu Roosevelt. Od czasu do czasu muszę więc tam jeździć. Warto jednak to robić. W takich wypadkach Linda wpada w takie uniesienie, jak ja teraz. Jej oczy promienieją, wargi stają się wilgotne, a gdy tańczymy, ociera się pięknymi długimi nogami o moje uda. W takich chwilach naprawdę mnie kocha - i to nie za to, że zabrałem ją do Sali Błękitnej. Kocha mnie, bo czuje uniesienie w tym romantycznym miejscu, a nie w jakimś kinie w zapadłej dziurze.

Ale to wszystko już przeszłość. Rozstaliśmy się z Lindą. Mam teraz nową sekretarkę, dziewczynę imieniem Sharon. Sharon Kincaid.

Od czterech lat żyję sobie spokojnie w Gentilly, nowoorleańskim przedmieściu zamieszkałym przez przedstawicieli klasy średniej. Gdyby nie bananowce na patio i zakrętasy z żelaza na drugistorze Walgreen, nikt by nie odgadł, że jest ono częścią Nowego Orleanu. Większość domów to albo kalifornijskie bungalowy w starym stylu, albo daytońskie domki. Właśnie to podoba mi się w Gentilly. Nie znoszę staroświeckiej atmosfery French Quarter ani pretensjonalnego uroku Garden District. W dzielnicy francuskiej mieszkałem przez dwa lata, w końcu jednak znużył mnie widok biznesmenów z Birmingham uśmiechających się z afekcją w pobliżu Bourbon Street, homoseksualistów oraz wysiadujących na patio osób na Royal Street. Mój stryj i ciotka mają przyjemny dom w Garden District i w stosunku do mnie

są bardzo życzliwi. Lecz ilekroć próbuję tam zamieszkać, najpierw wpadam w furję — wtedy wyrabiam sobie zdecydowany pogląd na rozmaite tematy i pisuję listy do wydawców - potem zaś w przygnębienie i wówczas godzinami leżę jak kłoda, gapiąc się w gipsowy medalion na suficie mojej sypialni.

Życie w Gentilly płynie bardzo spokojnie. Kieruję małą filią biura maklerskiego mojego stryja. Zajmuję suterенę podwyższonego bungalowu należącego do pani Schexnaydre, wdowy po strażaku. Jestem wzorowym lokatorem oraz wzorowym obywatelem i znajduję przyjemność w robieniu wszystkiego, czego się ode mnie oczekuje. Mój portfel jest pełen identyfikatorów, kart bibliotecznych i kredytowych. W zeszłym roku kupiłem płaską kasę pancerną w kolorze khaki, bardzo gładką i solidną, z podwójnymi ściankami chroniącymi przed ogniem, w której umieściłem swoje świadectwo urodzenia, dyplom college'u, świadectwo honorowego zwolnienia z wojska, ubezpieczenie wojskowe, kilka świadectw udziałowych i moją spuściznę: akt posiadania terenu zlikwidowanego klubu myśliwskiego w gminie St Bernard, jedynej pozostałości licznych pasji mojego ojca. To przyjemność spełniać obowiązki obywatela i w zamian otrzymać pokwitowanie lub gustowną polistyrenową kartę z nazwiskiem, poświadczającą niejako czyjeś prawo do istnienia. Jakaż satysfakcję sprawia mi pojawianie się pierwszego dnia, żeby dostać naklejkę na samochód! Prenumeruję „Consumer Reports” i w rezultacie jestem właścicielem pierwszorzędnego telewizora, bynajmniej nie bezgłośnego klimatyzatora oraz bardzo trwałego dezodorantu. Pachy nigdy mi nie śmierdzą. Zwracam uwagę na wszystkie spoty reklamowe w radiu na temat zdrowia psychicznego, siedmiu oznak raka, bezpiecznego prowadzenia samochodu - choć, jak mówiłem, wolę jeździć autobusami. Wczoraj mój ulubieniec, William Holden, odczytał radiowe ogłoszenie o osobach zaśmiecających miejsca publiczne. „Spójrzmy prawdzie w oczy - oznajmił. - Tylko ty i ja możemy temu zaradzić”. To prawda. Odtąd dbam o czystość.

Wieczorami zwykle oglądam telewizję lub idę do kina. Weekendy często spędzam na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej. Na markizie kina w naszym sąsiedztwie widnieje napis: „Tutaj szczęście kosztuje tak niewiele”. Fakt faktem, że oglądając film, nawet kiepski, jestem szczęśliwy. Inni, tak czytałem, zachowują w sercu pamiętne chwile swojego życia: wieczór, gdy ktoś wspiął się o zachodzie słońca na Partenon, letnią noc, kiedy spotkał w Central Parku samotną dziewczynę i nawiązał z nią miłe i naturalne stosunki, jak piszą w książkach. Ja również poznałem kiedyś jedną dziewczynę w Central Parku, ale niewiele jest do wspomniania. Pamiętam za to moment, gdy John Wayne zastrzelił trzech ludzi, padając na pokrytą pyłem ulicę w *Dyżanie*, oraz chwilę, gdy kotka znalazła Orsona Wellesa w drzwiach mieszkania w *Trzecim człowieku*.

Podczas tych wieczornych wypadów i weekendowych wycieczek zazwyczaj towarzyszy mi moja sekretarka. Miałem do-
tąd trzy sekretarki: Marcie, Lindę, a teraz Sharon. Dwadzieścia lat temu praktycznie co druga dziewczynka urodzona w Gentilly musiała mieć na imię Marcia. Mniej więcej rok później - Linda. A potem Sharon. W ostatnich latach zauważyłem, że modne stało się imię Stephanie. Wczoraj wieczorem widziałem w telewizji sztukę o próbnym wybuchu jądrowym. Keenan Wynn grał rolę zaniepokojonego fizyka, którego gryzło sumienie. Chodził na samotne spacerunki po pustyni. Jednak było widać, że w głębi serca dobrze się bawi swoim poszukiwaniem duszy. „Jakie mamy prawo robić to, co robimy?” - pytał kolegów zgorzkniałym głosem,, „Tak naprawdę myślę o swojej czteroletniej córce” - wyjaśnił innemu fizykowi, wyjmując jej fotografię. - „Jaką przyszłość jej gotujemy?”. „Jak ma na imię twoja córka?” - zapytał tamten, patrząc na zdjęcie. „Stephanie” - odparł burkliwie Keenan Wynn. Dźwięk tego imienia wywołał ostre mrowienie na moim karku. Za dwadzieścia lat być może przy mojej maszynie do pisania zasiądzie młoda, rumiana Stephanie.

Chciałbym oczywiście powiedzieć, że zdobywałem te wspaniałe dziewczyny, moje sekretarki, i że zmieniałem je niczym stare rękawiczki, ale nie byłoby to do końca prawdą. Chyba można by to nazwać fascynacjami. W każdym razie zaczynało się od fascynacji, od czystego beztroskiego zachwytu, kiedy Marcia bądź Linda (ale jeszcze nie Sharon) i ja pędziliśmy wzdłuż wybrzeża, leżeliśmy objęci w jakiejś opustoszałej zatoczce na Ship Island i nie mogliśmy uwierzyć w nasze szczęście oraz w to, że świat w ogóle może pomieścić tyle szczęścia. Jednak w przypadku Marcii i Lindy wszystko skończyło się właśnie wtedy, gdy myślałem, że nasze związki wchodzą w najlepszą fazę. Atmosfera w biurze zaczęła się robić gęsta od niemych wyrzutów. Każde zamienione przez nas słowo lub spojrzenie było obciążone tysiącem ukrytych znaczeń. Rozmowy telefoniczne, złożone przeważnie z długich chwil milczenia, w których łamałem sobie głowę nad tym, co powiedzieć, a po drugiej stronie linii słyszałem tylko westchnienia, odbywały się o wszystkich porach nocy. Gdy w słuchawce pojawiają się te długie momenty ciszy, to nieomylny znak, że miłości już nie ma. Nie, to nie były podboje — w końcu mieliśmy siebie nawzajem tak dosyć, że rozstawaliśmy się z wielką ulgą.

Pośredniczę w sprzedaży akcji i obligacji. To prawda, że rodzina była trochę zawiedziona moim wyborem profesji. Kiedyś zamierzałem parać się prawem lub medycyną czy w ogóle nauką. Marzyłem nawet o dokonaniu czegoś wielkiego. Wiele jednak przemawia za tym, by zrezygnować z wielkich ambicji i wieść najzwyczajniejsze życie, życie bez dawnych pragnień - sprzedawać akcje, obligacje oraz udziały w spółkach lokacyjnych, kończyć pracę o piątej, jak wszyscy, mieć dziewczynę i może pewnego dnia usatkwować się i wychowywać gromadkę własnych Marcii, Sandr i Lind. Branża maklerska też nie jest tak nieciekawa, jak można by sądzić. To wcale nie jest złe życie.

Mieszkamy, pani Schexnaydre i ja, przy Elysian Fields, głównej ulicy Faubourg Marigny. Choć ta ulica miała, podobnie

jak jej paryska imienniczka, pełnić funkcję najwspanialszego bulwaru miasta, coś poszło nie tak i dziś biegnie od rzeki do jeziora, otoczona niczym się niewyróżniającymi centrami handlowymi oraz kwartałami mieszkalnymi pełnymi bungalów, bliźniaków i podniesionych domków. Jest jednak bardzo szeroka i przestronna, i zdaje się rozciągać jak podniebne pole. W sąsiedztwie domku pani Schexnaydre stoi nowa szkoła. W letnie wieczory po pracy mam zwyczaj brać prysznic, wkładać koszulę oraz spodnie i wchodzić na opustoszały szkolny plac zabaw. Siadam tam na „morskiej fali” i rozkładam repertuar kinowy z „Times-Picayune” z jednej strony, książkę telefoniczną z drugiej, a plan miasta na kolanach. Po dokonaniu wyboru i wykreśleniu trasy - często prowadzącej do odległej dzielnicy, takiej jak Algiers lub St Bernard — przechadzam się po dziedzińcu szkoły i podziwiam budynek. Wszystko jest tak nieskazitelnie czyste: aluminiowe ramy otwieranych pionowo okien osadzone w murze i ozłoczone w blasku zachodu słońca, ładne lastrykowe posadzki i biurka wyprofilowane niczym skrzydła. Nad drzwiami wisi na drutach schematycznie wyobrażony ptak, symbolizujący, jak sądzę, Ducha Świętego. Myśl o tym, że cegła, szkło i aluminium są wydobywane ze zwykłej ziemi, daje mi przyjemne poczucie wartości stworzenia - choć bez wątpienia to odczucie raczej merkantylne niż religijne, ponieważ jestem właścicielem kilku akcji firmy Alcoa. Jakże gładkim, dobrze dopasowanym i oszczędnym materiałem wydaje się aluminium!

Lecz sytuacja uległa nagłej zmianie. Moje spokojne życie w Gentilly skomplikowało się. Dziś rano po raz pierwszy od lat nadarzyła mi się sposobność do poszukiwań. Śniłem o wojnie, nie, niezupełnie śniłem, lecz obudziłem się z posmakiem tego snu w ustach, z mdlącym pigwowym posmakiem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku i Orientu. Przypomniałem sobie ten pierwszy raz, gdy wpadłem na pomysł poszukiwań. Ocknąłem się wówczas pod krzakiem *chindolea*. W moim odczuciu wszystko stoi na głowie - wyjaśnię to

później. To, co na ogół uważa się za najlepsze czasy, dla mnie było najgorszym okresem, a te najgorsze były jednymi z najlepszych. Ramię mnie nie bolało, ale było mocno dociśnięte do ziemi, jakby ktoś na mnie siedział. Kilkanaście centymetrów od mojego nosa pod liśćmi wędrował żuk gnojak. Gdy go obserwowałem, obudziła się we mnie niezmierna ciekawość. Natrafiłem na trop. Poprzysiągłem sobie, że jeżeli wyjdę z tego, będę dalej prowadził poszukiwania. Oczywiście, gdy tylko wyzdrowiałem i dotarłem do domu, zupełnie o tym zapomniałem. Ale kiedy wstałem dziś rano, ubrałem się jak zwykle i jak zwykle zacząłem wkładać do kieszeni swoje rzeczy - portfel, notes (do zapisywania przelotnych myśli), ołówek, klucze, chusteczkę i kieszonkowy suwak logarytmiczny (do obliczania dochodu od kapitału) - wydały mi się one obce, a zarazem dostarczały mnóstwa wskazówek. Stałem na środku pokoju i spoglądałem na mały stos przez „okular” utworzony przez mój kciuk i palec wskazujący. Obce były przez to, że je dostrzegałem. Równie dobrze mogły być własnością kogoś innego. Człowiek może patrzeć na taki stosik na swojej sekreterze przez trzydzieści lat i ani razu go nie zobaczyć. Jest równie niewidoczny jak jego dłoń. Jednak z chwilą, gdy go zobaczyłem, poszukiwanie stało się możliwe. Wykąpałem się, ogoliłem, ubrałem się starannie, usiadłem przy biurku i zacząłem grzebać w tym stosie w poszukiwaniu wskazówki, tak jak detektyw w serialu telewizyjnym grzebie w rzeczach nieboszczyka, używając do tego ołówka.

Myśl o poszukiwaniach świta mi ponownie w głowie, gdy zmierzam do domu mojej ciotki, jadąc autobusem przez Elysian Fields. Fakt faktem, nie lubię samochodów. Ilekroć prowadzę samochód, mam wrażenie, że jestem niewidzialny. Ludzie na ulicy nie widzą kierowcy; obserwują jedynie tylny zderzak auta do momentu, gdy pojazd zjedzie im z drogi. Elysian Fields to nie najkrótsza trasa do domu ciotki. Mam jednak powody, by jechać przez French Quarter. Dziś rano wyczytałem w gazecie,

że William Holden jest w Nowym Orleanie i kręci kilka scen na Place d'Armes. Może go gdzieś zobaczę.

Jest ponury marcowy dzień. Torfowiska w Chef Menteur wciąż płoną i niebo nad Gentilly ma kolor popiołu. W autobusie tłoczą się ludzie ze sprawunkami, niemal wyłącznie kobiety. Szyby w oknach są zaparowane. Siedzę z przodu, na fotelu ustawionym bokiem do kierunku jazdy. Obok siedzi kilka kobiet, inne stoją nade mną. Na długiej ławce z tyłu widzę pięć Murzynek o skórze tak czarnej, że cała tylna część autobusu wydaje się zaciemniona. Bezpośrednio obok mnie, na pierwszym siedzeniu poprzecznym, siedzi bardzo urodziwa dziewczyna. Jest dobrze zbudowana, ale bynajmniej nie za duża, okryta od stóp do głów celofanem, z kapturem ściągniętym w tył. Widzę hełm jej czarnych lśniących włosów. Wygląda wspaniale z pękniętym zębem i rozdzieloną na czole równo obciętą grzywką a la księżę Val. Szare oczy i szerokie czarne brwi, zgrabna ręka i piękna krągła łydka nad celofanowym butem. Jedna z tych samotnych Amazonek, które widuje się na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy w Nowym Jorku lub w Nieman Marcus w Dallas. Nasze spojrzenia się spotykają. Myślę się, czy też kącik jej ust nieznacznie się cofa, a dolna warga odchyła? Ona się uśmiecha — do mnie! Mój umysł odkrywa pół tuzina sposobów na to, by uniknąć strasznej chwili rozstania. Niewątpliwie dziewczyna jest Teksanką. Te wspaniałe Amazonki niemal zawsze się mylą w ocenie mężczyzn. Większość facetów się ich boi, więc padają ofiarą pierwszego małego Mickeya Rooneya, jaki się napatoczy. W lepszym świecie mógłbym powiedzieć: „Chodź, moja droga, widzisz przecież, że cię kocham. Jeżeli masz zamiar poznać jakiegoś małego Mickeya, to się zastanów”. Jakże tragiczne jest to, że jej nie znam, że przypuszczalnie nigdy więcej jej nie zobaczę. Jak dobrze moglibyśmy się zabawić! Już dziś po południu moglibyśmy mknąć wzdłuż wybrzeża. Jakież względy i czułość mógłbym jej okazać! Gdyby to był film, musiałbym jedynie poczekać. Kierowca autobusu zgubiłby drogę lub miasto zostałoby zbombardowane i razem

opatrywalibyśmy rannych. W rzeczywistości zaś mogę spokojnie przestać o niej myśleć.

I właśnie wtedy przychodzi mi do głowy pomysł poszukiwań. Pochłonięty nim, na parę minut zapominam o dziewczynie.

Na czym polega istota tych poszukiwań? - zapytacie.

To naprawdę bardzo proste, przynajmniej dla gościa takiego jak ja; tak proste, że łatwo to przeoczyć.

Poszukiwanie jest czymś, co każdy by podjął, gdyby nie był pochłonięty codziennością swojego życia. Dziś rano, na przykład, ocknąłem się na nieznaney wyspie. I co robi taki rozbitek? Myszkuje po okolicy i bacznie obserwuje.

Stać się świadomym możliwości poszukiwania, znaczy natrafić na trop. Nie natrafić na trop, znaczy być w rozpacz.

Filmy natrafiają na trop, ale go gubią. Poszukiwanie w nich pokazane zawsze kończy się rozpaczliwie. Filmowcy lubią zaprezentować jakiegoś człowieka odzyskującego świadomość w obcym miejscu — ale co on potem robi? Zadaje się z miejscową bibliotekarką, zaczyna udowadniać miejscowym dzieciom, jakim jest miłym facetem, i usatkwuje się. Po dwóch tygodniach jest tak pochłonięty codziennością, że równie dobrze mógłby nie żyć.

Czego szukasz? Boga? - zapytacie z uśmiechem.

Waham się nad odpowiedzią, ponieważ wszyscy pozostali Amerykanie rozstrzygnęli tę sprawę indywidualnie, a udzielenie twierdzącej odpowiedzi oznaczałoby wyznaczenie sobie celu, który wytknęli inni - i podjęcie kwestii, która nikogo w ogóle nie interesuje. Kto chce być na szarym końcu wśród stu osiemdziesięciu milionów Amerykanów? Jak wszystkim bowiem wiadomo, według badań opinii publicznej dziewięćdziesiąt osiem procent obywateli naszego kraju wierzy w Boga, a pozostałe dwa procent to ateści i agnostycy — co nie pozostawia dla poszukiwacza ani jednego punktu procentowego. Co do mnie, udział w badaniach opinii cieszy mnie tak samo jak wszystkich, znajduję

też przyjemność w udzielaniu inteligentnych odpowiedzi na wszystkie pytania ankietarów.

Prawdę mówiąc, to strach przed obnażeniem ignorancji zmusza mnie do zatajenia przedmiotu moich poszukiwań. Po pierwsze bowiem, nie potrafię nawet odpowiedzieć na najprostsze i najbardziej podstawowe ze wszystkich pytań: czy w swoich poszukiwaniach wyprzedzam moich rodaków o dziesiątki mil, czy też jestem o dziesiątki mil za nimi? To znaczy: czy dziewięćdziesiąt osiem procent Amerykanów znalazło już to, czego szukam, czy też są tak pochłonięci codziennością, że do głowy nie przychodzi im nawet myśl, że można czegoś szukać?

Słowo daję, nie znam odpowiedzi.

Gdy autobus wspina się na estakadę - betonowe wzgórze, z którego roztacza się piękna panorama Nowego Orleanu - uświadamiam sobie, że ze zmarszczonym czołem wpatruję się we wspaniałą młodą łądkę przyodzianą w stalowoszary nylon. Teraz dziewczyna ponad wszelką wątpliwość zdaje sobie sprawę z mojego zainteresowania: gwałtownie obciąża płaszcz przeciwdeszczowy i rzuca mi rozdrażnione spojrzenie — a może mi się zdaje? Muszę się upewnić, unoszę więc kapelusz i uśmiecham się do niej, by przekazać, że jeszcze możemy się zaprzyjaźnić. Ale to na nic. Straciłem ją bezpowrotnie. Dziewczyna wybiega z autobusu z głośnym szelestem celofanu.

Wysiadam przy Esplanade - w powietrzu czuję zapach prażonej kawy i kreozotu - i idę w górę Royal Street. Dolna część French Quarter jest najlepsza. Żelazne balustrady balkonów wyglądają jak sparciała koronka. Francuskie domki kryją się za wysokimi murami. Przez głębokie podjazdy migają w przelocie dziedzińce porośnięte dżunglą chwastów.

Dzisiaj dopisuje mi szczęście. Z Pirates Alley, o pół przecznicy przede mną, wyłania się nie kto inny, jak William Holden!

Aktor przechodzi na drugą stronę Royal Street i skręca ku Canal Street. Na razie nikt go nie zauważył. Turyści albo oglądają wystawy sklepów z antykami, albo pstrykają zdjęcia balko-

nów. Holden zapewne wybrał się na lunch do Galatoires. Jest pociągającym mężczyzną o przeciętnej urodzie, mocno opalonym, krocącym z rękami w kieszeniach, z płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię. Właśnie mijają parę młodych ludzi, którzy znajdują się teraz między nim a mną. Idziemy we czwórkę, w odległości kilku metrów. Zmierzenie wzrokiem tej pary zajmuje mi dwie sekundy. Mają po dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat i są w podróży poślubnej. Nie pochodzą z Południa. Prawdopodobnie mieszkają na Północnym Wschodzie. On ma na sobie marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, spodnie rurki oraz brudne białe buty i markuje kołyszący się marynarski chód, który można zaobserwować u studentów z Północy. Oboje są pospolici. On ma grube wargi, krótko ostrzyżone rudawe włosy i czerwona skórę. Ona jest nieśmiała. Tak naprawdę nie są zadowoleni. On obawia się, że ich podróż poślubna jest zbyt konwencjonalna, że są po prostu jeszcze jedną parą nowożeńców. Niewątpliwie pomyślał, że nieźle będzie pojechać doliną Shenandoah do Nowego Orleanu i uciec od innych nowożeńców w Niagara Falls czy Saratodze. I teraz, w odległości tysiąca pięciuset kilometrów od domu, znajdują się w otoczeniu małżeństw z Memphis i Chicago. On jest zatroskany; zewsząd wyczuwa zagrożenie. Każdy mijany nieznajomy jest dla niego wyrzutem, każde drzwi groźbą. „Co się dzieje?” — zastanawia się. Ona też jest niezadowolona, ale z innego powodu - dlatego, że on jest niezadowolony. Ona to wie, ale nie domyśla się, dlaczego.

Teraz spostrzegają Holdena. Dziewczyna trąca swojego towarzysza. Chłopak ożywia się na chwilę, ale widok aktora tak naprawdę nie poprawia mu samopoczucia. Wręcz przeciwnie. Może jedynie zestawiać olśniewającą realność Holdena ze swoim niewyraźnym i niepewnym istnieniem. Najwyraźniej jest bardziej nieszczęśliwy niż kiedykolwiek. „Co za układ — myśli zapewne, wlokąc się za gwiazdorem filmowym - równie dobrze moglibyśmy gapić się na niego w Hollywood”.

Holden maca się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Przystanął za paroma kobietami patrzącymi na żelazne meble na chodniku. Wyglądają jak gospodynie domowe z Hattiesburga przybyłe na całodzienne zakupy. Aktor prosi o zapalki; kobiety kręcą głowami i wtedy go rozpoznają. Potem następuje spore zamieszanie i pojawiają się rumieńce zawstydenia. Nikt jednak nie potrafi znaleźć zapalek. Młode małżeństwo dogania Holden. Chłopak podaje mu ogień, kiwa przelotnie głową w odpowiedzi na podziękowanie, po czym rusza dalej, nie okazując, że go rozpoznał. Gwiazdor przez chwilę kroczy między małżonkami, rozmawia z chłopakiem, spoglądają w niebo, kręcą głowami. Holden klepie ich po ramionach i idzie dalej przed siebie.

Chłopak dopiął swego! Zdobył tytuł do własnego istnienia, równie pełnego jak istnienie aktora, nie wpadł w popłoch jak te panie z Hattiesburga. Jest obywatelem jak Holden; obaj są ludźmi światowymi. Nagle świat staje przed nim otworem. Nikt z patio i zaułka mu nie zagraża. Jego dziewczyna też się mu poddaje. Chłopak obejmuje ją za szyję, niedbale gładzi po głowie. Ona także czuje tę różnicę. Nie wiedziała, co było nie w porządku ani jak zostało naprawione, ale teraz wie, że wszystko gra. Holden skręcił w Toulouse Street; idąc, promienieje światłem. Roztacza wokół siebie aurę nadrealności i czują ją wszyscy, którzy znajdują się w jej polu. Teraz wszyscy zdają sobie sprawę z jego obecności. Widok aktora wywołuje prawdziwe zamieszanie wśród turystów, kelnerów i właścicieli barów, którzy podbiegają do drzwi spelunek.

Czuję sympatię do gwiazd filmowych, ale powody tej sympatii nie są zwyczajne. Nie pragnę porozmawiać z Holdenem ani dostać jego autografu. Zdumiewa mnie jego osobliwa realność. Tamten młody Janek dobrze sobie zdaje z niej sprawę, choć udaje, że ignoruje aktora. Bezspornie najchętniej bez żadnych ceregieli zabrałby go do akademika swojej korporacji studenckiej. „Bill, chcę, żebyś poznał Phila. Phil, to Bill Holden” —

powiedziałby i oddalił się niespiesznie jak najprawdziwszy wilk morski.

Na Canal Street jest pora lunchu. Przechodzi pochód, ale nikt nie zwraca nań większej uwagi. Do Mardi Grass został jeszcze tydzień, a to jest nowa parada kobiecej *krewe* z Gentilly. *Krewe* to grupa ludzi, którzy zbierają się w czasie karnawału i urządzają paradę oraz bal. *Krewe* może stworzyć każdy. Oczywiście istnieją słynne stare *krewe*, takie jak Comus, Rex i Trzech Króli, ale są również dziesiątki innych. Przedwczoraj grupa Syryjczyków z Algiers utworzyła *krewe* o nazwie Isis. *Krewe* paradująca dzisiaj to zapewne *krewe* Lindy. Obiecałem, że przyjdę ją zobaczyć. Czerwone traktory ciągną platformy, trzeszczą rusztowania, drży papier i płótno. Linda, jak sądzę, jest jedną z sześciu pasterek odzianych w krótkie plisowane spódnice i srebrzyste sandały z rzemieniami krzyżującymi się na nagich łydkach. Są jednak w maskach i nie jestem całkowicie pewien. Jeżeli tam stoi, to jej nogi nie są jednak takie piękne. Nogi wszystkich pasterek drżą i są pokryte gęsią skórką. Kilku biznesmenów przystaje, żeby się przyjrzeć dziewczętom i chwycić świecidełka.

Od południa zrywa się ciepły wiatr piętrzący chmury i niosący z sobą odległy grzmot, pierwszą tegoroczną burzę z piorunami. Ulice wyglądają niesamowicie. Ludzie po drugiej stronie wydają się malutcy i archaiczni, przytłoczeni przez wspaniałe niebo i wietrzne chmury niczym piesi na starych rycinach. Mylę się czy też mgła niepokoju, rzadki gaz niemocy, wypełnił ulicę? Przedsiębiorcy pospiesznie wracają do biur, klienci sklepów do samochodów, turyści do hoteli. Williamie Holdenie, znowu jesteś nam potrzebny. Bez ciebie ten obraz już powszednieje.

Tajemnica się pogłębia. Przez dziesięć minut rozmawiam na chodniku z Eddiem Lovellem i w końcu, gdy wymieniamy uścisk dłoni i się rozstajemy, wydaje mi się, że nie umiem odpowiedzieć na najprostsze pytanie o to, co tu się dzieje. Gdy słucham, jak Eddie mówi przekonująco i szczegółowo o różnych

rzeczach - interesach, swojej żonie Neli, starym domu, który odnawiają - obraz kurczy się do jednej jasnej płaszczyzny inwestycji, rodzinnych projektów, pięknych starych domów, wieczorków literackich w teatrze i tym podobnych spraw. Nachodzi mnie myśl: właśnie tak się żyje! Moje wygnanie w Gentilly było najgorszym rodzajem oszukiwania samego siebie.

Tak! Spójrzcie na niego. W trakcie rozmowy Lovell uderza złożoną gazetą o nogawkę spodni. Obserwuje mnie kątem oka i równocześnie omiata wzrokiem teren za moimi plecami, odnotowując nawet najmniejsze poruszenie. Zielona ciężarówka skręca w Bourbon Street; Eddie mierzy ją spojrzeniem, zatrzymuje ruchem powieki, żąda upoważnienia, ruchem powieki każe jechać dalej. Jakiś biznesmen kieruje się do hotelu Maison Blanche; oko Lovella rozpoznaje go, wie nawet, co tamten kombinuje. Przez cały ten czas Eddie prowadzi rozmowę. Jego muskularne wargi poruszają się, formując słowa w ujmujące kształty, zestawiając argumenty, a podczas krótkich pauz układają się, odwijają pociągająco w kwaśną minę a la Charles Boyer - w kąciку ust zbiera się, niczym czysty olej w sprawnej maszynie, maleńka sieć śliny. Teraz Lovell pobrząkuje monetami spoczywającymi głęboko w jego kieszeni. Nie ma tu żadnej tajemnicy! - jest równie przekonujący jak aporter obserwujący pole. Rozumie wszystko, co widzi, a wszystko, co widzi, jest czymś, co należy zrozumieć.

Eddie przygląda się ostatniej ruchomej platformie, podejrzanej dekoracji z wyciśniętym rogiem obfitości.

— Mam nadzieję, że zaprezentujemy się lepiej.

— Oczywiście.

— Jedziesz na Neptunie?

— Nie.

Proponuję Lovellowi moje cztery zaproszenia na bal *krewe* Neptuna. Zawsze powstaje problem klientów spoza miasta, zwykle Teksasńczyków, a zwłaszcza ich żon. Eddie dziękuje mi za zaproszenia i za coś jeszcze.

- Chcę ci podziękować za to, że wysłałeś do mnie pana Quieulle. Jestem naprawdę wdzięczny.

- Kogo?

- Starego Quieulle.

- A tak, pamiętam. - Lovell tajemniczo pograżył się we własnych myślach, jego oczy błyszczą z ich głębi. - Nie mów mi... - Eddie kiwa głową - ...że już założył swój fundusz powierniczy i umarł? - Znowu kiwa głową, nadal pograżony we własnych myślach. Przygląda mi się uważnie, ociągając się z odpowiedzią. - W imieniu pani Quieulle? - Kolejne kiwnięcie głową, błyskawiczne wysunięcie żuchwy. - Jak duży?

To samo żywe, teraz niemal złośliwe spojrzenie.

- Prawie dziewięćset pięćdziesiąt patoli.

Jego język wypycha policzek.

- Wspaniały staruszek - mówię z roztargnieniem, zauważając, że Lovell spoważniał niczym biskup.

- Powiem ci jedną rzecz, Binx. Znajomość z nim poczytuje sobie za wielki zaszczyt. Nigdy nie znałem nikogo, młodego czy starego, kto posiadałby większy zasób wiedzy. Ten człowiek przez dwie godziny opowiadał mi o procesie krystalizacji cukru i to było naprawdę niezwykle przeżycie. Byłem zafascynowany.

Lovell mówi, jak bardzo podziwia moją ciotkę i moją kuzynkę Kate. Kilka lat temu Kate była zaręczona z bratem Eddiego, Lyellem. W przededniu ślubu Lyell zginął w wypadku — Kate przeżyła.

Teraz Lovell odwraca się twarzą do mnie, jego puszyste włosy fruują na lekkim wietrze.

- Nigdy nikomu nie mówiłem, co naprawdę myślę o tej kobiecie... - Eddie celowo używa słowa „kobieta”, aby podkreślić następujące po nim komplementy. - Pannę Emily... i Kate... cenię bardziej niż kogokolwiek na świecie oprócz własnej matki... i żony. Ta kobieta czyni tyle dobra.

- To niezwykle miłe, Eddie.

On jeszcze mamrocze coś o tym, że Kate jest piękna, tak samo jak Neli - i to mnie dziwi, bo moja kuzynka Neli Lovell jest pospolitą, niezbyt ładną dziewczyną.

— Przekażesz im obu moje serdeczne pozdrowienia?

— Oczywiście.

Pochód znika. Z oddali nadal słychać odgłos bębnienia.

— A ty co porabiasz? - pyta Eddie i uderza gazetą o nogawkę spodni.

— Niewiele — odpowiadam, zauważając, że nie słucha.

— Odwiedź nas, stary! Chcę, żebyś zobaczył, co zrobiła Neli.

Neli ma gust. Oboje stale kupują domki z pokojami w amfiteatrze w podupadłych dzielnicach, wyposażają je w żaluzje w łazience, dwuskrzydłowe drzwi barowe w kuchni, stare cegły oraz donicę imitującą kadzie do melasy w ogrodzie, i sprzedają je z dużym zyskiem po kilku miesiącach.

Chmura robi się błękitna i napiera na nas. Teraz ulica wydaje się odizolowana; cegły budynków jarzą się żółtym nagromadzonym światłem. Spoglądam na zegarek: do domu ciotki nie należy się spóźnić. Eddie w pewnym momencie wyciąga rękę.

— Przekaż młodej parze moje najlepsze życzenia.

— Przekażę.

— Walter to wspaniały facet.

— Owszem.

Zanim pozwoli mi odejść, zbliża się nieco i zmienionym głosem pyta o Kate.

— Teraz chyba czuje się świetnie. Szczęśliwa i bezpieczna.

— Tak cholernie się cieszę, stary!

Ostatni mocny uścisk dłoni.

— Odwiedź nas!

— Dobrze!

2

Mercer wpuszcza mnie do środka.

- A teraz uważaj! - Pozoruje zaskoczenie i uginając kolana, pada do tyłu. Dzisiaj nie mówi „panie Jack” i wiem, że to przeoczenie jest celowe, wynika ze starannego rozważenia wszystkich za i przeciw. Jutro szala może się przechylić w drugą stronę (dzisiejsze przeoczenie zostanie uwzględnione) i wróci „pan Jack”.

Z jakiegoś powodu dzisiaj postrzegam Mercera wyraźniej niż zwykle. Normalnie są z tym kłopoty z powodu zażyłości. Mercer pracował dla mojego dziadka w gminie Feliciana, zanim ciotka Emily sprowadziła go do Nowego Orleanu. On jest oddany nam, a my jemu. Ale prawda wygląda tak, że ja i Mercer wcale nie jesteśmy sobie oddani. W jego obecności niepokoję się, że klucząc między służalczością a bezczelnością, może się potknąć. To ja usługuję Mercerowi, a nie on mnie.

- Nikt mi nie powiedział, że przychodzisz! - krzyczy, czując, że szala przechyliła się na jego stronę. — Właśnie zaczynałem palić w kominku.

Mercer jest piersiastym Murzynem o skórze w kolorze piasku, z wygoloną głową i przydającym powagi wąsem Adolpha Menjou. Jego twarz wcale nie wyraża przywiązania, lecz jest nadaśana jak oblicze stewarda wagonu sypialnego. Moja ciotka sprowadziła go z Feliciany - od tego czasu bardzo się zmienił. Teraz jest nie tylko człowiekiem z miasta, jest również kamerdynerem pani Cutrer i jako taki nadzoruje coraz to nowe zatrudniane w gospodarstwie domowym nowoorleańskie Murzynki, Jamajki, a ostatnio Honduraski. Ma świadomość swojej pozycji i usiłuje mówić urywanymi zdaniem, wymawiając „r” oraz końcówki słów i dyftongizując w harlemskim stylu.

Mimo szarego dnia za oknem w salonie jest jasno, ale nie przytulnie. Okna są odsłonięte i szare niebo wlewa się do środka.

Mercer układa węgiel na płonącej podpalce. Jego biały, sztywny od krochmalu jak zbroja surdut szeleści. Na skórze u podstawy czaszki tworzy się fałda. Kamerdyner kładzie węgle ostrożnie, jego dłoń sunie powoli przez płomień. Z głową odrzuconą do tyłu oddycha ciężko przez usta, wstrzymując oddech w chwili układania węgla, a następnie wypuszczając z sykiem powietrze.

Jakbyśmy znaleźli się z powrotem w Felicianie. Oto odgłos zimowych ranków w Felicianie dwadzieścia lat temu: brzęk rączki kosza na węgiel i zduszony oddech Mercera oznajmiały o zimnym, mrocznym brzasku.

Ze ścianami pełnymi książek, błyszczącym jak klejnot ko-biercem z Buchary i ciemniejszymi portretami pokój wygląda pięknie i właściwie radośnie. Szklane pryzmaty żyrandoli mru-gają czerwono w świetle kominka. Na stole z żółtego drewna leżą rozrzucone jak zwykle kwartalniki i tygodniki drukowane na szorstkim papierze oraz, jak zawsze, wspaniały rozłożony egzemplarz *Żywota Buddy*. Moja ciotka lubi mówić, że sercem należy do Kościoła episkopalnego, z natury jest Greczynką, a z wyboru buddystką.

Mercer przemawia do mnie:

- ...ale nadal nie majom fabryk i... naszej struktury produkcyjnej.

Tak więc chce pogadać o aktualnych wydarzeniach. Chętnie wdaję się w rozmowę, choć jestem pewien, że kamerdyner wie na ten temat więcej ode mnie. Nie jest zwrócony twarzą ani do mnie, ani do kominka, znajduje się jakby w stanie zawieszenia. Trzyma kosz na węgiel i robi krok w stronę drzwi, ale zostaje w salonie.

W ostatnich latach trochę stracił na wyrazistości. Już nie tak łatwo powiedzieć, kim jest. Ciotka naprawdę bardzo go lubi i uważa za wiernego sługę, żywy ślad minionej epoki. Opowiada o przywiązaniu Mercera do doktora Willsa, o tym, jak wiele dni po jego śmierci chodził z twarzą zalaną łzami. Nie wątpię, ale

wiem na pewno, że kamerdyner stale ją okrada, biorąc w łapę od służących i dostawców. Nie można go jednak nazwać złodziejem i na tym poprzestać. Mercer ma aspiracje. W jakiej roli widzi siebie? Gdy udaje mu się zobaczyć siebie w jakiejś roli, jest nią rola faceta niezwykłego, człowieka, który nie traci dobrej orientacji w nauce i polityce. Właśnie dlatego rozmawiając z nim, jestem zawsze niespokojny. Nie znoszę, gdy jego wyobrażenie o sobie rozwiewa się i Mercer nie widzi siebie w żadnej roli: ani w roli starego sługi, ani w roli eksperta od aktualnych wydarzeń. Wówczas jego oczy robią się mętne, a twarz dopasowuje się do nich za zasłoną wąsów. W ubiegłe święta Bożego Narodzenia szukałem go w jego mieszkaniu nad garażem. Nie było go tam, ale na łóżku leżała sfatygowana, wydana przez różokrzyżowców książka pod tytułem *Jak wykorzystać swoje ukryte zdolności*. Biedaczysko.

W czasie, gdy Mercer relacjonuje aktualne wydarzenia, przysuwam się bliżej gzymsu kominka. Stoją na nim zdjęcia Cutrerów w roku ich największych sukcesów. Wuj Jules był Reksem, Kate królową Neptuna, ciotka Emily zdobyła puchar „Picayune” za swoją pracę w Home Service. Wszyscy twierdzili, że Kate jest piękną królową, ale było inaczej. Gdy moja kuzynka zrobi sobie ondulację i włoży nocną koszulę, wygląda fatalnie; twarz na fotografii jest pospolita jak pudding.

Patrzę na jedyne zdjęcie, które mogę oglądać bez końca. Przez dziesięć lat widziałem je na tym kominku i próbowałem zrozumieć jego wymowę. Teraz zdejmuję je z gzymsu i przybliżam do światła, które splywa z ciemniejącego nieba. Oto dwaj bracia, doktor Wills i sędzia Anse, obejmujący się wzajemnie ramionami, a z przodu mój ojciec stojący na górskim szlaku na tle ciemnego lasu. To Schwarzwald. Kilka lat po pierwszej wojnie światowej zebrał się i odbyli wielką podróż. Brakuje tylko Aleksa Bollinga - jest w trzeciej ramce: zdumiewająco przystojny młodzieniec z twarzą w typie Ruperta Brooke i sir Galahada, jakie tak często widuje się na fotografiach przedstawiających żołnierzy

pierwszej wojny światowej. Uważano, że jego śmierć w Argonny (pięć lat wcześniej) była swoistym nawiązaniem do historii rodziny - pierwszy Alex Bolling zginął wraz z Roberdaux Wheatem podczas przełamywania linii frontu przez Hooda pod Gaines Mill w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku. Mój ojciec ma na sobie marynarkę z emblematem jakiegoś zrzeszenia studenckiego i sztywny słomkowy kapelusz. Wygląda inaczej niż bracia. Alex również był znacznie młodszy, a mimo to był jednym z nich. Ale nie mój ojciec. Trudno powiedzieć, dlaczego. Starsi Bollingowie - oraz Alex — są pogodni w swej odrębności. Każdy z nich pokrywa się ze swoim wizerunkiem, tak samo jak pokrywają się modrzewie na zdjęciu: sędzia Anse ze swoimi obwisłymi wąsami i chudymi zimnymi policzkami, człowiek o surowym spojrzeniu, który zapisał się w ludzkiej pamięci tym, że publicznie określił gubernatora Luizjany mianem białego sukinsyna; doktor Wills, ten z lwią grzywą, rozczochrany wiejski geniusz, który opracował stosowaną do dzisiaj metodę zespolenia jelitowego; Alex, pogodny w swoim marzeniu o młodości i bohaterskiej śmierci. Mój ojciec nie jest jednak jednym z nich. Stoi w rozkroku, w rękach trzymany z tyłu długi okutą łaskę, jego słomkowy kapelusz zsunął się do tyłu i odsłania pukiel włosów. Czy ojca rozświetla wyraz, którego nie potrafię zidentyfikować; starsi od niego śmiało mogliby nazwać go przemądrzałym. Wygląda jak elegancik z okrągłą głową i zmyślnym kołnierzem z patką. Mimo to właściwie jest jednym z nich. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym otrzymał stopień oficerski w RCAF-ie i zginął, zanim jego kraj przystąpił do wojny. Na Krecie. W morzu ciemnym jak wino. Przez tego samego szkopa. Z egzemplarzem *A Shropshire Lad* („Chłopak z Shropshire”) w kieszeni. Znowu przyglądam się tym oczom - każde z nich to parę kropek w zamazanym owalu. Ponad wszelką wątpliwość patrzą ironicznie.

- Prawda, panie Jack? - pyta Mercer, wciąż w stanie zawieszenia, z jedną stopą zwróconą w stronę kominka, a drugą w drodze do wyjścia.

- Prawda. Jednostronne rozbrojenie byłoby katastrofą.

- Co za bzdury. - Moja ciotka wchodzi uśmiechnięta, z przekrzywioną na bok głową, otwartymi ramionami, ja zaś gwizdząc z ulgą i czuję, że uśmiecham się z przyjemnością, oczekując jednej z jej szczególnych napaści - napaści, które są zarówno żartobliwe, jak i po części szczerze. Nazywa mnie niewdzięcznikiem, diabelskim nasieniem, ostatnim i najbardziej żalonym potomkiem szlachetnego rodu. Zabawną czyni tę napaść fakt, że to prawda. W ułamku sekundy zapomniałem o wszystkim: o latach w Gentilly, nawet o moich poszukiwaniach. Jak zawsze podejmujemy rozmowę w miejscu, w którym ją skończyliśmy. Przecież tu jest moje miejsce.

Ciotka wiele dla mnie zrobiła. Gdy zginął mój ojciec, matka, która była dyplomowaną pielęgniarką, wróciła do swojego szpitala w Biloxi. Ciotka zaproponowała, że zapewni mi wykształcenie. W rezultacie spędziłem w jej domu znaczną część z minionych piętnastu lat. W rzeczywistości jest moją stryjeczną babką. Jest jednak młodsza od swoich braci o tyle lat, że z łatwością mogłaby być siostrą mojego ojca - a raczej córką wszystkich trzech braci, jako że we własnych wspomnieniach wciąż jawi się jako ich ulubione i najsłodsze oczko w głowie, żeńska mutacja groźnych starych generałów, i bez wątpienia z tego powodu nigdy nie była traktowana całkiem serio, nawet w swoim buncie - wtedy, kiedy opuściła rodzinne strony, pracowała w domu opieki społecznej w Chicago i tak jak wiele dobrze urodzonych dam z Południa, przyjęła postępowe idee polityczne. Po latach odgrywania roli „panienki”, na co pozwolili jej bracia i czego nawet od niej oczekiwali - jej kariera sięgnęła szczytu, gdy pracowała jako wolontariuszka Czerwonego Krzyża podczas hiszpańskiej wojny domowej; nie potrafię jej sobie wyobrazić inaczej, niż w tej postaci szalenie życzliwej demonicznej Amerykanki, kompletnie niepojętej dla Hiszpanów - w ciągu sześciu miesięcy poznała i wyszła za Julesa Cutrera, wdowca z dzieckiem, osiedliła się w Garden District i stała się równie przystojna

i onieśmielająca jak jej bracia. Nie jest już „panienką”. Tak jakby teraz, gdy jej znamienitych braci już nie ma, mogła wreszcie stać się taka, jakimi byli oni, a ona jako kobieta być nie mogła: żołnierska w wyglądzie i poglądach. Z sinosiwymi włosami, żywą twarzą i strasznym spojrzeniem szarych oczu, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat na swój sposób pozostaje młodym księciem.

Jest dokładnie tak, jak myślałem. W jednej chwili wychodzimy z salonu i korytarzem wędrujemy do jej gabinetu, dokąd wzywa mnie na swoje „rozmowy”. Jedno jest pewne: chodzi o złe wieści o Kate. Gdyby to była rozmowa na mój temat, ciotka nie patrzyłaby na mnie. Z palcem przytkniętym do wargi spoglądałaby w przypominającą ul wnękę w swoim starym biurku, tymczasem pokazuje mi coś i szuka na mojej twarzy reakcji na to, co widzę. Trudno coś zobaczyć, gdy mnie obserwuje. Mam mgłę przed oczyma. Między nami na pewno stoi karton z zakurzonymi butelkami... Butelkami? - owszem, na pewno z butelkami, lecz chociaż mrużę oczy, głowy dać nie mogę.

— Widzisz te butelki po whisky?

— Tak, ciociu.

— A tę? - Podaje mi prostokątną brązową flaszkę.

— Tak.

— Wiesz, skąd pochodzą?

- Nie.

— Mercer znalazł je na szafie. Tamtej szafie. — Wskazuje z tajemniczym wyrazem twarzy na sufit nad naszymi głowami.

— Wykładał trutkę na szczury.

— W pokoju Kate?

— Tak. Co o tym myślisz?

— To nie są butelki po whisky.

— A po czym?

— Po winie. Gipsy Rose. Oni robią takie płaskie butelki.

— Przeczytaj to. — Ruchem głowy wskazuje na flaszkę w mojej dłoni.

- Pentobarbital sodowy. Półtora grama. To butelka z hurtowni.
 - Wiesz, gdzie to znaleźliśmy?
 - W pudle?
 - W spalarni. Drugą w ciągu tygodnia.
- Milczę. Teraz ciotka jednak zajmuje miejsce przy biurku.
- Nie mówiłam Walterowi. Ani Julesowi. Bo tak naprawdę nie jestem zaniepokojona. Kate po prostu czuje się świetnie. Wyjdzie z tego zwycięsko i będą z Walterem szczęśliwi. Ale w miarę upływu czasu Kate robi się trochę nerwowa.
 - Chodzi cioci o to, że obawia się kolejnego wypadku?
 - Obawia się ogólnej katastrofy. Ale nie to mnie martwi.
 - A co?
 - Nie chcę, żeby znowu snuła się po domu z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną.
 - Nie pracuje z ciocią w centrum?
 - Przestała dwa tygodnie temu.
 - Źle się czuje?
 - O nie! Nic podobnego. Ale jest trochę wystraszona.
 - Chodzi do doktora Minka?
 - Nie chce. Myśli, że jeżeli pójdzie do lekarza, to zachoruje.
 - Co mam zrobić?
 - Kate nie chce iść na bal. To żaden problem. Bardzo ważne jednak, by nie doprowadziła do sytuacji, w której coraz trudniej będzie jej spotykać się z ludźmi.
 - Z nikim się nie widuje?
 - Tylko z Walterem. Teraz chcę jedynie, żebyś zabrał ją do Lejterów i żebyście obejrzeni paradę z werandy ich domu. To nie jest przyjęcie. Nie będzie żadnego problemu z wchodzeniem lub wychodzeniem. Nie ma się do czego przygotowywać. Wstąpicie tam, pogadacie lub nie i wyjdziecie.
 - Aż tak z nią źle?
 - Wcale nie jest z nią źle. Chcę dopilnować, żeby nadal tak było.

- A Walter?

— Jest kapitanem *krewe*. Nie może się wykrećić. Prawdę mówiąc, cieszę się, że nie może. Wiesz, czego naprawdę od ciebie oczekuję?

— Czego?

— Chcę, żebyś zrobił to, co robiłeś, zanim nas porzuciłeś, łobuzie. Kłóć się z nią, żartuj... Dziewczyna w ogóle się nie śmieje. Ty i Kate zawsze byliście w dobrych stosunkach, prawda? Sam też. Wiedziałeś, że Sam będzie tu w niedzielę, żeby przemówić na Forum?

- Tak.

— Chcę, żeby Sam porozmawiał z Kate. Ty i on jesteście jedynymi osobami, których słuchała.

Ciotka okazuje mi wielkoduszność. Tak naprawdę chce przez to powiedzieć, że jest pewna, iż Sam zdoła wszystko uporządkować, i ma nadzieję, że ja zdołam pozostać na posterunku do czasu jego przyjazdu.

3

Widok stryja Julesa na lunchu jest niespodzianką. Zeszłej jesieni miał poważny atak serca, po którym wyzdrowiał tak całkowicie, że od Bożego Narodzenia obywa się bez drzemki. Siedzi teraz między Kate a Walterem i zachowuje się w tak miły sposób, że nawet moja kuzynka się uśmiecha. Trudno uwierzyć, że cokolwiek nie gra; szczególnie groteskowa jest myśl o butelkach. Stryj jest zadowolony z mojej obecności. W ciągu minionego roku odkryłem swój jedyny zauważalny talent: smykałkę do robienia pieniędzy. Udaje mi się sprzedawać mnóstwo akcji, których emisję gwarantuje stryj Jules. Ponadto jest przekonany, że przewidziałem styczniową wyprzedaż. Twierdzi nawet, że za moją radą przyspieszył parę emisji.

Sprawia mu to przyjemność i zawsze wita mnie przerażającym mrugnięciem, jakbyśmy byli w zмовie i w każdej chwili mogli zostać schwytani.

On i Walter rozmawiają o piłce nożnej. Życiową ambicją stryja jest odwrócenie losów drużyny futbolowej Tulane University. Ich rozmowa sprawia mi przyjemność, bo sam lubię piłkę nożną, zwłaszcza zaś lubię, jak stryj Jules opowiada o wspaniałych czasach Jerryego Dalrymple'a, Dona Zimmermana i Billy'ego Bankera. Gdy opisuje obronę na linii bramkowej w meczu z zespołem L.S.U. w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, przypomina mi się król Artur walczący zaciekle na tle krwawego zachodu słońca przeciw sir Modredowi i innym zdrajcom. Walter był menedżerem tego zespołu — ze stryjem Julesem znają się jak łyse konie.

Nie znam drugiego tak miłego człowieka jak stryj Jules. Nad jego kreolską końską twarzą rosną gęste siwe włosy, przystrzyżone krótko jak u studenta. Koszula okrywa jego ciało w przyjemny dla oka sposób. Tak dobrze na nim leży. Moje koszule zawsze mają jakiś feler: są zbyt ciasne w kołnierzyku lub zbyt luźne w pasie. Kołnierzyk koszuli stryja układa się na jego szyi jak przyklejony; mankiety, złożone niczym serwetka, ledwie wystają poza brzeg rękawa marynarki. No i przód koszuli: czasami nachodzi mnie ochota, by wtulić nos w ten śnieżnobiały płat miękkiej, delikatnej bawełny.

Stryj Jules to jedyny znany mi człowiek, który odniósł całkowity, absolutny sukces. Zarobił mnóstwo forsy, ma wielu przyjaciół, był królem karnawału, dzieli się chętnie swoim czasem i swoimi pieniędzmi. Jest wzorowym katolikiem, ale trudno zrozumieć, dlaczego zadaje sobie tyle trudu, bo świat, w którym żyje, Miasto Człowieka, jest tak przyjemny, że Miasto Boga na pewno ma mu niewiele do zaoferowania. Widzę świat stryja Julesa wyraźnie jego oczyma i rozumiem, dlaczego go kocha i dlaczego zachowałby go w nienaruszonym stanie: przyjazne, spokojne miejsce pełne staromodnego czaru i nowomodnych

metod prowadzenia interesów, w którym mili biali ludzie i bez-troskie czarnuchy mają dość zdrowego rozsądku, by być dla siebie nawzajem uprzejmi. Po jego zawsze pogodnym obliczu cień przemyka jedynie wtedy, gdy ktoś poruszy temat ubiegło-rocznego meczu Tulane - L.S.U.

Wspominam o spotkaniu z Eddiem Lovellem i przekazuję jego pozdrowienia.

- Biedny Eddie! - wzdycha jak zawsze ciotka i jak zawsze dodaje: - Jakie to smutne, że uczciwość, sama w sobie, jest w tak niskiej cenie.

- Czy ona znowu jeździła do Natchez? - pyta stryj Jules, dziwacznie wydłużając wargę.

Walter Wade nadstawia ucha i bacznie śledzi rozmowę. Jesz-cze się nie połapał w pełnym niedomówień sposobie jej prowa-dzenia przez Bollingów. „Ona” to Didi, siostra Eddiego, a „wy-jazd do Natchez” oznacza w naszym języku jedną z jej eskapad. Kilka lat temu, gdy Didi była jeszcze ze swoim pierwszym męż-em, uczestniczyła ponoć w pielgrzymce do Natchez z kilkoma innymi parami i doszło tam do „wymieniania się mężami”.

- O tak - odpowiada ponuro moja ciotka. - I to nie raz.

- Myślałem, że te pielgrzymki zaczynają się dopiero w kwietniu - zauważa Walter, uśmiechając się z rezerwą.

Kate, marszcząc czoło, spogląda na swoje spoczywające na kolanach dłonie. Dzisiaj rzuca swoje piwnookie spojrzenia na wszystkie strony. Niekiedy tęczówki jej oczu wyraźnie się po-większają. Pamiętam inną sytuację, gdy ciotka prosiła, bym „po-rozmawiał” z Kate. Gdy moja kuzynka miała dziesięć, a ja pięt-naście lat, ciotka zaczęła się o nią martwić. Kate była grzeczną dziewczynką i dostawała dobre stopnie, ale nie miała przyjaciół. Zamiast bawić się podczas przerw, odrabiała pracę domową i sie-działa w milczeniu w ławce do rozpoczęcia lekcji. Wymyśliłem więc gadkę, o którą - jak sądziłem - chodziło ciotce. „Myślisz pewnie — zagałem sokratycznie jak Emily Cutrer - że jesteś jedyną nieśmiałą osobą na świecie. Wierz mi, nie jesteś. Powiem

ci o czymś, co mi się przydarzyło..." i tak dalej. Lecz Kate tylko patrzyła na mnie takim samym piwnookim spojrzeniem, z wyraźnie powiększonymi tęczęwkami.

Mercer podaje kolby kukurydzy, wstrzymując oddech przy każdym nakryciu i wypuszczając powietrze ze stłumionym westchnieniem.

Walter i stryj Jules próbują mnie przekonać do jazdy na Neptunie. Ciotka spogląda na mnie z odrazą— mimo swojego dowcipkowania darzy niewzruszonym szacunkiem karnawałowe *krewe*, ich przydatność w interesach i życiu towarzyskim. Przechodzi do pozycji a la Lorenzo de Medici, ze skronią wspartą na trzech palcach.

— Jakież zdeprawowany i rozwiązły osobnik — zauważa jak zwykle. Mówi w roztargnieniu. Jej myśli zajęte są Kate. - Ogłupiały od picia starego białego wina z Kanarów.

- To, kim jestem, Hal, zawdzięczam tobie — odpowiadam jak zwykle i piję zupę.

Kate je machinalnie, rozglądając się nieprzytomnie po pokoku jak osoba prowadząca rozmowę przez automat telefoniczny. Walter jest teraz pewny siebie. W jego oku pojawia się łobuzerski błysk.

— Myślę, że nie powinniśmy mu na to pozwolić, prawda, pani Cutrer? My napędzamy gospodarkę, a on zgarnia swoje pięć procent niczym właściciel lombardu na Dryades Street.

Ciotka jeszcze bardziej zamyka się w sobie i sama staje się Wawrzyńcem Wspaniałym.

- Oto znakomita para dla ciebie - mówi do Kate i przygląda się jej uważnie; na nas w ogóle nie zwraca uwagi. — Barbarzyńcy u bram i kto broni Zachodu? Juan de Austria? Nie! Pan Bolling, makler, i pan Wade, prawnik. Panowie Bolling i Wade, obrońcy wiary, uosobienia mądrości, zwierciadła sprawiedliwości. Boże, nie miałabym nic przeciw temu, by okazali trochę zapału w swoim wyuzdaniu, ale spójrz tylko na nich. Rosenkranc i Gildenstern.

Znowu sobie przypominam, jak onieśmielający był Walter w college'u, jak znacznie starszy się wtedy wydawał. Wade jest facetem o chorobliwym wyglądzie i zapadniętej skroni, ale w rzeczywistości cieszy się całkiem dobrym zdrowiem. Ma szarą rekiną skórę oraz przymknięte oczy i kosmyk włosów zaczesany na czoło w stylu MacArthura. Urodzony w Clarksburgu w Wirginii Zachodniej, uczęszczał do Tulane i po wojnie osiedlił się w Nowym Orleanie. W wieku trzydziestu trzech lat jest głównym wspólnikiem w nowej kancelarii prawnej, Wade & Molyneux, specjalizującej się w prawie dzierżawy pól naftowych.

- Panie Wade — pyta go ciotka. - Jest pan uosobieniem mądrości?

- Tak jest, pani Cutrer.

Nie umiem powstrzymać uśmiechu. Zabawne jest to, że Walter zawsze zaczyna w najlepszym stylu błyskotliwego młodego prawnika, który ustępuje starszej pani, pozwalając jej zdobyć nad sobą przewagę, podczas gdy Emily Cutrer rzeczywiście zdobywa nad nim przewagę. Starsze panie w Wirginii Zachodniej były inne. Ale o dziwo, ciotka patrzy Kate prosto w oczy i nie dostrzega symptomów nadciągającej burzy. Moja kuzynka pochyla głowę, aż brązowe, ostrzyżone na chłopczycę włosy opadają jej na policzek. Po czym, gdy oczy Wade'a stają się coraz bardziej okrągłe i nieufne, a jego uśmiech bardziej drapieżny - wygląda wówczas jak rekrut stąpający ostrożnie po polu minowym - Kate szczęka zębami i nagle wychodzi z pokoju.

Walter podąży za nią. Ciotka wzdycha. Stryj Jules spokojnie siedzi. Posiada dar wiary, że w jego domu nic nie może naprawdę szwankować. Zdarzają się domowe wzloty i domowe upadki, ale on przyjmuje je z uśmiechem, bez cienia niepokoju. Nawet w okresach załamania Kate potrafił zaakceptować je jako rodzaj zwykłych niefortunnych wypadków, jakie przytrafiają się wrażliwym dziewczętom. Wynika to z jego zaufania do ciotki Emily. Dopóki ona jest panią jego domu, najgorsze, co może nastąpić, sama śmierć, jest co najwyżej stosowne.

Stryj właśnie wychodzi do gabinetu. Ciotka rozmawia w holu z Walterem. Ja bezmyślnie siedzę w pustej jadalni. Wade dosiada się do mnie, żeby zjeść deser. Potem, gdy Mercer sprząta ze stołu, Walter podchodzi do wysokiego okna i stojąc z rękami w kieszeniach, wygląda na zewnątrz. Jestem gotowy uspokoić go co do Kate, ale okazuje się, że to *krewe* Neptuna, a nie moja kuzynka, zaprzęta mu umysł.

- Chciałbym, żebyś jeszcze raz to przemyślał, Binx. - W jego głosie pobrzmiewa radosne podniecenie, będące echem rozmowy ze stryjem Julesem. - Mamy teraz cholernie zgraną paczkę. - Dziesięć lat temu powiedziała by „supergości”; tak w latach czterdziestych nazywaliśmy porządných ludzi. - Możesz się ze mną nie zgodzić, ale moim zdaniem to najwszechstronniejsza *krewe* na paradyzie. Nie jesteśmy parweniuszami, a z drugiej strony nie jesteśmy zgrają starych przyków... i... - dodaje w pośpiechu na myśl o stryju Julesie - nasi starsi koledzy należą do dziesięciu najzamożniejszych i najwybitniejszych rodów w Nowym Orleanie. — Wade nigdy nie powiedziała by „bogaty” i rzeczywiście słowo „zamożny” w jego ustach przypomina wspaniałe i pełne smaku życie, gobelin gruby w dotyku i przesyty jaskrawą nicią wolności. — Naprawdę by ci się spodobało, Jack. Mówię szczerze. Naprawdę. Mogę cię zapewnić, że wszyscy co do jednego byłibyśmy zachwyceni twoim powrotem.

- Oczywiście, doceniam to, Walterze.

Wade nadal ubiera się tak dobrze, jak ubierał się w college[^]; siedzi, stoi i garbi się z takim samym wdziękiem. Nadal, zima czy lato, nosi grube skarpety, żeby ukryć swoje chude żylaste kostki, nadal też zakłada nogę na nogę, by łydka wydawała się grubsza. W college'u był jednym ze studentów wyższych lat, których pierwszorocznicy postrzegają jako wzorzec: został członkiem Phi Beta Kappa bez zakuwania. Przede wszystkim jednak był arbitrem elegancji. My, kandydaci na członków korporacji studenckiej, widzieliśmy, jak z uniesionym kościstym kolanem siedzi w kapeluszu na głowie w akademiku, przyjął się

więc zwyczaj siedzenia w ten sam sposób. Kapelusze musiał być specjalnego rodzaju: wysoki, trójgraniasty, z wąskim rondem i z brązowego filcu, i nadawał się do noszenia tylko z przetartą wskutek wielokrotnego dotykania główką. Walter lubił nadawać przydomki nowym kandydatom. Jednego roku upodobał sobie przezwiska określające kształt głowy. Ustawił ich w szeregu, usiadł z uniesionym kolaniem i paznokciem kciuka zsunął kapelusz z czoła. „Ty, tam, wyglądasz mi na rondłogłowego; ty, co rozmawiasz, masz głowę jak palnik; ty jak mięśniak; a ty jak worek na ziemniaki; ty masz łeb jak szpilka...” Przez rok po wstąpieniu do zrzeszenia żyłem w nadziei, że go zadowolę, znajdując idealną, uszczypliwą i pozbawioną sensu ripostę. Liczyłem też na to, że uzyskam dostęp do wąskiego grona jego znajomych, korporacji w ramach korporacji. Kiedy więc zatrzymał się przed ostatnim kandydatem, chłopakiem z Monroe o wypukłym czole i głęboko osadzonych oczach, zawahał się. „A ty, ty jesteś...” „Waleniołowy” - odpowiedziałem. Wade uniósł brew, ściągnął w dół usta i pokiwał szyderczo głową w kierunku swoich rówieśników z kręgu wtajemniczonych. Zostałem przyjęty.

Kandydat na członka zrzeszenia czuł się uprzywilejowany w towarzystwie Waltera, a zarazem odczuwał stres. Człowiek żył bowiem tylko po to, by spacerować z nim po linie, być zgryźliwym, a zarazem uprzejmym, beztroskim, lecz w określonym stylu, sardonicznym, ale budzącym sympatię, równie popularnym wśród mężczyzn, co wśród kobiet. Niezależnie od odczuwanego stresu byłem jednak zadowolony, że jestem jego przyjacielem. Pewnego dnia wracałem z nim wieczorem pieszo do domu po tym, jak nominowano go do nagrody Złotego Runa - będącej jedynie ostatnią pozycją długiej listy wyróżnień zamieszczonej pod zdjęciem Waltera w studenckim roczniku. „Binx” — rzekł wtedy; w kontaktach ze mną zarzucił w końcu swój uszczypliwie-bezsensowny sposób prowadzenia rozmowy. - „Powiedz mi coś w tajemnicy. Ta nominacja... wierz mi lub nie,

to się dla mnie nie liczy". „A co się liczy, Walterze?" Przystanął i patrzyliśmy na kampus migoczący tak, jak gdyby wszystkie miasta świata rozpościerały się u naszych stóp. „Głównie chodzi o to, żeby zachować pokorę; zdobyć Złote Runo i przyjąć to z pokorą". Obaj westchnęliśmy i w milczeniu wróciliśmy do akademika Delty.

Gdy byłem studentem pierwszego roku, wstąpienie do porządnej korporacji uniwersyteckiej było dla mnie niezwykle ważne. A gdyby w żadnej nie zaproponowano mi członkostwa? Podczas tygodnia rekrutacji zostałem zaproszony do siedziby Delty, żeby koledzy ze stowarzyszenia mogli mnie obejrzyć. Drugi kandydat, Boylan „Barania Głowa" Bass z Bastrop, i ja siedzieliśmy na skórzanej kanapie z rękami na kolanach, a starsi studenci stali wokoło, nadskakując nam jak dziewicom i równocześnie mierząc nas wzrokiem jak jałówki. Walter skinął na mnie i podążyłem za nim na piętro, gdzie odbyliśmy poufną rozmowę w jakiejś małej sypialni. Ruchem ręki wskazał mi łóżko i przez dłuższy czas stał tak jak teraz: z rękami w kieszeniach, kołysząc się na piętach i wyglądając przez okno niczym Samuel Hinds w swoich filmach. „Binx" - rzekł. - „Znamy się dość dobrze, nieprawdaż?". (Obaj wcześniej chodziliśmy do tego samego prywatnego liceum w New Hampshire). „Zgadza się Walterze" - odparłem. „Znasz mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie serwowałbym ci zwykłych pierdoł o tej korporacji, co nie?". „Wiem, że tego byś nie zrobił, Walterze". „Nie staramy się tu wyrwać łatwych panienek, Binx. Nie musimy". „Wiem". Wyliczył pozytywne cechy członków SAE, Delta Psi, Delta Kappa Epsilon i KA. „To wszystko porządne chłopaki, mam przyjaciół w każdej z tych korporacji. Ale jeśli chodzi o przedstawienie kolegów z naszego zrzeszenia, kalibru tych ludzi, łączącej nas więzi, znaczenia tego małego symbolu..." - odwrócił kłapę marynarki, by pokazać znaczek korporacji, i zacząłem się zastanawiać, czy to prawda, że członkowie Delty biorąc prysznic trzymają go w ustach - „niewiele mogą powiedzieć". Po czym

zdjął kapelusz i stojąc, gładził jego główkę. „Prawdę mówiąc, nie mam zamiaru nic mówić. Zadam ci za to jedno pytanie, a potem pójdziemy na dół. Czy poczułeś coś wyjątkowego, gdy wszedłeś do tego domu? Nie będę próbował tego określać. Jeżeli poczułeś, to już dokładnie wiesz, co mam na myśli. Jeżeli nie poczułeś...” Wade stanął nade mną, trzymając kapelusz przy piersi. „Poczułeś, Binx?” Powiedziałem mu od razu, że nic nie sprawiłoby mi większej radości niż natychmiastowe poddanie się rytuałowi przyjęcia do Delty, jeżeli do tego zmierza. Uścisnęliśmy sobie dłonie i Walter zawałał część swoich kolegów. „Panowie, chcę, byście poznali pana Johna Bickersona Bollinga. Jest on jednym z tych zepsutych Bollingów z gminy Feliciana - to nazwisko pewnie obito się wam o uszy. Binx jest chłopakiem z prowincji i tęgim kujonem, ale powinien mieć parę dobrych cech. Wierzę, że będziemy mieć z niego pożytek”. Uścisnęliśmy sobie dłonie. To byli porządni goście.

Jak się okazało, wcale nie mieli ze mnie pożytku. Przez cztery lata studiów udało mi się nie zdobyć żadnych laurów. Kiedy ukazał się nasz rocznik, pod moim zdjęciem nie było nic oprócz liter AYA — stosownie do sytuacji, ponieważ spędziłem te cztery lata oparty o balustradę werandy akademika, speszony i rozmarzony, przyglądając się, jak słońce przeziiera przez liście oplątwy brodawkowej, pochłonięty rozważaniem tajemnicy mojej obecności w takim miejscu i w takim momencie — a obok AYA widniał skrótowy opis mojego usposobienia: „Spokojny, ale obdarzony szelmowskim poczuciem humoru”. Boylan Bass z Bastrop okazał się równie wielkim rozczarowaniem. Był wysokim synem farmera, z długą szyją o wystającej grdyce, studiował farmację, przez cztery lata nie odezwał się ani słowem i nie był znany nawet kolegom ze swojej korporacji. Opinia o nim brzmiała tak: „Dobry kolega”.

Walter znowu jest spokojny. Odwraca się od okna, jeszcze raz staje nade mną i pochyla swą wąską zapadniętą skroń.

- Znasz większość ludzi z *krewe*, prawda?

- Tak. Właściwie to nadal przynależę do... - To ta sama paczka, która jeździ na Tigre au Chenier. Czemu nie przyszedłeś w zeszłym miesiącu?

- Naprawdę nie przepadam za polowaniami.

Walter dostrzegł chyba coś na stole, bo pochyła się i przesuwając kciukiem po słojach.

- Spójrz tylko na to drewno. Na Boga, to wszystko z jednego kawałka. — Zauważyłem, że od czasu swoich zaręczyn zaczął przejawiać charakterystyczne dla właściciela zainteresowanie domem, opukując ściany, mierząc deski podłogi, podnosząc wazy. Prostuje się. - Nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Rozumiem tylko, że wciągnąłeś mnie na swoją listę.

- Nie o to chodzi.

- Więc o co?

- A tobie?

- Czemu, u diabła, nie zadzwonisz do mnie czasem?

- A o czym mielibyśmy rozmawiać? - odpowiadałem w naszym uszczypliwie-bezsensownym stylu sprzed dziesięciu lat.

Walter ściska mnie mocno za ramię.

- Zapomniałem, jaki wyjątkowy z ciebie dupek. Masz rację. O czym byśmy rozmawiali — mówi żalobnym tonem. — Boże święty. Co się porobiło z tym cholernym światem?

- Nie jestem pewien. Ale dziś rano przyszło mi coś do głowy. Siedziałem w autobusie...

- Czym ty się tam zajmujesz w tym swoim Gentilly?

Ludzie często mnie pytają, co się porobiło ze światem i czym się zajmuję w Gentilly, a ja zawsze staram się to wyjaśnić. To pierwsze pytanie jest interesujące. Zauważyłem jednak, że tak naprawdę nikt nie chce wysłuchać odpowiedzi.

- Niczym specjalnym. Sprzedaję udziały w spółkach lokalnych wdowom i makaroniarzom.

- Naprawdę? - Walter opuszcza rękę i obmacuje mięsień pleców. Kucając, przesuwając wzrok po listwie przypodłogowej, obliczając kąt osadzenia.

Po wojnie niektórzy z nas pokupowali łódzie mieszkalne w zatoce Vermilion koło Tigre au Chenier. Wade wszystko załatwił. W typowy dla siebie sposób znalazł kucharza-dozorcę mieszkającego na bagnach i zorganizował prawdziwych murzyńskich przewodników. Dla mnie jednak ta wyprawa nie była udana. Prawdę mówiąc, okazała się nudna. Właściwie to niewiele miała wspólnego z łowieniem ryb i polowaniem, a bardzo wiele z grą w pokera i piciem. Walter niczego nie lubił bardziej niż wybrać się na te bagna w weekend z kilkoma kolegami, przestać się golić i grać na okrągło w pokera. Naprawdę to lubił. O trzeciej nad ranem wstawał z jękiem od stołu, nalewał sobie porcję alkoholu i masując brodę, stał wpatrzony w ciemność. „Cholera, jest niezłe, co? Czyż to nie kapitalny układ, Binx? Jutro będziemy tu jedli kaczkę w sosie rochambeau. Powiedz szczerze, czy kiedyś kosztowałeś lepszego jedzenia w Galatoires?” „Nie; jest bardzo dobra, Walterze”. „Proszę cię o szczerą opinię, Binx”. „Jest bardzo dobra”. Kiedyś wybarwił dozorcę Jake'a z kłopotów i lubił mieć go pod ręką. Jake siadał w pobliżu pokerzystów. „Jake, co sądzisz o tym gościu?” — pytał go Wade, wskazując ruchem głowy na mnie bądź jednego z pozostałych. Uważał, że Murzyni mają szósty zmysł, a szósty zmysł jego Murzyna jest szczególnie dobry. Jake zadzierał głowę, jakby zgłębiał zakamarki mojej duszy. „Trza na niego uważać! Teraz pan Binx jest w porządku!” I jakimś sposobem, bardziej zadziwiającym niż jego szósty zmysł, Jake'owi udawało się wyświadczyć uprzejmość Walterowi i nie być nieuprzejmym wobec mnie. Łódź mieszkalna wydawała się dobrym pomysłem, ale jak się okazało, przyprawiała mnie o przygnębienie. Prawdę powiedziawszy, wolę kobiety. Na tych bagnach mogłem myśleć jedynie o tym, jak bardzo chciałbym dotykać Marcii bądź Lindy i mknąć wzdłuż wybrzeża Zatoki.

Prawdę mówiąc, w towarzystwie Waltera zawsze byłem trochę zakłopotany. Ilekroć z nim jestem, czuję rozwieszony pod stopami odcinek starej liny, konieczność sprostania przyjaźni

nad przyjaciółmi, pielęgnowania niewymownej zażyłości. Faktem jest, że niewiele mamy sobie do powiedzenia. Łączy nas jedynie to głębokie, sympatyczne milczenie. Jesteśmy towarzyszami, to prawda, ale towarzyszami nieco zażenowanymi swoim towarzystwem. Przypuszczalnie z mojej winy. Od lat nie mam żadnych przyjaciół. Przez cały czas pracuję, zarabiam pieniądze, chodzę do kina i szukam towarzystwa kobiet.

Ostatni raz przyjaciół miałem osiem lat temu. Gdy wróciłem ze Wschodu i wylizałem się z ran, zaprzyjaźniłem się z dwoma facetami, których miałem nadzieję polubić. I polubiłem. Obaj byli porządnymi ludźmi. Jeden był eks-porucznikiem jak ja, absolwentem Uniwersytetu Kalifornijskiego, chudym wynędzniałym facetem, który lubił czytać poezję i włóczyć się po okolicy. Drugi był szalonym ekscentrykiem z Valdosty, prawdziwym młodym Burlem Ivesem z brodą i gitarą. Pomyśleliśmy, że dobrze byłoby wybrać się w podróż, wyruszyliśmy więc z Gatlinburga w Smokies, kierując się Szlakiem Appalaskim do Maine. Nikt z nas za kołnierz nie wylewał ani nie był milczkiem i mogliśmy gadać o kobietach, poezji i religii Wschodu. Spanie w szałasach bądź pod gołym niebem w chłodnych lasach iglastych, a potem wskakiwanie w biegu do wagonów pociągów towarowych wydawało się świetnym pomysłem. Byłem nawet pewien, że to właśnie chcę robić. Ale bardzo szybko popadłem w przygnębienie. Ilekroć rzeczywiście dobrze się bawiliśmy, na przykład siedząc przy ognisku lub spędzając czas z dziewczynami, miałem wrażenie, że moi przyjaciele mówią do mnie: „I co ty na to, Binx? Jest naprawdę w dechę, co, chłopcze?“, że właściwie odrywają wzrok od swoich dziewczyn, żeby to powiedzieć. Z jakiegoś powodu pogrążyłem się w głębokiej melancholii. Jacy porządni z nich goście, myślałem, jakże zasługują na to, by być szczęśliwi. Gdybym tylko potrafił ich uszczęśliwić. Ale piękno szaroniebieskich dolin, zamiast dawać radość, rozdzierało nam serca. „Co z tobą, Binx?“ - zapytali w końcu. „Drodzy przyjaciele“ - odparłem. - „Pożegnam się i będę wam dobrze życzył.

Chyba wrócę do Nowego Orleanu i zamieszkać w Gentilly". I tam odtąd mieszkam, samotny i przepelniony zdziwieniem, dziwiąc się dniem i nocą, nawet na chwilę nie wychodząc z tego zdziwienia. Od czasu do czasu moi przyjaciele wstępują do mnie, podnieceni jak to młodzi ekscentrycy, brodaci i na rowerach, po czym jadą do French Quarter, żeby posłuchać muzyki i znaleźć parę dziwek, a ja wciąż dobrze im życzę. I zostaję w domu z panią Schexnaydre. Włączam telewizor. Nie żebym tak bardzo lubił oglądać telewizję, ale to nie przeszkadza mi się dziwić. Właśnie dlatego nie mogę pakować się w kłopoty, w które oni się pakują. To rozprasza, a ja nawet na chwilę nie chcę wyjść z tego zdziwienia.

4

Walter proponuje, że zawiezie stryja Julesa do miasta. Przez otwarte drzwi salonu widzę ciotkę siedzącą przy kominku ze skronią wspartą na palcach dłoni. Białe światło spływa z nieba na jej zwróconą ku górze twarz. Otwiera oczy i na mój widok ruchem warg wypowiada bezgłośnie słowo.

Odnajduję Kate w suterenie — szoruje żeliwny kominek. Po świętach Bożego Narodzenia ona i Walter zabrali się do generalnego sprzątnięcia, usuwając nagromadzone przez stulecie warstwy farby ze starych ścian i kredensów, żeby odsłonić kryjące się pod nimi drewno cyprysowe i cegłę. Jakby dla podkreślenia ziemistości swej cery i chudości ciała, moja kuzynka przebrała się w koszulę i dżinsy. Jest wątła jak dziesięciolatka - mocne ma tylko uda. Czasem mówi o swoim *derriere*, wypina go jak kobiety na Beale Street i klepie się po nim. Rumienię się wtedy ponieważ jej tyłek jest niczego sobie, zdumiewająco szeroki, zagadkowy i nie ma tu z czego żartować.

Kate wita mnie radośnie, więc oddycham z ulgą. Ściska jedną nogę, opiera policzek na kolanie i szoruje żelazne obrzeże watą stalową. Siedząc bez skrupowania pośród stosu minionych wiosen, połamanej wikliny, popękanych piłek do krykieta i butwiejących hamaków, ma nade mną przewagę. Teraz wyciera obrzeże kominka rozpuszczalnikiem; obrzeże robi się jaśniejsze.

- No i? Nie powinienes mi o czymś powiedzieć?

— Powinienem, ale nie pamiętam, o czym.

- Binx, Binx. Masz mi mówić o wszystkim.

- To prawda.

- Skończy się tym, że to ja ci powiem.

- Tak byłoby lepiej.

—Jak sobie radzisz w świecie?

—Tak to nazywacie? Naprawdę nie wiem. W zeszłym miesiącu zarobiłem trzy tysiące dolarów... minus zyski z tytułu przyrostu wartości kapitału.

—Jak uszedłeś z życiem z wojny?

- Ty nie miałaś z tym nic wspólnego.

- An-an-an. - To typowe starcie między nami, teraz mające w sobie więcej z żartu niż z kłótni. - I jakim cudem wydajesz się taki rozsądny mojej matce?

—W jej obecności czuję się rozsądny.

—Ona myśli, że jesteś jednym z ludzi jej pokroju.

—Czyli kim?

—Prawdziwym Bollingiem. Jules uważa, że jesteś przebojowy. Ale mnie nie oszukasz.

- Ty wiesz.

- Tak.

- Więc kim jestem?

— Jesteś jak ja, ale gorszy. O wiele gorszy.

Kate jest w umiarkowanie dobrym nastroju. Nie trzeba zwracać na nią zbytniej uwagi. Spostrzegam bambusową poręcz zdekompletowanej kozetki. Ma w sobie coś: ducha dwudziestu

lat w Felicianie. Siadam na kościstym grzbiecie wiklinowego mebla i wspieram się dłońmi o kolana.

— Przypomniałem sobie, po co przyszedłem. Pojedziesz do Lejierów obejrzyć paradę?

Kate prostuje nogę, żeby sięgnąć po papierosy. Rytuał palenia bardzo jej się przydaje. Wyciąga paczkę, zgniata ciepły celofan, gwałtownie i precyzyjnie stuka papierosem o paznokieć kciuka, zapala go zapalniczką wygładzoną od pocierania i żółta jak kieszonkowy zegarek. Odgarniając do tyłu obcięte po chłopcemu włosy, wydmuchuje z płuc smugę szarego dymu i zdejmuje z języka odrobinę tytoniu. Przypomina mi studentki sprzed wojny, to, jak siedziały w pięć bądź sześć w kabriolecie, sprawiając na mnie wrażenie starych i zachowując posępne milczenie wobec mężczyzn i przedstawicieli własnej płci, to, jak szukały ucieczki w swoich papierosach: w ściąganiu celofanu, w szczęku zapalniczek, w gęstych smugach dymu wypuszczanego z przeciągłym westchnieniem.

— To jej pomysł?

- Tak.

Kate zaczyna kiwać głową.

—Pewnie odbyliście prawdziwą naradę wojenną - mówi, nie przerywając kiwania.

—Niezupełnie.

—Nigdy nie rozumiałeś dynamiki jej poczynań.

—Dynamiki jej poczynań?

—Jak sądzisz, o czym z nią rozmawiam?

—O czym?

—O tobie. Mam już tego dosyć.

Teraz naprawdę przyglądam się Kate. Jej głos nagle przybrał „obiektywny” ton. Odkąd zaczęła pracować w opiece społecznej, zdarzają się jej okresy szczerych rozmów, podczas których recytuje historie swoich podopiecznych monotonnym głosem uczonoego: „...i cały czas było zupełnie oczywiste, że ta biedna kobieta nigdy nie doznała orgazmu”. „Czy coś takiego jest możliwe?!”

- wołałem i oboje kręciliśmy głowami z silnym poczuciem naszego nowego braterstwa, braterstwa nauki, która nie jest na tyle obiektywna, by można było gardzić szaleństwami i ignorancją świata.

W taktyce mojej kuzynki stosowanej przeciwko jej macosze nie ma nic nowego. Prawdę mówiąc, nie przeszkadza mi to. Wydaje się, że owo odkrycie możliwości, które stwarza nienawiść, dość dobrze jej służy. Wpływa ożywczo. Czyni z sutereny bardziej przyjazne miejsce. Nienawiść Kate jest konsekwencją gwałtownej zmiany w jej dialektyce. W ostatnich kilku miesiącach zniecała wróciła do ojca (suterena ma być pokojem telewizyjnym dla niego). Początkowo była córeczką tatusia. Później, w decydującym momencie jej młodzieńczego buntu, pojawiła się postać macochy, ta bystra, czarująca i przede wszystkim inteligentna kobieta. Stała się dla Kate punktem skupienia wszystkich sił, które dotąd ledwie odczuwała jako niezbyt sprecyzowane przejawy niezadowolenia. Jeżeli nie miała wiele pożytku z ojcowskich zwyczajów, z jego wytrwałości, jego katolickiego braku powagi, jego niewybrednych żarcików, jego głupiego uwielbienia dla swojego Boga, dobrego Pana, z jego nieustannych natarczywych próśb, by po prostu była dobra, by zwracała uwagę na to, co mówią siostry, i podążała jego drogą, jego idiotyczną drogą wewnętrznej wiary i zewnętrznych dobrych duchów — jeżeli nie miała z tego wiele pożytku, to o tym, jak mało go ma, dowiedziała się dopiero wtedy, gdy znalazła się w orbicie tej czarującej osoby. Macocha zajęła się nią i dała jej swobodę. W tej starszej kobiecie, starszej niż matka, a mimo to będącej trochę siostrą, moja kuzynka znalazła najbardziej bez troską i radosną buntowniczkę oraz towarzyszkę. Otworzył się przed nią świat książek, muzyki, sztuki oraz idei. Choć później jej macocha miała się zatrzeć politycznymi działaniami Kate - bunt duchowy, wzlot ducha poza wąskie horyzonty zaścianka ku wzniosłym rejonom Literatury i Życia to jedno (nic złego nie było też w dziewczęcym socjalizmie Sary Lawrence), ale

polityczny spisek tu i teraz, w Nowym Orleanie, z cudzołożnicami z miejscowych księgarń i pewnym enigmatycznym typem pracownic opieki społecznej, które moja ciotka znała aż nadto dobrze, to coś zupełnie innego. Ale mimo wszystko, teraz, gdy stało się to już przeszłością, tak naprawdę nie było to takie złe. Faktycznie, w miarę upływu czasu, mogło nawet nabrać posmaku *Studententage*. „Jak dobrze pamiętam dni - mówiła jej macocha - kiedy my, miłośnicy Wagnera, prychaliśmy na dźwięk muzyki starego Brahmsa... O, pełne entuzjazmu i buntu czasy młodości!”. Teraz jednak to ona, moja ciotka, pada ofiarą wyznawanej przez pasierbicę dialektyki nienawiści. Było rzeczą nieuchronną, że Kate uwolni się od swojej macochy i „przejrzy” ją, tak jak uwolniła się od ojca, i że w wyniku takiej samej gwałtownej zmiany dialektyki ponownie odkryje w ojcu autentycznego luizjańskiego przedsiębiorcę i jeśli nawet nie pójdzie z nim na mszę, to zbuduje mu pokój telewizyjny. Było rzeczą nieuchronną, że zrezygnuje ze słuchania filharmoników na piętrze i zainteresuje się Gillette Cavalcade w suterenie. Mnie, jak mówię, jest zupełnie obojętne, którego z rodziców darzy obecnie sympatią. Niepokoi mnie jednak mizerność jej zasobów. Dokąd zaprowadzi Kate ta jej dialektyka? Co po stryju Julesie? Boję się, że nie z powrotem do macochy, ale w jakiś ślepy zaułek, gdzie będzie musiała zdać sobie sprawę z tej dialektyki. „Znienawidzę ją zatem i kochaj Julesa - mam ochotę jej poradzić. - Ale na tym poprzestań. Nie próbuj kolejnej wolty”.

— Więc nie pojedziesz do Lejierów - mówię.

Kate kładzie papierosa na jakiejś skorupie i wraca do szorowania.

— I nie wybierasz się na bal? - pytam.

— Nie.

— Nie chcesz zobaczyć Waltera w roli kapitana *krewe*?

Kate odwraca się i jej oczy robią się okrągłe.

— Nie waż się traktować Waltera jak głupka!

— Nie robię tego.

- Myślisz, że nie widziałam, jak obaj zadzieraliście nosy przy lunchu? Jakaż piękną tworzycie parę!
- Myślałem, że to my ją tworzymy.
- Ty i ja nie jesteśmy żadną parą.
Chwilę się nad tym zastanawiam.
- Miłego dnia - mówi Kate z rozdrażnieniem.

5

Rozmawiamy, ja i ciotka, starym zwyczajem, podczas przerw w muzykowaniu. Ciotka gra Chopina. Nie jest dobrą pianistką; stuka paznokciami w klawiaturę. Gra jeden ze swoich ulubionych utworów, *Etiudę es-moll*. W ostatnich latach zacząłem traktować muzykę podejrzliwie. Kiedy ciotka dochodzi do frazy, która kiedyś zespałała nas szczególną więzią i na którą kiedyś otwierałem się ze wzruszeniem jak młode dziewczę, staję się nieczuły.

Pyta nie o Kate, ale o moją matkę. Ciotka tak naprawdę nie lubi mojej matki; mimo to, zważywszy na okoliczności, na to, że mój ojciec był lekarzem, a matka pielęgniarką, która za niego wyszła, lubi ją, jak tylko potrafi. Nigdy nie powiedziała o niej złego słowa i rzeczywiście bardzo stara się być dla niej miła. Twierdzi nawet, że mojemu ojcu „szczęśliwie trafiła się” taka wspaniała dziewczyna. Chce przez to powiedzieć, że ojciec w pewnym sensie zdał się na szczęśliwy traf. Wszystko, co ciotka tak naprawdę ma za złe mojej matce, a w rzeczywistości nie jej, lecz mojemu ojcu, to brak wyobraźni, którego ojciec dowiódł swoim ożenkiem. Czasem mam wrażenie, że to, kim była moja matka i kim jestem ja, zależało od przypadkowego wyboru przełożonej pielęgniarek w Biloxi. Gdy ojciec wrócił ze studiów medycznych i rezydentury chirurgicznej w Bostonie, żeby prowadzić praktykę z moim dziadkiem w gminie Feliciano, zwrócił

się z prośbą o przysłanie pielęgniarki. Nazajutrz czekał (ja też czekałem), żeby zobaczyć, kto przyjdzie. Drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła kobieta, która - jak się okazało - gdyby tylko nie była kaleką lub zupełnym brzydactwem, i tak zostałaby jego żoną i moją matką. Moja matka jest katoliczką, określaną w kręgu znajomych ciotki Emily mianem „pobożnej katoliczki”, co znaczy jedynie, że jest praktykującą katoliczką, ponieważ nie sądzę, by była pobożna. To wyjaśnia fakt, że ja też jestem, przynajmniej formalnie, katolikiem.

Po śmierci mojego ojca ciotka posłała mnie do prywatnego liceum; podczas studiów mieszkalem w jej domu. Powróciwszy do pracy w szpitalu w Biloxi, moja matka wyszła ponownie za mąż i mieszka teraz nad Zatoką Meksykańską, gdzie jej mąż jest dealerem Western Auto. Mam sześcioro przyrodniego rodzeństwa nazwiskiem Smith. Czasem w lecie wpadam ze swoją Marcia lub Lindą do ich obozowiska nad Bayou des Allemands, gdzie łowią ryby.

Teraz ciotka Emily, stukając paznokciami w klawisze, wraca do melodii, słodkiego smutnego dziewiętnastowiecznego muzycznego szczebiotu, najlepszego, ale nie dość dobrego. Żeby się przed tym ochronić, ściągam z kominka jedną z fotografii.

- Przyjdzie? - pyta ciotka podczas przerwy.
- Kate? Nie.
- No cóż. Trudno.

Znowu ustawiam zdjęcie do światła. Niebo robi się ciemne, zerwał się rzeński wiatr.

- Czemu nie znalazłaś się na tym zdjęciu, skarbie? - pytam ją. - Nie było cię tam?

- Bynajmniej. Wiesz, co oni chcieli zrobić?
- Co?

- Pojechać na Węgry polować na przepiórki. Powiedziałam: „Boże święty, przecież na przepiórki możecie polować w Felicianie”. W każdym razie słyszałam, że coś dziwnego dzieje się w Monachium. Był jakiś pucz i miałam złe przeczucia. Oni więc

pojechali polować na przepiórki na Węgrzech, a ja obejrzeć swój pucz. - Przygląda się, jak odkładam zdjęcie na miejsce. - Więcej takich jak oni nie zobaczymy. Epoka Katonów minęła. Został tylko mój Jules. I Sam Yerger. Czyż nie byłoby miło znowu się z nim zobaczyć?

To oczywiście absurd. Stryj Jules nie jest żadnym Katonem. A co do Sama Yergera - Sam bywa Katonem tylko w długie niedzielne popołudnia i w towarzystwie mojej ciotki. Ona każdego odmieni. Mercera wciąż uważa za starego sługę. W stryju Julesie wciąż widzi kreolskiego Katona, ostatniego z bohaterów — podczas gdy prawda wygląda tak, że stryj Jules jest obrotnym potomkiem francuskich osadników z Kanady, prosto z Buyou Lafourche, równie zaradnym jak marsylski kupiec, i dobrym człowiekiem, ale żaden z niego Katon. Ciotka tworzy jednoznaczne wizerunki bohaterów lub ludzi tchórzliwych, szlachetnych lub niegodziwych, ze wszystkich pojedynczych kawałków przeszłości, z wszystkiego, co w ludziach słabe i nijakie. Ma tak silną osobowość, że czasami faktycznie przemienia ludzi i ich przeszłość. Stają się kimś, za kogo ich uważa. Stryj Jules zaczął uważać się za jednego z kreolskich obywateli Rzymu, Beauregarda pośród Robertów Lee. Mercera od czasu do czasu nie sposób odróżnić od starego sługi. Prawdę mówiąc, nie wiem, i Mercer też nie wie, kim w rzeczywistości jest.

Sztorm, który wisiał w powietrzu od południa, teraz zrywa się nad naszymi głowami. Grzmot wstrząsa szybami okien. Wychodzimy na balkon, żeby się przyglądać. Gwałtowny wiatr znad Zatoki tnie liście bananowców na wstęgi i rozwiewa zwiędłe kwiaty kamelii po podwórzu. Całuny deszczu, rozsunięte na chwilę przez dom, na powrót pośpiesznie łączą się ze sobą. Kawałki gałązek drzew kamforowych grzechoczą na dachu. Przechadzamy się ramię w ramię po osłoniętym od wiatru balkonie niczym pasażerowie statku po promenadzie.

- Po pobycie w Niemczech uparłam się, żeby wrócić do Anglii. Chciałam znowu zobaczyć Krainę Jezior.

- Ojciec pojechał z tobą?

- Jack? Ależ skąd. Spotkał dwóch kumpli z Charlottesville i Princeton, i pognali w górę Renu. Wyruszył z butelką Liebfraumilch pod jedną pachą i egzemplarzem *Wilhelm Meister* pod drugą. (Ale, myślę po raz setny, twój studiujący książkę i ironiczny młody goguś ze zdjęcia na gzymsie kominka nie pasują do siebie).

- Jack - powtarza zmienionym głosem i Schwarzwald natychmiast odsuwa się na odległość dwóch tysięcy mil i czterdziestu lat.

- Tak, ciociu. - Czuję na karku straszne, ale nie nieprzyjemne eschatologiczne dreszcze.

Wyruszamy na przechadzkę. Ciotka stąpa ostrożnie, stawiając czubek buta równo z krawędzią desek. Przyciska palec do ust, ale nie sposób ocenić, czy małuje się na nich uśmiech, czy grymas.

- Wczoraj w nocy biłam się z myślami. Dziś rano nadal wydawało mi się to rozsądne. Co o tym sądzisz?

- O czym? - Włosy na karku jeżą mi się jak bulterierowi.

- W zeszłym tygodniu uciełam sobie w Great Books pogawędkę ze starym doktorem Minorem. Nie wspomniałam o tobie. Sam to zrobił. Zapytał, co porabiasz. Gdy mu wyjaśniłam, powiedział, że to przykre, bo... nie miał powodu tak mówić, gdyby to nie było prawda... masz błyskotliwy umysł i wrodzoną dociekliwość uczonego.

Wiem, co zaraz powie. Ciotka jest przekonana, że posiadam „zmysł badawczy”. To nieprawda. Gdyby tak było, prowadziłbym badania. W rzeczywistości nie jestem zbyt inteligentny. Uczyłem się przeciętnie. Matka i ciotka uważają mnie za inteligentnego, bo jestem milczący i roztargniony — i dlatego, że mój ojciec i dziadek byli inteligentni. Myślą, że powinienem być naukowcem, ponieważ nie nadaję się do robienia niczego innego — jestem geniuszem, którego zwykłe profesje nie mogą satysfakcjonować. Pewnego łąta nawet próbowałem zostać badaczem.

Zaciekawiła mnie rola równowagi kwasowo-zasadowej w tworzeniu kamieni nerkowych; to naprawdę dość interesujący problem. Miałem przeczucie, że oddziałując na pH krwi świń, można doprowadzić do powstania kamieni szczawianowych, a może nawet je rozpuszczać. Mój przyjaciel, chłopak z Pittsburga nazwiskiem Harry Stern, i ja poczytaliśmy o tym w literaturze przedmiotu, a następnie przedstawiliśmy problem Minorowi. Był zachwycony, dał nam wszystko, czego potrzebowaliśmy, i swobodę działania przez całe lato. Wtedy jednak zdarzyła się rzecz osobliwa. Letnie popołudnia w laboratorium wywierały na mnie niezwykle wpływ. Sierpniowe słońce wlewało się przez wielkie, zakurzone nadświetla i kładło się żółtymi smugami w całym pomieszczeniu. Stary budynek tykał i trzeszczał pod wpływem ciepła. Za oknami słyszeliśmy okrzyki studentów letnich kursów grających w futbol dla rozrywki. Żółte światło słońca przesuwano się po starych grupowych zdjęciach kadry wydziału biologii. Budynek rzucił na mnie urok; przesiadywałem na podłodze i przyglądałem się, jak pyłki wznoszą się i opadają w słońcu. Zwróciłem uwagę Harryego na niezwykłość tego miejsca, ale on tylko wzruszył ramionami i dalej pracował. Osobliwości czasu i przestrzeni w ogóle nie robiły na nim wrażenia. Mógł przebywać gdziekolwiek. Było mu obojętne, czy cewnikował świnię o czwartej po południu w Nowym Orleanie, czy o północy w Transylwanii. Przypominał tych uczonych z filmów, których obchodzi wyłącznie rozważany problem - oto człowiek, który naprawdę ma „zmysł badawczy” i o którym usłyszy kiedyś świat. Mimo to nie zazdroścę mu. Nie zamieniłbym się z nim, nawet gdyby odkrył lek na raka. Jest bowiem tak samo nieświadom otaczającej go tajemnicy jak ryba istnienia morza, w którym pływa. Mógłby prowadzić badania przez tysiąc lat i nie mieć o niej pojęcia. W połowie sierpnia nie rozumiałem, jakie - w zestawieniu z zagadkowością tych letnich popołudni — znaczenie ma to, czy świnię dostaną kamicy nerkowej, czy nie (nawiasem mówiąc, nie dostały). Zapytałem Harry'ego, czy mi wybaczy. Uczynił to dość

chętnie, ponieważ marny miał ze mnie pożytek. Przeniosłem się do French Quarter, gdzie spędziłem resztę wakacji w poszukiwaniu ducha lata w towarzystwie atrakcyjnej i speszonej dziewczyny z Bennington, która wyobrażała sobie, że jest poetką.

Teraz jednak byłem w błędzie. Ciotka nie sugerowała, bym zajął się pracą badawczą.

- Chcę, żebyś pomyślał o rozpoczęciu tej jesieni studiów medycznych. W głębi serca zawsze przecież tego pragnąłeś. Do prowadziłam do porządku twoją dawną garsonierę w wozowni. Zobaczysz... Dodałam małą kuchenkę i trochę półek na książki. Będziesz mieszkał w całkowitym odosobnieniu. Nie będziemy cię nawet wpuszczać do domu. Nie, nie chodzi o to, że chcę zrobić coś dla ciebie. Moglibyśmy skorzystać z twojej obecności. Kate przeżywa coś, czego nie rozumiem. Jules, mój drogi Jules, nie chce nawet przyznać, że coś jest nie w porządku. Ona zawsze słuchała tylko ciebie i Sama.

Dochodzimy do naroża balkonu i wiatr nawiewa nam na twarze ciepłą mgiełkę. Czuć woń dolatującą z wysp na południu. Deszcz słabnie i słychać syk opon na mokrym asfalcie.

- Oto, co zrobimy. Gdy tylko nadejdą upały, wszyscy, całą rodziną, z Walterem włącznie, pojedziemy do Fiat Rock. Walter obiecał już, że pojedzie z nami. Spędzimy długie przyjemne lato w górach, wrócimy tu we wrześniu i weźmiemy się do pracy.

Dwa samochody ścigają się zderzak w zderzak Prytania Street; ktoś donośnie przeklina żalostnym ochryplym głosem. Nasze kroki rozbrzmiewają w suterenie poniżej niczym wystrzały z pistoletu.

- Sam nie wiem.
- Pomyśl o tym.
- Dobrze, ciociu.

Ciotka Emily nie uśmiecha się. Zatrzymuje mnie.

- Czego ty chcesz od życia, chłopcze? - pyta ze słodyczą w głosie, która mnie niepokoi.

—Nie wiem. Ale wprowadzę się, kiedy tylko ciocia zechce.

—Nie czujesz się w obowiązku ruszyć głową i wnieść jakiś wkład?

—Nie, ciociu.

Ciotka czeka, aż coś dopowiem. Gdy milczę, sprawia wrażenie, że już nie pamięta o swoim pomysśle. Wcale nie mając mi za złe odmowy, bierze mnie pod rękę i kontynuujemy nasz spacer.

— Przestałam już udawać, że rozumiem świat. - Potrząsa głową, groźny słodki uśmiech nie znika jednak z jej twarzy. — Świat, który znałam, runął z hukiem. Na wszystko, co jest nam drogie, pomstuje się i pluje. — Kiwa głową w stronę Prytania Street. — Będziesz żył w ciekawej epoce... chociaż trudno powiedzieć, bym żałowała, że mnie to ominie. Ale kres chylącego się ku upadkowi kraju stanowiłby nie lada widok. Chodzi oczywiście o nas. I zapewniam cię, mój młody przyjacielu: to schyłek; koniec jest bliski.

Również w jej przypadku gmach świata się rozpada, ale dla niej nawet ten rozpad jest sensowny. Ona rozumie nadciągający chaos. Gdy widzę to jej oczyma, wydaje się to takie zwyczajne. Mój życiowy obowiązek jest prosty. Idę na medycynę. Wiodę długie pożyteczne życie, służąc moim bliźnim. Cóż w tym złego? Muszę tylko o tym pamiętać.

— ...jesteś zbyt inteligentny, by to zmarnować. Niezupełnie wiem, co robimy na tym marnym padole wirującym w mrocznym zakątku wszechświata. To sekret, którego najwyżsi bogowie mi nie wyjawili. A jednak w jedno wierzę, i to wierzę każdą cząstką swojego jestestwa. Człowiek musi żyć według własnych zasad i robić tyle, ile może, i najlepiej, jak tylko potrafi. Na tym świecie dobroć skazana jest na porażkę, ale człowiekowi nie wolno polec bez walki. Na tym polega zwycięstwo. Czyńć mniej to nie być w pełni człowiekiem.

Ciotka ma rację. Zgodzę się. Zgodzę się, mimo że tak naprawdę nie wiem, o czym ona mówi. Słyszę jednak własne słowa:

- Właściwie to zamierzałem wkrótce opuścić Gentilly, tyle że z innego powodu. Jest coś... - Milknę. Mój pomysł poszukiwań wydaje się absurdalny.

Ku mojemu zaskoczeniu ta mętna odpowiedź zostaje przyjęta z zadowoleniem przez ciotkę.

— Oczywiście! — woła. - Robisz coś, co robili wszyscy mężczyźni. Gdy twój ojciec ukończył college, odbył swoją *Wanderjahr*, wspaniałą roczną wędrówkę w górę Renu i w dół Loary, ze śliczną dziewczyną i dobrym towarzyszem przy boku. A co przydarzyło się tobie, gdy skończyłeś studia? Wojna! I dlatego jestem z ciebie taka dumna. Ale to wystarczy, by wyczerpać każdego mężczyznę.

Wanderjahr. Serce mi zamiera. Jednak się nie rozumiemy. Gdybym myślał, że spędziłem ostatnie cztery lata na *Wanderjahr* poprzedzającej „ustatkowanie się”, od razu bym się zastrzelił.

— Wyczerpać mnie? Co przez to rozumiesz?

- Twoje naukowe powołanie, twoją miłość do książek i muzyki. Nie pamiętasz, jak rozmawialiśmy... w długie zimo we wieczory, gdy Jules kładł się spać a Kate szła na tańce, jakie prowadziliśmy rozmowy! Aż słońce miało dosyć i kryło się za horyzontem. Nie pamiętasz, jak odkrywałaś Eurypidesa i *Jana Krzysztofa*?

—To ty odkrywałaś ich dla mnie. Zawsze dzięki tobie... - Nagle czuję się senny. Postawienie kolejnego kroku wymaga wysiłku. Na szczęście ciotka postanawia usiąść. Wycieram żelwną ławkę chusteczką i siadamy, wciąż ramię w ramię. Ciotka mnie poklepuje.

—No, a teraz chcę, żebyś mi coś obiecał.

—Dobrze, ciociu.

- Za tydzień są twoje urodziny.

- Naprawdę?

- Skończysz trzydzieści lat. Nie uważasz, że trzydziestoletni mężczyzna powinien wiedzieć, co chce zrobić ze swoim życiem?

—Uważam.

—I powiesz mi?

—Wtedy?

-Tak. W przyszłą środę po południu... po wyjeździe Sama. Spotkamy się w tym miejscu. Obiecasz, że przyjdiesz?

— Tak, ciociu. - Ciotka wiele oczekuje od wizyty Sama Yergera.

Podciągając rękaw koszuli, żeby spojrzeć na zegarek, wstrzymuje oddech.

—Powrót do skrzywdzonych przez los i tych, co na ogół nic nie znaczą.

—Skarbie, najpierw się połóż i pozwól, że pomasuję ci kark. - Poznaję po wyrazie jej oczu, że boli ją głowa.

Później, gdy Mercer podjeżdża samochodem pod schody od frontu, ciotka przytula się ciepłym suchym policzkiem do mojego policzka.

—Jesteś dla mnie wielką pociechą. Tak bardzo przypominasz mi swojego ojca.

—Jakoś nie bardzo go pamiętam.

—Był przeuroczym staruszkiem. Takim radosnym. I dziewczyny traciły dla niego głowę. I co za umysł! Miał umysł niczym stalowa pułapka, umysł analityczny jak twój. - (Zawsze to mówi, mimo że nigdy niczego nie analizowałem). - Miał najlepsze dziewczyny w Nowym Orleanie. (I wybrał Annę Castagne).

Mercer, który przebrał się w prążkowaną marynarkę i czapkę, przytrzymuje z niechęcią drzwi auta i wyciągając szyję, spogląda w górę i w dół ulicy, jakby chciał powiedzieć, że może i jest szoferem, ale na pewno nie lokajem.

Ciotka wsiada do samochodu, lecz nie puszcza mojej dłoni.

— Jako uczony byłby o wiele szczęśliwszy - mówi i pozwala mi odejść.

6

Deszcz ustał. Kate woła mnie spod schodów.

Jest w doskonałym nastroju. Pokazuje mi cegłę znaną pod linoleum i żaluzje, które Walter kupił na złomowisku. Martwi się, że po usunięciu farby żaluzje wyszły z kadzi trochę wytarte.

- Tutaj powstanie z nich przepierzenie. Fontanna i żardyniera znajdą się w tym miejscu.

Po przedłużeniu przepierzenia do ogrodu, róg ściany zostanie obudowany, dzięki czemu powstanie ładna mała wnęka.

Widzę, dlaczego moja kuzynka jest taka poważna: naprawdę wydaje się, że jeżeli zdoła trafić na właściwe miejsce, zamknięte miejsce z cegieł, winorośli i płynącej wody, będzie mogła jakoś przeżyć.

- Czuję się wspaniale.

- Czemu zawdzięczasz to wspaniałe samopoczucie?

- To przez ten sztorm. - Kate opróżnia pękniętą kanapę i ściąga mnie na nią, powodując trzask wikliny. - Rozpętała się burza, ty i matka chodziliście tam i z powrotem, a ja przyrzędziłam sobie sporego drinka i cieszyłam się każdą chwilą.

- Jesteś gotowa jechać do Lejjerów?

- Nie mogłabym tego zrobić - odpowiada, skubiąc kciuk.

— Dokąd się wybierasz? - pyta nerwowo, w nadziei, że wyjdę.

- Na Magazine Street. - Wiem, że nie słucha. Oddycha płytko i nieregularnie, jakby zastanawiała się nad każdym oddechem. — Czy tym razem jest źle?

Kate wzrusza ramionami.

- Tak źle jak ostatnio?

—Trochę lepiej. -Wymierza sobie klapsa w kolano. — Biedny Walter — mówi po chwili.

- Coś mu dolega?

- Wiesz, co on tu robi?

- Nie.

- Mierzy ściany. Nosi w kieszeni małą stalową taśmę. Nie może się nadziwić, jakie są grube.

- Masz zamiar za niego wyjść?

- Nie wiem.

- Twoja matka myślała, że wciąż przejmujesz się tym wypadkiem.

- Spodziewałeś się, że powiem jej coś innego?

- Że się nim nie przejmujesz?

- Że zawdzięczam mu swoje życie. To moja tajemnica, tak samo jak wojna dla ciebie.

- Mnie wojna nie przypadła do gustu.

- Bo później wszyscy mówili: jakież przerażające przeżycia ją spotkały i czyż nie radzi sobie nadzwyczaj dobrze. No więc wtedy rzeczywiście bardzo dobrze sobie radziłam. Byłby ze mnie dobry żołnierz.

- Czemu chcesz zostać żołnierzem?

—Jakże prosta byłaby walka. Jak przyjemnie musi być wśród ludzi, którzy boją się po raz pierwszy, gdy ty sam po raz pierwszy w życiu możesz bać się właściwego wroga z krwi i kości. Ale heca! Czyż nie na tym polega sekret bohaterów?

- Trudno powiedzieć. Nie byłem bohaterem. Kate pogrąża się w zadumie.

- Czy pamiętasz najszcześniejszy moment swojego życia?

- Nie. Chyba że było nim odejście z wojska.

- Ja pamiętam. To było jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego. Miałam wtedy dziewiętnaście lat i zamierzałam wyjść za Lyella, a Lyell był wspaniałym gościem. Jechaliśmy samochodem z Pass Christian do Natchez, żeby się spotkać z rodzicami Lyella, a nazajutrz wybieraliśmy się do Oxfordu zobaczyć mecz. Pojechaliśmy więc do Natchez, a następnego dnia do Oxfordu. Obejrzeliśmy mecz i poszliśmy potańczyć. Oczywiście, po tańcach Lyell musiał wrócić do domu. Dotarliśmy prawie do Port Gibson - chociaż było już po świcie, wciąż utrzymywała się przygruntowa mgła. W obniżeniach terenu na

Natchez Trace Parkway nadal panował mrok. W jednym z nich Lyell wyprzedzał jakiś samochód. Było to coupe z namalowanym na drzwiach słowem „Żwawy”. - Kate opowiada o tym swoim słabym analitycznym głosem, delektując się jakby osobliwością tej sytuacji. - Ten napis był ostatnią rzeczą, jaką widziałam. Lyell zderzył się czołowo z ciężarówką pełną zbieraczy bawełny. Pewnie osunęłam się w fotelu tak nisko, że zwinęłam się w kłębek. Gdy się ocknęłam, leżałam na werandzie jakiejś chałupy. Nie miałam nawet draśnięcia. Usłyszałam, jak ktoś powiedział, że biały człowiek zginął. Byłam w stanie myśleć tylko o jednym: nie chciałam, żeby mnie zabrano do rodziny Lyella w Natchez. Dwaj policjanci zaproponowali, że zawiozą mnie do szpitala. Ale czułam się dobrze... ktoś zrobił mi zastrzyk. Podeszłam i spojrzałam na Lyella. Wszyscy myśleli, że jestem zwykłym gapiem. Żwir wbił mu się w policzek. Na drodze stało dwadzieścia parę samochodów, a potem przyjechał autobus. Wsiadłam do autobusu i pojechałam do Natchez. Na bluzce miałam plamy z krwi, kiedy więc dotarłam do hotelu, wysłałam ją do czyszczenia, wzięłam kąpiel i zamówiłam obfite śniadanie. Opróżniłam talerz i przeczytałam niedzielne wydanie gazety. Wciąż pamiętam, jak bardzo smakowała mi kawa. Gdy bluzkę przyniesiono z pralni, ubrałam się, poszłam na dworzec i złapałam autobus Illinois Central do Nowego Orleanu. Po drodze spałam jak kamień. Wczesnym wieczorem wysiadłam przy Carrollton Avenue i poszłam do domu.

- Kiedy nastąpił ten najszcześniejszy moment?

— W autobusie. Stałam na przystanku, dopóki nie otworzyły się drzwi, wsiadłam i pojeździłam od jaskrawego słońca w dół przez głębokie rozpadliny, chłodne i mroczne jak ziemianka.

Moja kuzynka marszczy brwi i bębni palcami o wiklinę. Na rzece wyje syrena promu. U góry słychać warkot silnika. Mercer sądzi, że musi przyłożyć się do woskowania - zauważyłem, że Murzyni nie darzą maszyn sympatią.

- Wybacz - mówi Kate, wstając gwałtownie, i wychodzi. Przydaje się jej jankeska oszczędność w słowach: wychodzi, nie ujawniając swoich uczuć. Pompa wodna wydaje świszczący odgłos i zatrzymuje się ze stukiem. Gdy Kate wraca, rozgląda się, wyciągając szyję i uderza się po kowbojsku po rękę. Na dziedzińcu migocze światło, a pusty dom nad nami szumi niczym muszla morska.

- Czy to znaczy, że nie wyjdiesz za Waltera?
- Przypuszczalnie nie — mówi Kate, ziewając szeroko.
- Zobaczysz się z nim dziś wieczorem?
- Nie.
- Może pójdziesz ze mną?
- Nie - odpowiada, uderzając się po rękę. - Zostanę tutaj.

7

Podchodzi tak cicho, że początkowo myślę, że to czarnoskóry chłopak, który wywozi puszek z muszlami na ulicę i od czasu do czasu rozkłada całe ostrygi na pokruszonym lodzie. Bar ostrogowy mieści się między restauracją a kuchnią, stanowiąc coś w rodzaju korytarza, którym przechodzą kelnerki. Z krokwi zwisa żółta żarówka, ale drzwi towarowe są otwarte i korytarz tonie w wieczornym mroku.

Kate bębni palcami o obity blachą cynkową kontuar baru i spogląda nieprzytomnie, gdy mały Murzyn zmiata ostrogowy brud z wykafelkowanej podłogi. Barman stawia przed nią porcję ostryg.

- Nie mogę jechać do Lejierów i nie mogę wyjść za Waltera. Piję piwo i się jej przyglądam.
- Okłamałam cię. Jest źle.
- W tej chwili?
- Tak.

—Chcesz zostać tutaj czy wyjść?

—Ty mi powiedz - mówi roztargniona. Ktoś obcy, widząc ją, nie zauważyłby nic podejrzanego.

—Chcesz, żebym zadzwonił do Merle'a?

—Nie. Ten drugi sposób.

„Ten drugi sposób” przejścia przez kryzys odkryliśmy wcześniej. Chodzi o to, że ona staje się kimś w rodzaju małego chłopca i ja nie mam zwracać na nią zbyt dużej uwagi. Kate je brązowego samca, zimnego i słonego jak morze. Nie jest z nią tak źle. Widywałem ją w gorszym stanie.

— Pojedziemy na St Charles Avenue i obejrzymy paradę. Potem wyświetlą film, który chcę zobaczyć.

Kate kiwa głową i zaczyna dostrzegać kelnerki. Przygląda się im z rozchyłonymi zasychającymi ustami, jak chłopiec, który wszedł gdzieś z ojcem lub bratem, wolno mu więc widzieć, nie będąc widzianym.

Zdążyliśmy na przejście Neptuna przez centrum miasta. Tłum przeniósł się już z północnej strony St Charles Avenue na stronę południową. Jest dość ciemno. Uliczne latarnie tworzą złote pola w wilgotnych koronach dębów. Południowy wiatr niesie ze sobą zapach kawy z doków przy Tchoupitoulas Street. Policja konna spycha tłum na chodnik. W ciemne pole niczyje wchodzi Murzyni z Louisiana Avenue i Clairborne; niektórzy czarnoskórzy mężczyźni niosą dzieci na barana, żeby lepiej widziały w tłumie.

Oto żuraw samochodowy z pracownikami służb miejskich, mierzącymi prześwit między jezdnią a koronami dębów wirgińskich i obcinającymi wilgotne, zbyt nisko zwisające gałęzie. Czekamy, aż pojawią się ludzie z pochodniami, i teraz nadchodzi: straż przednia złożona z sześciu niezwykle Murzynów odzianych w brudne szaty Ku-Klux-Klanu, każdy z wysoko uniesioną parą różowych i białych pochodni. Pochodnie wywołują sensację. Niosący je mężczyźni kroczą szybko przy samym tłumie, obsypując wszystkich deszczem iskier. Spoglądają

gniewnie na siebie, pilnując, by trzymać równy szereg, oczyma osadzonymi w zawziętych czarnych twarzach zerkają na boki spod zabrudzonych kapturów. Kate śmieje się z nich. Śmieszają również czarnoskórych gapiów, ale też prowokują ich śmiałym sposobem bycia, pogardliwym traktowaniem tłumu.

- No, no! - słychać okrzyki. - Patrzcie na niego! Jednak jest kimś!

Platformy na kołach przetaczają się z łoskotem pod koronami drzew. Niektórzy ojcowie przynieśli ze sobą drabiny z przybitymi na górze skrzynkami na pomarańcze, mieszczącymi troje dzieci. Ci szczęśliwcy gapią się z rozdziawionymi ustami na maskiary, mijające ich na wysokości oczu, niemal w zasięgu ręki. Z osłonami na nosy i czarnymi oczodołami wyglądają niczym krzyżowcy. Jednak te widmowe postacie są dziwnie dobrodusne. Pochylają się do przodu i upuszczają całe naręcza naszyjników i bransolet lub rzucają je w kolorowy tłum stojący na neutralnym gruncie. Za platformami podążają licealne orkiestry z północnej Luizjany i Teksasu. Czarnoskórzy chłopcy biegną za tłumem, by nadążyć za paradą i chwycić świecidełka, które poszybowały za wysoko.

Kapitan *krewe* i księżę jadą ku nam konno.

Pytam Kate, czy chce się zobaczyć z Walterem.

- Nie.

— W takim razie lepiej już chodźmy.

W kinie przy Tchoupitoulas Street wyświetlają *Panikę na ulicach* z Richardem Widmarkiem. Film nakręcono w Nowym Orleanie. Richard Widmark jest inspektorem sanitarnym, który dowiaduje się, że w mieście wybuchła epidemia cholery. Kate wpatruje się w ekran z zaschniętymi rozchylonymi ustami. Rozumie moją kinomanię, tyle że na swój staroświecki sposób. W filmie jest scena ukazująca bezpośrednio sąsiedztwo kina. Moja kuzynka posyła mi spojrzenie — wiadomo, że podczas seansu nie odzywamy się do siebie.

Po filmie Kate rozgląda się po okolicy.

- Tak, teraz jej autentyczność została uwierzytelniona.

Moja kuzynka nawiązuje do fenomenu kinomanii, który nazywałem uwierzytelnieniem. Obecnie, gdy ktoś gdzieś mieszka, miejsce jego zamieszkania nie ma świadectwa autentyczności. Najprawdopodobniej będzie tam wiódł smutne życie, a przepełniająca go pustka będzie się rozprzestrzeniać, aż opróżni całą okolicę. Ale gdy zobaczy film, w którym to miejsce jest pokazane, zyska - przynajmniej na jakiś czas - możliwość egzystowania jako człowiek, który mieszka „gdzieś”, a nie „gdziekolwiek”.

Wydaje się, że Kate jest w lepszej formie, ale to nieprawda. Zastawia na siebie potrzask, tym razem będąc moim kumplem, najlepszym ze wszystkich kumpli, najgłębiej wtajemniczonym w moje drobne badania. Mimo wszystko nawet teraz zdaje sobie sprawę, że tylko odgrywa tę rolę. W jej długim koszmarze nasza dawna przyjaźń sama pada teraz ofiarą makabrycznego przeobrażenia, z pomocą którego moja kuzynka niezawodnie czyni okropnym wszystko, czego się dotknie.

Rozdział drugi

1

Ostatni weekend karnawału przed Mardi Gras; ruch w interesie jest niewielki. Dziś rano obudziłem się jednak z mocnym przecuciem co do American Motors. Sprzedaję swoje akcje zwykłe Forda i kupuję American Motors po dwadzieścia sześć i pół centa za sztukę.

Tego rana znowu sen o wojnie, niezupełnie sen, lecz namiastka snu, i znowu przyprawiający o mdłości pigwowy zapach roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego i Orientu nawiedza moje biuro. Nie chodzi o strach, lecz o zapach strachu, jest więc denerwujący i przyjemny zarazem, niczym ból zęba w zetknięciu z językiem. Wnika we wszystko, co znajduje się w biurze. Przypomina mi o nim analiza dochodów; przyszła jakaś pani, by odebrać obligacje AT&T, i też tak pachniała.

Jedynie moja sekretarka nie roztacza tego zapachu. Nazywa się Sharon Kincaid i pochodzi z Eufali w stanie Alabama. Choć pracuje dla mnie od dwóch tygodni, nie zaproponowałem jej randki ani nie rozmawiałem z nią o niczym poza sprawami służbowymi. Faktem jest jednak, że od dwóch tygodni myślę prawie wyłącznie o niej. Dotychczas sprawia wrażenie zupełnie obojętnej i tak naprawdę nie jest piękna. Nie należy do drobnych

dziewczyn: ma co najmniej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i waży ponad sześćdziesiąt kilo - jest duża jak mażoretka, twarz ma trochę zbyt krótką i nos zbyt perkaty, niczym modelka Renoira, a białka oczu nieco zbyt żółte. Mimo to odznacza się niesamowitą sterylną urodą. Jej tyłek jest tak piękny, że kiedy raz szła przez pokój do lodówki, poczułem, jak oczy pieką mnie od łez wdzięczności. Sharon zalicza się do tych wiejskich ślicznotek, których nie brak na Południu. Te cuda, te rumiane anglosaskie cuda milionami są płodzone przez wsioowych tatków i mamuski o kamiennych twarzach, w najobskurniejszych domach najobskurniejszych miasteczek. Są bardziej pospolite niż wróble i jak wróble nie są niczym niezwykłym na ulicach, w parkach i na progach domów. Nikt się nimi nie zachwyca, nikt ich nie ceni. Jak najszybciej wyfruwają ze swoich gniazd i lądują w dużych miastach, żeby tam zostać, i nikt za nimi nie tęskni. Nawet ich mężczyźni nie zwracają na nie uwagi, a w każdym razie o wiele bardziej interesują się pieniędzmi. Ja jednak zachwycam się nimi i za nimi tęsknię, i cenię je.

Odbywam kilka rozmów przez telefon z ciotką i z Kate. Wygląda na to, że moja kuzynka czuje się lepiej. Ciotka się cieszy i to mnie przypisuje zasługę. Umówiła Kate na wizytę u doktora Minka i Kate zgodziła się pójść. Gdy Kate do mnie dzwoni, przybiera swój analityczny ton. Trochę to męczące dla nas obojga. Nie wiedzieć czemu, moja kuzynka czuje się w obowiązku unikać wszystkiego, co konwencjonalne. Gdy odbieram telefon, zamiast: „Cześć, mówi Kate”, słyszę niski głos oznajmiający coś w rodzaju: „Cóż, noże zaczęły fruwać”, co znaczy, że ona i jej macocha zachowują się agresywnie w stosunku do siebie, albo: „No i co ty na to? Jednak będę obchodzić święto wiosny”, co, jak się okazuje, oznacza, że postanowiła, na swój ironiczny i przemyślany sposób, wziąć udział w dorocznej kolacji wydawanej dla dawnych królowych balu Neptuna. Jak mówię, to trochę męczące dla nas obojga, ale chętnie z nią rozmawiam. Prawdę powiedziawszy, martwię się o nią trochę bardziej niż ciotka Emi-

ly. Kate zbyt często zastawia na siebie pułapkę: odkrywa jakieś wyjście z sytuacji, a następnie zatrzaskuje drzwi. Zerwała zaręczyny z Walterem. Ale wygląda na to, że jej macocha rozumie sytuację, eksnarzeczony też. Lojalnie pozostaje w pogotowiu, by uczynić, co w jego mocy: to właśnie Walter zawiezie ją do hotelu na kolację królowych. Wydaje się, że wszystko jest w porządku, ale Kate pozostaje niespokojna. „Oni myślą, że mi pomagają, ale to nieprawda” - słyszę niski głos. - „O ileż lepiej by było, gdyby nie byli tak cholernie wyrozumiali... Gdyby wykopali mnie z domu. Znaleźć się na ulicy z dwoma dolarami w kieszeni, wsiąść w tramwaj w centrum i zdobyć pracę, może stewardesy. Pomyśl, jak cudownie byłoby latać do Houston i z powrotem trzy razy w tygodniu przez następnych dwadzieścia lat! Myślisz, że żartuję? Nie. Byłoby cudownie”. „Czemu więc nie wyjdiesz z domu i nie znajdziesz sobie pracy?” — pytam. Zapada cisza, potem słychać trzask odkładanej słuchawki. To jednak nic nie znaczy. Gwałtownie przerywane połączenia stanowią część naszego analitycznego sposobu rozmawiania.

Sharon wydaje się nie zwracać uwagi na te aleksandryjskie rozmowy, mimo że zajmujemy to samo małe biuro i siedzi na odległość wyciągniętej ręki ode mnie. Dzisiaj ma na sobie żółtą bawełnianą sukienkę bez rękawów: jej ramiona wyłaniają się spod tkaniny delikatnie jak ramiona małej dziewczynki. Kiedy jednak przykładła dłoń do włosów, widać, że ramię jest niczego sobie. Miękki krągły mięsień obwisa pod własnym ciężarem. Kiedyś zabiła muchę gołą ręką, sprawiając, że moje metalowe biurko zadzwoniło jak gong. Siedzi odwrócona do mnie plecami, ale ukośnie, tak że widzę obrys jej policzka ze spiralnym meszkiem i słowiańską wypukłością pod wcięciem oczodołu oraz delikatnym wgłębieniem, skraccającym jej twarz jak u elfa. Na biurku Sharon stoi zdjęcie jej ojca i właśnie ta kość policzkowa wciskająca się do oczodołu, sprawiająca, że skośne oko przybiera wyraz chińskiej zdradliwości, tak razi u niego i tak zachwyca u niej. Gdy dziewczyna pisze na maszynie, mała poduszka w kształcie

nerki dociska się do jej krzyża w pięknej harmonii z uderzeniami w klawisze.

Zakochałem się w Sharon Kincaid. Myślę, że ona w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie proponowałem jej randki ani nawet nie jestem szczególnie przyjazny. Wręcz przeciwnie: zachowuję się wyniośle i poprawnie niczym niemiecki oficer w okupowanym Paryżu. Kiedy jednak przyszła dziś rano, zdjęła z ramienia swoją gwatemalską torbę i odgarnęła włosy z krótkiego kołnierzyka, usłyszałem w uszach szelest przypominający pusty wiatr. Przypadkiem wiem, że gwatemalska torba mieści *Miasteczko Peyton Place*. Sharon miała tę książkę, egzemplarz kupiony w drugstorze lub wypożyczony z biblioteki, który trzymała pod torebką, gdy przyszła na rozmowę w sprawie pracy. Odtąd wypełniał on jej torbę swoim ciężarem - poznaję po tym, jak torba się kołysze. Sharon czyta tę książkę podczas lunchu w barze A & G. Wówczas uznałem jej wybór lektury za dobry znak, ale potem zmieniłem zdanie. Moja Sharon nie powinna czytać takich rzeczy.

Jej osoba nabrała dla mnie bezcennej wartości. Po raz pierwszy rozumiem panegiryki dawnych poetów: jakże ci zazdroszczę, nerkowata poduszczeko! Och, żeby tak zająć miejsce twe i zamiast ciebie wciskać się w rozkoszne wgłębienie w jej plecach, itd. Przedwczoraj Frank Hebert z Savings & Loan w sąsiednim biurze narzekał na koszty ogólne: czynsz jest taki wysoki, jego pracownica taka i taka. Pomyśleć tylko: Sharon Kincaid jako pozycja na liście, wyżej niż dozorca, niżej niż czynsz. Nie śmiem jednak podnieść jej pensji, choć niebawem to zrobię i to nie bez powodu. Sharon jest pierwszorzędną sekretarką, uczącą się szybciej niż Marcia i Linda. Z rozmowy kwalifikacyjnej wiem tylko, że pochodzi z okręgu Barbour w Alabamie, przez dwa lata uczęszczała do Birmingham Southern College, jej rodzice opuścili farmę i są rozwiedzeni, matka sprzedaje wyroby pończosnicze Real Silk i często ją odwiedza, ale mieszkają osobno. Sharon mieszka w domu z umeblowanymi pokojami do

wynajęcia przy Esplanade. Jej współlokatorka pracuje dla firmy Alcoa. Jednego wieczoru przejeżdżałem samochodem obok tego domu, wysokiego, wąskiego gmaszyska z niebieskimi oknami i armaturą wodociągową w witrynie sklepu na parterze.

Zachowuję się wobec Sharon z dystansem, niczym Gregory Peck. Jestem wysokim czarnowłosym mężczyzną i wiem równie dobrze jak on, jak stronić od towarzystwa, robić piękne oczy i wciągać policzki, sznurować usta i wypowiadać parę słów, kiwając przy tym parę razy głową.

I dobrze, że zachowuję dystans. Dzisiaj ów gwizdzący w uszach mistral jest głośniejszy niż kiedykolwiek. Już niemal robi mi się od tego niedobrze. Pożądanie, którego przedmiotem jest Sharon, przypomina żal w moim sercu. Dziesięć minut temu przesunęła się do tyłu na swoim krzeselku, żeby wręczyć mi list i nawet mnie nie dotknęła, ale Rosenkavalier śpiewał o mnie, czuć było jej żółtobawełnianą woń i zapach nadchodzącego lata. Kiedyś jednak dotknęła mojej dłoni swoim ciepłym przedramieniem: kątem oka widziałem przelatujące iskry i nawet zakręciło mi się w głowie.

Dzisiaj czytałem *Arabia Deserta* włożoną do segregatora Standard & Poor. Sharon ukrywa przede mną *Miasteczko Peyton Place*, a ja przed nią *Arabia Deserta*.

Przyjemny jest nasz przytulny wieczorny ogień, gdy mija ognisty upał. Słońce opada na wyżynny step Arabii, który zwykle rozciąga się na wysokości ponad dziewięciuset metrów, rozrzedzone suche powietrze jest teraz rześkie, piasek szybko robi się zimny; jednak na głębokości trzech palców aż do kolejnego wschodu słońca utrzymuje się słoneczne ciepło minionego dnia. Po półgodzinie zapada błękitna noc i pojawia się odwieczne jasne światło gwiazd. Gdy słońce zachodzi, gospodyni przynosi wiązkę patyków i suchych gałęzi krzewów, które wyrwała lub wykopała motyką (narzędziem, którym nomadzi rzadko dysponują) na pustyni; rzuca ten przygotowany zapas na wonne wieczorne ognisko.

Kiedyś była to ostatnia książka na ziemi, jaką wybrałbym na lekturę. Do niedawna czytałem jedynie dzieła „fundamentalne”, to znaczy najważniejsze książki na najważniejsze tematy, takie jak *Wojna i pokój*, powieść nad powieściami; *A Study of History*, rozwiązanie problemu czasu; *What is Life?* Schroedingera, *The Universe As I See It* Einsteina i podobne. W tamtych latach stałem na zewnątrz wszechświata i starałem się go zrozumieć. Mieszkałem w swoim pokoju jak Ktokolwiek mieszkający Gdziekolwiek, czytałem fundamentalne dzieła i tylko dla rozrywki spacerowałem po okolicy, a od czasu do czasu oglądałem jakiś film. Z pewnością nie miało dla mnie znaczenia, gdzie jestem, czytając taką książkę jak *Czy wszechświat się rozszerza?* Największy sukces w tym przedsięwzięciu, które nazywam moimi poszukiwaniami wertykalnymi, osiągnąłem pewnego wieczoru, gdy siedziałem w pokoju hotelu w Birmingham i czytałem książkę zatytułowaną *Chemia życia*. Gdy ją skończyłem, odniosłem wrażenie, że główne cele moich poszukiwań zostały osiągnięte lub są w zasadzie osiągalne, po czym wyszedłem i obejrzałem bardzo dobry film, zatytułowany *Ich noc*. Niezapomniana noc. Problem polegał na tym, że chociaż uporałem się z wszechświatem, ja sam zostałem. Leżałem w pokoju hotelowym, zakończywszy poszukiwania, ale nadal musiałem oddychać. Teraz jednak podjąłem poszukiwania innego rodzaju, poszukiwania horyzontalne. W rezultacie to, co dzieje się w moim pokoju, jest mniej ważne. Ważne jest to, co znajdę, gdy go opuszczę i przejdę się po okolicy. Wcześniej spacerowałem dla rozrywki. Teraz spaceruję na serio, a dla rozrywki siedzę i czytam.

Sharon nawet nie mruga, gdy rozmawiam z ciotką o Kate w naszym dawnym „felicjańskim” stylu i gdy rozmawiam z Kate w naszym stylu analitycznym. Rozpoznaje jednak każdy głos i przekazuje słuchawkę, mówiąc: „Pani Cutrer” lub: „Panna Cutrer”. Teraz, gdy znowu odbiera telefon, uświadamiam sobie, że może być trochę skrupowana: przechyla głowę i przykłada

ołówkę do policzka niczym sekretarka w telewizyjnej reklamie szamponu Prell. Słuchawkę przyciska do piersi.

- Pan Sartalamaccia dzwonił już wcześniej. Zapomniałam o tym.

- To on?

Sharon kiwa głową. Przygląda mi się swoimi agatowymi oczami. Robię zamyśloną minę a la Gregory Peck i wyciągam rękę po słuchawkę.

Chodzi o sprawę bez znaczenia. Pan Sartalamaccia chce kupić ziemię, moją ojcowiznę, bezwartościową działkę na bagnach w gminie St Bernard. Oferuje osiem tysięcy dolarów. Wystarczy się zgodzić od razu, ale do głowy przychodzi mi Peckowski pomysł. Proponuję panu Sartalamaccii, by spotkał się ze mną na miejscu jutro rano o dziesiątej trzydzieści. Wydaje się zawiedziony.

- Panno Kincaid, chcę, żeby jutro pojechała pani ze mną do gminy St Bernard i zrobiła w sądzie kopię tytułu własności. - W gruncie rzeczy jestem ciekaw, ile mój ojciec zapłacił za działkę. Wszelkie poczynania mojego ojca, nawet jego podpis, są naturalną wskazówką w moich poszukiwaniach.

- Gmina St Bernard? - Sharon, świeżo przybyłej z Eufali, równie dobrze mogłem zaproponować wyjazd do Mont-Saint-Michel.

- Wrócimy tu przed pierwszą.

- Chodzi tylko o to, bym jutro wyjechała z centrum przed wpół do ósmej wieczorem.

Teraz jestem ponury jak Gregory i tym razem nie błaznuję. Co u licha?! Trzy tygodnie w Nowym Orleanie i już umawia się na randki?

2

Klienci zjawiają się po godzinach i gdy wychodzę z biura, jest już późny wieczór. Inaczej niż w dużych biurach maklerskich w centrum, większość naszych klientów to właściciele sklepów i pracobiorcy. Zarabianie pieniędzy jest dla mnie źródłem satysfakcji. Nie przeszkadza w tym nawet Sharon *ani Arabia Deserta*. Wczoraj, gdy czytałem o Khalil na płaskowyżu Nadżd, wpadłem na jeszcze jeden pomysł. Jego wartość polega na tym, że powinien przynieść nie tylko pieniądze, ale także zbliżyć mnie do Sharon. Omówię to z nią jutro. Najpierw pomyślałem o samym budynku. Ze swoimi korynckimi pilastrami, portykiem i żeliwnymi wolutami nad oknami przypomina wyglądem miniaturowy bank. Nazwa firmy: Cutrer, Klostermann & Lejier jest złożona pismem gotyckim, a poniżej małą czcionką uwidoczniono nazwy bostońskich spółek lokacyjnych, które reprezentujemy. Nasza siedziba wygląda znacznie bardziej zachowawczo niż nowoczesne banki w Gentilly. Oznajmia światu: nowoczesne metody są bez wątpienia doskonałe, ale tutaj oferujemy stabilność, staroświecką wprawdzie, lecz wzbogaconą wyobraźnią. Odrobina Nowej Anglii z kreolskim klimatem. Partenońska fasada kosztowała dwanaście tysięcy dolarów, ale wpływy z tytułu prowizji podwoiły się. Młody mężczyzna, którego widujecie w tym budynku, jest najwyraźniej człowiekiem prawnym; prosi jedynie, żeby pozwolono mu zaplanować waszą przyszłość. To prawda. O nic więcej nie proszę.

Słońce zaszło, ale niebo na wschodzie jest czyste i jasnozielone. Po smogu został jedynie gruby kleks nad Chef Men-teur. Lelki polują na owady w ciepłym powietrzu nad jezdnią. Nurkują, wydają z siebie rytmiczne „skonk-skonk” i wiosłując skrzydłami, wzbijają się w górę. Zatrzymuję się na rogu Elysian Fields, żeby kupić gazetę od Neda Daigle'a. Ned był kiedyś dżokejem i wygląda jak Leo Carroll, ale jest starszy i bardziej zaszuszony.

- Co słyhać, Jackie? - woła swoim ochrypłym basem, równie ochrypłym jak głosy lelków, i składając po drodze gazety, pędzi do samochodów. Dopada je na bulwarze na światłach i zanim czerwone zmieni się na zielone, on często sprzedaje sześć egzemplarzy. Ned zna wszystkich na terenach targowych, łącznie z miejscowymi żułami i gangsterami. Podczas sezonu wyścigowego często przyprawdza ich do mojego biura. Nie wiedzieć czemu uważa, że moja firma maklerska to cnotliwa i zasłużona instytucja, coś w rodzaju kościoła. Gangsterzy też tak uważają; wielu z nich kupuje udziały w funduszach wzrostu dla swoich dzieci. Stryj Jules byłby zdumiony, gdyby znał część swoich klientów, którzy posiadają udziały w Massachusetts Investors Trust.

- Będzie pogoda podczas parady, Jackie?

Stoimy na betonowej wysepce między podwójnymi strumieniami jadących pojazdów. Światło się zmienia i Ned znowu odchodzi.

Wieczór to w Gentilly najlepsza pora. Nie ma tu zbyt wielu drzew, budynki są niskie i widać tylko niebo. Niebo jest głębokim jasnym oceanem, pełnym światła i życia. Koński ogon cirrusa wznosi się od strony Zatoki. Wysoko nad jeziorem rozzerwany klucz ibisów wskazuje w stronę bagien; gdy wlatują w przechylający się klin słonecznego światła, nagle stają się białe. Jerzyki znajdują wiatr w środkowym obszarze nieba i świergocząc sfruwają w dół tak szybko, że wpierw myślę, że to komary przelatują mi przed oczami. W ostatnim sektorze jasnej zieleni niebios lecący z Mobile County Lockheed Connie obniża lot, mrugając światłami pozycyjnymi w zapadającym zmierzchu. Kombi, greyhoundy i ciężarówki z silnikami diesla suną z łoskotem ku wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej, a ich wspaniałe tylne światła jarzą się niczym rubiny na ciemniejszym wschodzie. Większość budynków handlowych opustoszała i tylko na stacjach benzynowych obsługa polewa wodą z węża beton pod płonącymi neonowymi tarczami, muszlami i gwiazdami.

W drodze do domu zatrzymuję się przy Tivoli. Grają tam film z Jane Powell, którego nie mam zamiaru oglądać. Zauważyła mnie jednak pani Kinsella, kierownik kina, i właściwie wciąga mnie do środka za rękaw, bym obejrzał fragment. Twierdzi, że film naprawdę cieszy oko, i wcale nie żartuje. Oto Jane i jakiś facet idący ramię w ramię ulicą, szczęśliwi i beztroscy, budzący się i śpiewający. Odźwierny, stójkowy na rogu, taksówkarz, dotychczas głęboko zasmuceni, uśmiechają się i zaczynają stepować. Rzadko bywam przygnębiony jakimś filmem, a Jane Powell to bardzo urodziwa dziewczyna, ale bijąca z ekranu bez nadzieja wystarczy, by wywołać rozstrój żołądka. Rozglądam się po sali. Pan Kinsella też ma kłopoty. W mrocznym pomieszczeniu siedzi tylko kilku samotnych kinomanów, miłośników popołudniowych projekcji, tych najbardziej upiornych, każdy pogrążony we własnej niedoli, Jane czy nie Jane. Wychodząc zatrzymuję się przy okienku kasy i rozmawiam z panią de Marco, śniadą, chudą i zafrasowaną kobietą, która pracuje tu, odkąd przeprowadziłem się do Gentilly. Nie lubi filmów i ta praca nie sprawia jej żadnej przyjemności (choć co wieczór mogłaby oglądać prawie cały ostatni seans). Tłumaczę jej, że to świetne zajęcie i niczego bardziej bym nie pragnął, niż siedzieć tu wieczorem dzień po dniu, rok po roku, i przyglądać się, jak noc zapada nad Elysian Fields. Pani de Marco jednak zawsze myśli, że stroję sobie żarty, i zamiast podziwiać zachód słońca, rozmawiamy o pracy jej syna w lotnictwie wojskowym. Syn kasjerki stacjonuje w Arizonie i nie znosi pustyni. Przykro mi to słyszeć, bo mnie by się tam bardzo podobało. Mimo wszystko ciekawią mnie informacje na ten temat. Zanim obejrzę jakiś film, muszę się dowiedzieć czegoś o kinie lub o ludziach, którzy je prowadzą, pogadać z nimi przed wejściem do środka. Tak właśnie poznałem pana Kinsellę - wciągając go w rozmowę o branży kinowej. Odkryłem, że większość ludzi nie ma z kim rozmawiać - to znaczy nie ma osoby, która naprawdę chce ich wysłuchać. Kiedy w końcu jakiś człowiek pojmuje, że naprawdę chcemy

słuchać opowieści o jego firmie, warto zobaczyć wówczas wyraz jego twarzy. Nie zrozumcie mnie źle. Nie jestem Jose Ferrerem, wędrującym z małym gwizdkiem, żeby na siłę wszystkich uszczęśliwiać. Tacy dobroczyńcy tak naprawdę nie chcą słuchać, w rzeczywistości nie są tak samolubni jak ja; są miłymi ludźmi i zanudzają siebie samych na śmierć, a ich rozmówcom tak naprawdę nastrój się nie poprawia. Pokażcie mi, jak jakiś sympatyczny Jose poprawia nastrój jakiejś starszej pani, a ja pokażę wam dwoje ludzi egzystujących w rozpacz. Moja matka często mówiła, żebym był bezinteresowny, ale ta rada wzbudziła moje podejrzenia. Nie, robię to z własnych, egoistycznych powodów. Gdybym nie rozmawiał z właścicielem kina bądź z kasjerką, byłbym zagubiony; mówiąc metafizycznie - oderwany od rzeczywistości. Oglądałbym kopię jakiegoś filmu, który mógłby być pokazywany gdziekolwiek i o dowolnej porze. Istnieje niebezpieczeństwo zupełnego wymknięcia się z przestrzeni i czasu. Można stać się duchem i nie wiedzieć, czy się jest w śródmiejskim Loews w Denver, czy w podmiejskim Bijou w Jacksonville. Tak było ze mną.

A jednak to właśnie tutaj, w Tivoli, po raz pierwszy odkryłem miejsce i czas, zasmakowałem w tym jak w liściach ketmii. Właśnie podczas wyświetlania *Rzeki Czerwonej* przed kilku laty zdałem sobie sprawę z pierwszych oznak zaciekawienia konkretnym fotelem, w którym siedziałem, panią w kasie... Gdy Montgomery Clift dawał cięgi Johnowi Wayne'owi w pojedynku na pięści, absurdalna scena, paznokciem kciuka zrobiłem znak na poręczy fotela. Gdzie, zastanawiałem się, będzie ten konkretny kawałek drewna za lat dwadzieścia, za pięćset czterdzieści trzy lata? Raz, gdy dziesięć lat temu podróżowałem przez Środkowy Zachód, miałem w Cincinnati trzygodzinną przerwę w podróży i czas, by zobaczyć Josepha Cottena w *Holiday* w kinie o nazwie Altamont - ale dopiero po tym, jak zawarłem znajomość z kasjerką, panią Clarą James, i dowiedziałem się, że ma siedmioro wnucząt i wszystkie mieszkają w Cincinnati. Nadal wysyłamy

sobie kartki na Boże Narodzenie. Pani James to jedyna osoba, którą znam w całym stanie Ohio.

Kiedy wracam do swojego mieszkania, pierwsze, co widzę, to list od ciotki, wetknięty za aluminiową mewę na drzwiach z siatką. Wiem, o co chodzi. Właściwie to nie jest list, lecz notatka. Często po jednej z naszych poważnych rozmów ciotka Emily miewa wątpliwości, którymi pragnie się ze mną podzielić. Niekiedy wiadomość od niej przychodzi zupełnie niespodziewanie. Ciotka zadaje sobie tyle trudu. Żałuję, że nie potrafię jej bardziej zadowolić.

Zanim jednak zdążę przeczytać list, przychodzi pani Schexnaydre i pożycza mi swój egzemplarz „Readers Digest”.

Pani Schexnaydre jest energiczną małą blondynką, która zimą i latem nosi tenisówki. Jest dla mnie bardzo dobra i dba o to, by wszystko utrzymywać w nienaganej czystości. Ta kobieta jest zupełnie samotna, nie zna nikogo oprócz malarzy, stolarzy i elektryków, którzy wiecznie zajmują się jej domem. Całe życie mieszkała w Nowym Orleanie i nikogo nie zna. Czasem oglądam z nią telewizję, wypijamy wspólnie butelkę Jaksu i rozmawiamy o latach, które spędziła w szkole numer sześć w MacDonough, o najszcześniejszym okresie jej życia. Możemy to robić, ponieważ jej telewizor odbiera kanał dwunasty, a mój nie. Pani Schexnaydre sumiennie ogląda teleturnieje i naprawdę uważa, że zna zawodników. Czasem nawet udaje mi się ją przekonać, żeby poszła ze mną do kina. Boi się jedynie Murzynów. Chociaż w tej części Gentilly rzadko się ich widuje, nasze małe podwórko jest otoczone sztormowym płotem o wysokości ośmiu stóp, a wszystkie okna są zakratowane. Na przestrzeni lat kupiła trzy psy, każdego z uwagi na to, że ponoć żywił wyjątkową niechęć do Murzynów. Nie mam szczególnych zastrzeżeń do tej cechy u psów — z tego, co wiem, obawy pani Schexnaydre mogą być całkowicie usprawiedliwione. Są to jednak parszywe kundły i co gorsza, nie lubią również mnie. Szczególnie gardzę jednym — dzikusiem o pomarańczowej sierści, z pyskiem szpica i ogonem jak pióropusz, który

wygina się nad jego grzbietem, odsłaniając wielki skrecony odbył. Nazwałem go starym Pąkiem Róży. Pąk Róży zwykle poprzestaje na przyglądaniu mi się z obnażonymi kłami, lecz pewnej mglistej nocy wyskoczył zza krzewu azalii i zatopił je w mojej nodze. Od czasu do czasu, gdy wiem, że pani Schexnaydre nie ma w domu, daję mu potężnego kopa w żebra i bestia odskakuje z głośnym skowytym.

- Zaznaczyłam ci naprawdę ciekawy artykuł - mówi szybko właścicielka psów i stara się natychmiast wyjść, żeby pokazać, że nie należy do gospodyń, które przeszkadzają swoim lokatorom.

Cieszę się, że mam ten magazyn. Artykuły są rzeczywiście ciekawe i podnoszą na duchu. Ludzie, którzy zwykle w powszechnym mniemaniu darzą się niechęcią lub przynajmniej są wobec siebie obojętni, odkrywają, że mają wiele wspólnego. Zdaje mi się, że czytałem kiedyś artykuł o awarii metra w Nowym Jorku. Pasażerowie, którzy dotąd siedzieli z nosami wtkniętymi w gazety, zaczęli ze sobą rozmawiać. Jakiś samotny mężczyzna zdał sobie sprawę, że rozmawia z młodą dziewczyną o swoim hobby - hodował irysy w skrzynce na kwiaty - a ona opowiada mu o swoich nadziejach i marzeniach o karierze artystycznej. Muszę się zgodzić z panią Schexnaydre: takie wydarzenia rzeczywiście podnosi na duchu. Z drugiej strony, obecność w takim gronie przyprawiłaby mnie o zdenerwowanie. Prawdę mówiąc, gdybym był młodą dziewczyną, nie chciałbym mieć nic wspólnego z życzliwymi starymi filozofami, w których postaci wcieliła się w kinie Thomas Mitchell. Te ptaszki wydają mi się podejrzane.

Teraz jednak nie mogę przeczytać zaznaczonego artykułu. List ciotki wymaga natychmiastowej lektury. Ona stale myśli o innych ludziach - właściwie jest bezinteresowna; to jedyna bezinteresowna osoba, jaką znam. Kiedy przeczyta coś lub pomyśli o czymś, co może się przydać innym, najpewniej od razu zapisze to i prześle im pocztą. Tak, to notatka. Nie ma pozdrowienia ani

podpisu, tylko jeden okazały akapit sporządzony zamaszystym, pochylonym do tyłu pismem:

„W każdej chwili dbaj o to, jako Rzymianin i jako mężczyzna, byś, co masz właśnie pod ręką, to załatwił z pełną, a nie udaną godnością i miłością, i swobodą, i zachowaniem sprawiedliwości". Te słowa cesarza Marka Aureliusza wydają mi się całkiem dobrą radą nawet dla najbardziej wrednego młodego nicponia.

Moje mieszkanie jest równie bezosobowe jak mój pokój w motelu. Dbiałem o to, by nie zgromadzić majątku osobistego. Moją bibliotekę stanowi jedna książka, *Arabia Deserta*. Telewizor wygląda, jakby był na monety. Na ścianie nad łóżkiem wiszą dwie litografie Curriera i Ivesa przedstawiające łyżwiarzy w Central Parku. Jak smutne wydają się małe postacie ślizgające się w takt muzyki. Jakie smutne wydaje się miasto!

Włączam telewizor i siadam na wprost niego, sztywno jakbym kij połknął, z dłońmi na kolanach, na swoim krześle z oparciem z poprzecznymi listwami. Pokazują sztukę z Dickiem Powellem. Gra cynicznego finansistę, który stara się przejąć kontrolę nad gazetą w małym mieście. Zaskakuje go jednak życzliwość i szczerość mieszkańców miasteczka. Nawet wydawca gazety, którego usiłuje zrujnować, jest dla niego miły. Nawet gdy finansista oszukuje wydawcę i przyprawia go o atak serca, po którym tamten później umiera, wydawca jest jak zawsze przyjazny i korzysta z okazji, by uraczyć Powella próbką swojej przasnej filozofii. „Jako miasto nie jesteśmy niczym nadzwyczajnym - mówi na łożu śmierci, stojąc u bram wieczności — ale jesteśmy życzliwi". W końcu Powell nawraca się pod wpływem tych dobrych ludzi i zamiast dalej próbować przejąć gazetę, stara się u córki wydawcy o pracę reportera, żeby móc walczyć z korupcją polityczną.

Czas pojechać po Kate.

3

Dziś, w czwartek wieczorem, przeprowadzam udany eksperyment w dziedzinie powtarzania.

Czternaście lat temu, gdy byłem studentem drugiego roku, widziałem western w kinie przy Freret Street, miejscu uczęszczanym przez chłopaków z college'u i zwanym przez nich „Pa-chą”. Filmem tym, całkiem dobrym, było *Zdarzenie w Ox-Bow*. Oglądałem go mniej więcej o tej właśnie porze roku: pamiętam, że gdy wyszedłem, pachniał ligustr, a pod stopami pękały z trzaskiem jagody drzew kamforowych. (Wszystkie kina pachną sąsiedztwem i porą roku: w *Na Zachodzie bez zmian*, jednym z moich pierwszych filmów, który oglądałem w Arcoli w Missisipi w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, szlachetne uczynki bohaterów były dokonywane nie tylko odpowiednio, ale i nieuchronnie, w gęstym szumiącym mroku lata w Delcie i wśród zapachu mączki z nasion bawełny). Wczoraj wieczorem wyczytałem w „Picayune”, że w tym samym kinie wyświetlają jeszcze jeden western. Pojechałem więc samochodem do domu ciotki, potem w górę St Charles Avenue tramwajem z Kate, tak, abyśmy mogli przejść przez kampus.

Nic się nie zmieniło. Siedzieliśmy tam, ja chyba w tym samym fotelu co kiedyś, a potem, wychodząc, wkroczyliśmy w zapach ligustru. Jagody kamfory pękały nam z trzaskiem pod stopami na tym samym odcinku zniszczonego chodnika.

Udane powtórzenie.

Czym jest powtórzenie? Powtórzenie jest odtworzeniem minionego przeżycia pod koniec wyodrębniania wycinka czasu, który upłynął, po to, żeby można było się nim, tym czasem, delectować bez zwykłego fałszowania przebiegu zdarzeń, które zapychają czas niczym fistaszki w cukierkach. W zeszłym tygodniu, na przykład, doświadczyłem przypadkowego powtórzenia. W bibliotece znalazłem niemieckojęzyczny tygodnik. Zobaczyłem w nim reklamę kremu Nivea, przedstawiającą kobietę o

ziarnistej cerze zwróconą twarzą ku słońcu. Wtedy przypomniałem sobie, że dwadzieścia lat temu widziałem tę samą reklamę w czasopiśmie na biurku mojego ojca, tę samą kobietę, tę samą ziarnistą cerę, ten sam krem Nivea. Zdarzenia minionych dwudziestu lat - śmierć trzydziestu milionów, niezliczone przypadki tortur, wysiedleń i tułaczki tam i z powrotem — zostały zneutralizowane. Nic istotnego nie mogło się wydarzyć, ponieważ krem Nivea był dokładnie taki sam jak przedtem. Pozostał tylko sam czas, niczym skład gładkich cukierków z fistaszkami.

Jak zatem smakowało czternaście moich lat od czasu *Zdarzenia w Ox-Bow*?

Jak zwykle nie mogłem sobie przypomnieć. Oto, co tam zastałem: parodia dawnych foteli, z rozwarstwioną sklejką, z pościętymi siedzeniami, ale mimo wszystko trwałych, jakby chciały sprawdzić, co zrobiłem z moimi czternastoma latami. Zetknąłem się też z utajonym poczuciem zdziwienia tym trwaniem, tymi wszystkimi nocami, deszczowymi letnimi nocami o godzinie dwunastej, pierwszej i drugiej, gdy fotele trwały same w pustym kinie. Trwanie jest czymś, co trzeba wytłumaczyć. Nie można go po prostu zlekceważyć.

— Dokąd teraz? — pyta Kate. Stoi przy mnie pod markizą, skubiąc kciuk i spoglądając w ciemność.

- Dokąd tylko chcesz.

—Mów o swoich sprawach.

—Dobrze.

Dziś po południu poszła do Merle'a Minka i chyba dzięki temu czuje się lepiej. Merle zaaprobował zerwanie zaręczyn z Walterem i ustalił dość luźny harmonogram dalszych wizyt. Najważniejsze, że Kate nie ma już wrażenia, że dochodzi na skraj przepaści.

- Kłopot jednak w tym - zauważyła ponuro, gdy siedzieliśmy w kinie, czekając, aż zgasną światła - że u lekarzy jestem

zawsze w najlepszej formie. Są mną oczarowani. Gdy jestem chora, czuję się świetnie. Dopiero kiedy mam się dobrze...

Teraz Kate zatrzymuje się nagle w cieniu drzewa kamforowego i bierze moją rękę w obie dłonie.

— Zauważyłeś, że ludzie są prawdziwi tylko w czasie choroby, nieszczęścia lub śmierci? Pamiętam, że po wypadku... ludzie byli tacy życzliwi, uczynni i rzetelni. Wszyscy udawali, że do tamtego momentu nasze życie było równie prawdziwe jak sam moment wypadku i że przyszłość też musi być prawdziwa, podczas gdy tak naprawdę naszą prawdziwość zawdzięczaliśmy tylko śmierci Lyella. Po paru godzinach wszyscy znowu zliśmy się z tłem i poszliśmy własnymi ciemnymi drogami.

Przechadzamy się pogrążonymi w mroku ścieżkami kampusu i przystajemy przy zachwaszczonej werandzie za laboratorium. Siadam na betonowym stopniu i nie myślę o niczym. Kate przyciska do ust krwawiący kciuk i pyta:

— Co to za miejsce?

Światło lampy nad ścieżką tworzy złotą kulę pośród krzewów wysokich jak drzewa.

— W jednym z tych laboratoriów u góry przez cztery lata spędzałem każde popołudnie.

— Czy to część powtarzania?

— Nie.

— Część poszukiwań?

Nie odpowiadam. Kate potrafi uwierzyć, że mówię serio, tylko na swój sposób bycia serio: z błazeńską powagą, która wcale nie jest powagą, lecz jedynie maską dla rozpaczki. Wolałbym nie rozmawiać z nią o takich rzeczach, ponieważ na pewno zrozumie to jako wyrefinowane dziwactwo, przypominające dziwactwo współlokalki, o której kiedyś mówiła: „BoBo. Dziwna dziewczyna. Wiesz, co lubiła robić? Kolekcjonować żelazne jelenie. Zlokalizowała wszystkie żelazne jelenie w okręgu Westchester i raz na miesiąc krążyła po okolicy i je odwiedzała... Po prostu parkowała i patrzyła na nie. Dla każdego miała imię: Tertulian, Archibald

McLeish, Alf Landon... Traktowała to bardzo poważnie". Nie znoszę takich dziewczyn jak BoBo i tak groteskowych poczyznań jak kolekcjonowanie żelaznych jeleni w Westchester County.

- Może usiądziesz? - proponuję z rozdrażnieniem w głosie.

- Otóż poszukiwania wertykalne polegają na tym, że...

(Czy jestem rozdrażniony, ponieważ - teraz, gdy Kate wspomina moje słowa - faktycznie przypominam BoBo i jej cholerne jelenie?)

- Gdy wchodzisz przez drzwi laboratorium, podejmujesz poszukiwania wertykalne. Masz próbkę, centymetr sześcienny wody, żabę, szczyptę soli bądź jakąś gwiazdę.

- Człowiek dowiaduje się rzeczy ogólnych?

- I poszukiwania są ekscytującym doświadczeniem.

- Dlaczego? - pyta Kate.

- Dlatego, że w miarę coraz głębszego angażowania się w poszukiwania, ujednocisz opis. Poznajesz coraz więcej próbek, opisując je coraz mniejszą liczbą wzorów. To ekscytuje. Oczywiście, zawsze szukasz czegoś ważnego, nowego klucza, ukrytego punktu podparcia, i to jest w tym najlepsze.

- I nie ma znaczenia, gdzie ani kim jesteś.

- Nie.

- Ale narażasz się na to, że staniesz się nikim nigdzie.

- Nieważne.

Kate analizuje to z męską błyskotliwością swojego umysłu, nie wyzbywając się jednak swej kobiecej rozpaczki. I dlatego dbam o to, by nie być bardziej serio niż ona.

- Z drugiej strony, gdy siądziesz tu wygodnie i wyciągniesz z pojemnika na śmieci małe ścierwo, próbkę, która została użyta i wyrzucona, pozostaje coś jeszcze, trop?

- Tak, ale chodźmy już.

- Jesteś zimny, mój drogi.

- Tak zimny jak ty?

- Bardziej. Zimny jak grób. — Kate przechadza się, zrywając kawałki skóry z kciuka. Ja milczę. Bardzo niewiele było

trzeba, żeby sprowokować ją do ataku na mnie, do jednej z jej „szczerych” ocen. - Możliwe, że nie dostrzegasz czegoś, największej oczywistości. I nie poznałbyś tego, nawet gdybyś się o to potknął.

— Czego?

Nie chce mi powiedzieć. Za to w tramwaju staje się radosna i serdeczna. Obejmuje mnie w pasie, całuje w usta i przygląda mi się piwnymi okrągłymi oczami.

4

Gdy wracam do Gentilly, jest godzina druga. Mimo to budzę się gwałtownie jakiś czas przed świtem i przez resztę nocy drzemię, nie tracąc jednak czujności. Od wielu lat źle sypiam. Od czasów wojny, gdy przez dwa dni byłem nieprzytomny, tak naprawdę nigdy nie straciłem świadomości, tak jak dziecko traci ją we śnie i budzi się w nowym świecie, nie pamiętając nawet, kiedy poszło spać. Zawsze wiem, gdzie się znajduję i która jest godzina. Ilekroć czuję, że zaraz pogrążę się w głębokim śnie, coś zawsze mnie upomina: „Nie tak szybko. Przypuśćmy, że zasnąłbyś i to by się zdarzyło. Co wtedy?”. Co takiego ma się wydarzyć? Najwyraźniej nic. A jednak leżę, czujny jak wartownik, z uszami dostrojonymi do najmniejszego hałasu. Słyszę nawet, jak stary Pąg Róży kręci się w krzakach azalii, zanim się pod nimi ułoży.

O świcie ubieram się i wymykam z domu tak cicho, że psy ani drgną. Idę w stronę jeziora. Letnia noc jeszcze nie odeszła. Od Zatoki napłynęło duszne ciepłe powietrze, lecz ziemia ma jeszcze w sobie wspomnienie zimy i jest zimna i rozmokła od rosy.

Przyjemnie spaceruje się po przedmieściach o tej porze dnia. Nikt jakoś nie korzysta z chodników i teraz nie ma nawet

dzieci na trzykołowych rowerach oraz miniaturowych traktorach. Beton jest dziewiczy, tak samo ziarnisty jak w dniu, gdy został wylany; ze szczelin wyrastają chwasty.

Im bliżej jeziora, tym droższe są okoliczne domy. Minąłem już bungalowy, bliźniaki i małe parterowe budynki w stylu rancho. Tutaj stoją domy za pięćdziesiąt i sześćdziesiąt tysięcy dolarów, dość duże i nowoczesne, z juką aloesowa tą i sosnami australijskimi zasadzonymi w murowanych donicach oraz reprodukcjami francuskich prowincjuszy i Luizjańskich kolonistów. Baseny pływakie parują niczym uśpione gejzery. Te domy wyglądają pięknie w świetle słońca, przyjemnie cieszą oko ładnymi barwami, nieskazitelnymi trawnikami i czystymi przestronnymi garażami. Zauważyłem jednak, że o tej porze są opuszczone. Pograżają się w smutku jak we mgle z jeziora.

Mój ojciec cierpiał na bezsenność. Jednym z moich nielicznych wspomnień o nim jest obraz człowieka chodzącego nocą tam i z powrotem. W tamtych czasach uważano, że werandy do spania są zdrowe, więc ojciec dokleił do domu werandę - siatkową skrzynkę z płóciennymi storami, które podciągało się do góry. Scott i ja spaliśmy tu nawet w najzimniejsze noce. Ojciec miał kłopoty ze spaniem i wyniósł się na werandę razem z nami. Rzucił się na łóżku niczym zranione zwierzę albo spał z przerwami, świszcząc melodyjnie przez porośnięte sztywnymi włosami nozdrza - i wracał do środka przed świtem, pozostawiając udreżone i zgorzkniałe łóżko oraz woń, której źródłem, jak sądziłem, była dolegliwość nazywana wówczas „katarem”. Weranda nie pomogła na jego bezsenność i ojciec kupił saskatchewański śpiwór od Abercombe i Fitcha, po czym wyniósł się do ogrodu różanego. O tej właśnie porze budził mnie straszny odgłos: ojciec wpadał przez siatkowe drzwi ze śpiworem pod pachą i oczami rozbieganymi ze zmęczenia i smutku, który budził ten migocący brzask. Matka, mimowolnie, grzebała jego nadzieje na sen jeszcze skuteczniej niż ta żałosna pora. Miała zwyczaj podsumowywać jego poczynania zwrotem, który pozbawiał go otuchy. Ojciec

marzył, wiem o tym, o miejscu, gdzie pod gwiazdami i blisko świeżej ziemi mógłby spokojnie odetchnąć i zapaść w głęboki sen. Zgodziła się. „Kochanie, jestem całym sercem za. Myślę, że wszyscy powinniśmy wrócić do natury i zaraz bym do ciebie dołączyła, kochanie, gdyby nie łądzenie. Działam na nie jak przyłęta”. Uznała, że jest drugim Edgarem Kennedym (który wówczas występował w filmach krótkometrażowych) zmagającym się w krzakach ze swoim nowomodnym sprzętem kempingowym. Wołała z tego żartować, niż ulec tym chłodnym świtom. Potem jednak nie było już więcej mowy o powrocie do natury.

Ojciec popełnił błąd. Starał się zasnąć. Myślał, że musi co noc przesypiać określoną liczbę godzin, oddychać świeżym powietrzem, spożywać określoną ilość kalorii, wypróżniać się regularnie i mieć inspirujące hobby (były lata trzydzieste, wszyscy wierzyli w naukę i rozmawiali o „gruczołach dokrewnych”). Ja nie próbuję zasnąć. I nie pamiętam, kiedy ostatnio się wypróżniałem; czasami nie robię tego przez tydzień, ale nie zaprzętam sobie myśli takimi sprawami. Jeżeli chodzi o hobby, ludzie o inspirujących zainteresowaniach odczuwają skutki rozpacz w najbardziej szkodliwych postaciach, ponieważ rozpacz uspokaja. Ja medytuję cicho jak zjawa. Zamiast próbować zasnąć, staram się o świcie pojąć tajemnicę tego przedmieścia. Czemu te wspaniałe domy wydają się o tej porze dnia takie przygnębiające? Inne, na przykład dom z cegły suszonej na słońcu w Nowym Meksyku albo stary dom o konstrukcji drewnianej w Felicianie, wyglądają bardzo podobnie za dnia i w nocy. Ale te nowe domy wydają się nawiedzone. Jaki duch nimi zawładnął? Mój biedny ojciec. Widzę go, jak niezdarnie stąpa wśród mebli na patio, małych namiotów biwakowych Junior Jets i Lone Ranger, wlokąc za sobą śpiwór niczym zwłoki uśmierconej nadziei.

Kiedy wracam, czuję na plecach ciepło słońca. Przeciagam się w przytulnym małym ślepym zaułku między garażem a domem, pod beczelnym okiem Pąka Róży, i drzemię do dziewiętej, kiedy rozpoczyna się sesja giełdowa.

5

Budzi mnie warknięcie Pąka Róży. Przyszedł listonosz. Pies czuje na sobie mój wzrok, unosi brew, by mnie dostrzec, i moje spojrzenie zbija go z tropu; odwraca wzrok, udaje, że się uspokoił, ale wargę ma suchą i zaczepioną na kle. Teraz jest naprawdę speszony.

Uczniowie i uczennice ze szkoły po drugiej stronie ulicy ustawiają się w nierównych zastępach przed pingwinowatymi zakonnicami - dziewczęta w krótkich, rozkloszowanych niebieskich spódniczkach na szelkach, chłopcy trochę nijacy w mundurkach khaki. Wchodzą do budynku pod schematycznym wizerunkiem gołębia. Światło porannego słońca mruga na wypolerowanym metalu morskiej fali i drabinek. Jak lśniące, mocne i dobrze osadzone są srebrzyste stalowe rury, wypolerowane przez tysiące małych, odzianych w niebieskie spódniczki i spodnie khaki pośladków!

Listonosz ma dla mnie korespondencję od Harolda Graebnera z Chicago. Koperta zawiera krótki list i zawiadomienie o narodzinach potomka. Harold prosi, bym był ojcem chrzestnym nowo narodzonego dziecka. Dołączona do listu karta oznajmia o jego przyjściu na świat w następujący sposób:

1 PACZKA ZA POBRANIEM
CIĘŻAR PRZESYŁKI: 7 LB. 4 OZ.
OBCHODZIĆ SIĘ CZULE,
Z SERDECZNĄ TROSKĄ, ITD.

Harold Graebner przypuszczalnie uratował mi życie na Wschodzie i dlatego bardzo mnie lubi. Gdy dostaję list, niemal na pewno jego nadawcą jest Harold Graebner. Nie piszę i nie otrzymuję już żadnych listów, z wyjątkiem tych do i od Harolda. Kiedy byłem w wojsku, pisałem długie, taktowne i klarowne listy do mojej ciotki, przekazując w nich moje wrażenia z kontaktów z krajami i ludźmi. Pisałem na przykład:

Japonia jest piękna o tej porze roku. Jakże dziwna jest myśl o tym, że wyruszamy do walki! Nie tyle chodzi o strach —jako że moje szanse na przeżycie są spore — ile o zdziwienie, zdziwienie, że wszystko, każde tyknięcie zegara, każdy kwiat rododendronu, jest tak pełne nadziei. Tolstoj i Saint-Exupery mieli rację co do wojny... itd.

Byłem prawdziwym młodym Rupertem Brookiem: „...pełnym nadziei”. Och, te bzdety, które czają się w angielskiej duszy! Ona, angielska dusza, otrzymała gdzieś zastrzyk romantyzmu, który omal jej nie uśmiercił. Właśnie to, angielski romantyzm, zabiło mojego ojca - to i stan nauki w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym. Słowa do mojego notatnika:

Zbadaj związek między romantyzmem a nauką bezstronnością. Czy człowiek o umysłowości uczonego staje się romantykiem, ponieważ jest pozostałością swojej nauki?

Muszę wysłać odpowiedź Haroldowi, ale potrafię napisać jedynie dwa zdania. Moje słowa pozbawione są wdzięku.

Drogi Haroldzie. Dziękuję ci za propozycję, bym został ojcem chrzestnym twojego dziecka. Ponieważ jednak nie jestem praktykującym katolikiem, wątpię, bym mógł nim być. Ale oczywiście, doceniam...

Oczywiście, doceniam. Podrzyj to.

6

Dziwna rzecz. Od środy doskonale wiem, kto jest Żydem. Jest w tym jakiś trop, ale czego jest śladem, nie potrafię powiedzieć. Skąd wiem? Stąd, że ilekroć podchodzę do Żyda, licznik Geigera

w mojej głowie zaczyna terkotać jak karabin maszynowy; gdy zaś mijam go z najwyższą ostrożnością i wyostrzonymi zmysłami — licznik cichnie.

W moich żydowskich wibracjach nie ma nic nowego. W latach, gdy jeszcze miałem przyjaciół, ciotka Edna, która jest teozofką, zauważyła, że wszyscy moi przyjaciele to Żydzi. W dodatku wiedziała, dlaczego: bo byłem Żydem w poprzednim wcieleniu. Być może o to chodzi. W każdym razie to prawda, że instynktownie jestem Żydem. Wspólnie się tułamy. Faktem jednak jest, że jestem bardziej Żydem niż Żydzi, których znam. Czuję się tu bardziej obco od nich. Ja zgadzam się być tułaczem.

Jeszcze jeden dowód mojego żydostwa: przedwczoraj jakiś socjolog poinformował, że znacząco duży procent samotnych kinomanów stanowią Żydzi.

Żydzi są moim pierwszym prawdziwym tropem.

Gdy człowiek jest zrozpaczony i w głębi serca nie przyznaje, że poszukiwania są możliwe, i gdy taki człowiek mija na ulicy Żyda, niczego nie dostrzega.

Gdy człowiek staje się uczonym lub artystą, otwiera się na rozpacz innego rodzaju. Gdy taki człowiek mija na ulicy Żyda, może coś dostrzec, ale nie jest to dla niego spotkanie niezwykle. Żyd może mu się jawić tylko jako taki sam uczony bądź artysta, albo jako przedmiot badań.

Kiedy jednak człowiek uświadamia sobie możliwość poszukiwań i po raz pierwszy mija Żyda na ulicy, czuje się niczym Robinson Crusoe na widok śladu stopy na plaży.

7

Piękny piątkowy ranek i udana wycieczka z Sharon do gminy St Bernard.

Sharon przygląda się badawczo mojemu MG. Gdy siada, daje jasno do zrozumienia, że MG czy nie MG, nie ma mowy

o żadnych małych figlach. W jaki sposób daje jasno do zrozumienia coś takiego, siedząc udo w udo i kolano w kolano ze mną w MG? Podstępna uprzejmością kobiety z Południa.

- Jaki przeuroczy samochodzik! - pieje i milknie w przyplynie roztargnienia, z rękami na karku. Pochyla głowę do przodu, tak że spod zimnego kobiecego oka lustruje wzrokiem ulicę, po czym, jakby budząc się, dodaje przeproszającym tonem: - To z pewnością lepsze od pisania na maszynie. Mhm-m! - mruczy śpiwnie pod nosem jak jej mamka w Eufali. Dziewczyny z Południa sporo się uczą od swoich nianiek.

Spotykamy pana Sartalamaccię i wydarza się coś dziwnego.

Najpierw dochodzi jakby do odwrócenia ról i dla Sartalamaccii pokazanie mi miejsca, które on chce kupić, staje się rzeczą normalną. Przejmuje rolę przewodnika po mojej nieruchomości i nawet zwraca uwagę na jej zalety. Moja ojcowizna, w niczym teraz nie przypominająca terenu klubu myśliwskiego, graniczy z jednej strony z osiedlem domków jednorodzinnych, a z drugiej - z policyjną strzelnicą. Tak naprawdę moja posiadłość przywodzi mi na myśl zdjęcia miejsc zbrodni zamieszczone w czasopiśmie detektywistycznym: jest to porośnięta krzakami działka, zryta przez harleye i pełna podejrzanie wyglądających kolein po jednym bądź dwóch samochodach. Z każdego skrawka otwartej przestrzeni wyrastają nowe zielone pędy i wydaje się, że z czarnej ziemi podnosi się zielony mrok. Tutaj jest już jak latem. Cykady brzęczą w chwastach, a dzień wydaje się długi.

Zostawiamy MG (dobre wysłużone stworzenie z czerwonej blachy i wytartej pachnącej skóry; przesuwam dłoń po karoserii z mocnej brytyjskiej stali, jakbym głaskał klacz) na polanie i stajemy na wzniesieniu terenu; pan Sartalamaccia - wymachujący zwiotczałą panamą i wydzielający gorzką woń bawełny — stoi między nami. Wymizerowany i czysty niczym farmer z Alabamy, który przyszedł do kościoła, wygląda raczej na krajana z Południa niż na Włocha.

- Domek myśliwski był tutaj, nazywano go Rykowiskiem — wyjaśniam Sharon, która mruży oczy, nietykalna, trochę cofnięta i okopana we własnym wnętrzu. Nie dla niej obecność tłoczących się duchów tego miejsca, zielony mrok powracającego znowu lata i jego smutek. Ona chodziła do szkoły średniej w Eufali i jest jej obojętne, gdzie przebywa (tak samo mogłaby stać w rotundzie Kapitolu podczas szkolnej wycieczki do Waszyngtonu). I ma rację, sama bowiem jest słodkim życiem. I gdzie w nim miejsce na smutek? - Kiedyś przyjechałem tu z ojcem i stryjecznym dziadkiem. Nie było łóżek, więc spaliliśmy na podłodze. Ja spałem między nimi. Miałem nowy zegarek marki Ingersoll i gdy szedłem spać, zdjąłem go i położyłem na podłodze przy głowie. Nocą mój stryjeczny dziadek obrócił się na posłaniu i uszkodził to cacko. Opowieść o tym, jak przewrócił się na mój zegarek, stała się słynna i na swój sposób zabawna, i wszyscy się śmiali - cha, cha, cha — niczym zgraja Niemców. Na Boże Narodzenie dał mi inny zegarek. Okazało się, że to złoty hamilton. - Sharon stoi w rozkroku, nieporuszenie jak członkini WAC. - Pamiętam, jak mój ojciec zbudował domek myśliwski. Przedtem czytał dzieła Fabre'a i wpadł na pomysł, by mieć jakieś fascynujące naukowe hobby. Kupił teleskop, pewnej nocy zawołał nas przed dom i pokazał przypominającą koński łeb mgławicę Oriona. Na tym skończyły się obserwacje astronomiczne. Potem zaczął czytać Browninga i uznał, że musi znaleźć się w męskim świecie. Właśnie wtedy założył klub łowiecki.

- „Ze mną się zestarzej. / Najlepsze dopiero się wydarzy”

- cytuje Sharon.

- Zgadza się.

Pan Sartalamaccia zrobił się niespokojny; miętosi w dłoniach swój kapelusz. Paznokcie jego palców są duże i prawie całkowicie wypełnione białymi półksiężycowymi obrączkami.

- To nie pański ojciec go wybudował, tylko sędzia Anse.

- Naprawdę? Znał ich pan? Nie wiedziałem, że...

Pan Sartalamaccia mówi o tym ze smutkiem, nie unosząc wzroku — zna jedynie czyste i proste fakty i nie może uwierzyć, że o tym nie wiemy. Wszyscy wiedzą.

- Zbudowałem ten dom dla niego.

- Skąd go pan znał?

- Nie znałem. Pewnego ranka przed Bożym Narodzeniem miałem właśnie skończyć budowę mojego sklepu, a sędzia Anse wszedł i zaczął ze mną rozmawiać. Powiedział... eee — pan Sartalamaccia uśmiecha się tajemniczo, jeszcze bardziej schyla głowę i pozwala sobie zacytować jego słowa: - „Jak się nazywasz?”. Tak: „Jak się nazywasz?”. Powiedziałem mu. Powiedział... eee: „To ty zbudowałeś ten sklep?”. Odparłem: „Tak, proszę pana”. Odbyliśmy rozmowę. Spojrzał na mnie i rzekł... eee: „Powiem ci, czego od ciebie chcę”. Wypisał czek. Powiedział... eee: „Oto czek na tysiąc dolarów. Chcę, żebyś zbudował mi domek myśliwski. Chodź, pokażę ci, gdzie”. Zgodziłem się. Więc on mi powiedział... eee... — Pan Sartalamaccia czeka, aż padną te słowa, te właśnie słowa... - „Chodźmy, Vince”, jakbyśmy mieli się dobrze zabawić. Nigdy przedtem nie widział mnie na oczy, a wszedł do mojego sklepu i wystawił mi czek na tysiąc dolarów w Canal Bank. I wrócił dopiero po sześciu tygodniach.

- Domek mu się spodobał?

- Ja twierdzę, że tak.

- Rozumiem. - Rozumiem. Były takie czasy i byli tacy ludzie (i pan Sartalamaccia uśmiecha się na to wspomnienie), ludzie, którzy potrafili powiedzieć innym: „Zrób to tutaj”, i mieli to zrobione, zrobione z przyjemnością i z przyjemnością wspomniane. - Zawsze pan tu mieszkał?

- Ja? - Pan Sartalamaccia po raz pierwszy unosi wzrok. - Byłem tu tylko trzy tygodnie! Od listopada.

- Skąd pan pochodzi?

- Wychowałem się w Ensley, koło Birmingham, ale w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim czasie były tak ciężkie, że zacząłem wędrować z miejsca na miejsce. Odwiedziłem czter-

dzieści sześć stanów, wszystkie oprócz Waszyngtonu i Oregonu, po prostu rozglądając się. I nigdy nie byłem głodny. W trzydziestym czwartym przyjechałem do mojego brata w Violet i zacząłem zastawiać sidła.

Okazuje się, że pan Sartalamaccia jest przedsiębiorcą budowlanym i właścicielem osiedla domków jednorodzinnych w sąsiedztwie. Daleko zaszedł i na dokładkę potrzebuje mojego klubu łowieckiego. Pytam o domy.

— Chce pan obejrzeć?

Idziemy za nim po śladach kół harleya na szczerze pełne ładnych domków z płaskimi dachami. Koniecznie chce nam pokazać jeden budynek. Z przyjemnością przyglądam się, jak przesuwam kciukiem po obciętych piłą brzegach poszycia. Sharon to nie przeszkadza. Stoi prosto, nieco przewracając oczami. Jest senna i ubrana bez gustu; wygląda jak Ava Gardner na zdjęciach z czasów, gdy była licealistką w Karolinie Północnej.

- Wie pan, co jest w tej płycie? - Beton jest gładki jak jedwab.

- Nie.

- Miedziana rura. Nikt się nie dowie, że tam jest, ale będzie tam jeszcze długo. - Widzę, że nie chodzi mu wyłącznie o uczciwość; chodzi o przyjemność, jaką mu sprawia myślenie o porządnej rurze w porządnej płycie.

Wróciwszy na wzniesienie terenu, pan Sartalamaccia bierze mnie na stronę i trzymając kapelusz w dłoni, wskazuje na wschód.

— Widzi pan ten ogromny rów?

- Widzę.

- Wie pan, co to będzie?

- Nie.

— Kanał pływowy prowadzący do Zatoki. Wie pan, ile będzie warta nasza ziemia?

- Ile?

- Pięćdziesiąt dolarów za stopę. - Pan Sartalamaccia przy ciąga mnie do siebie. Znowu mi przekazuje tę wieść jako największą sensację. Interes nie interes, to wiadomość, którą trzeba przekazać.

Później Sharon mówi mi, że sprytnym podstępem skłoniłem go do ujawnienia prawdziwej wartości mojego klubu łowieckiego. Myli się jednak. W chwili, gdy go poznałem, okazało się, że mówienie o przeszłości, o jego dziwnej odysei tysięcy dziewięćset trzydziestego drugiego roku, gdy spoglądał na Old Faithful w parku Yellowstone, budował drogę na grobli prowadzącej do Key West i nie zaznał głodu, sprawia mu przyjemność - przyjemność sprawiała mu rozmowa ze mną o przeszłości i zmaganie się ze mną przeciw przyszłości. Przemawia przez niego samotność i wspólnie zachwycamy się teraz informacją o budowie kanału i radujemy perspektywą zarobienia pieniędzy. Pieniądze są bowiem wielką radością.

Panem Sartalamaccia zawładnęła tajona dotąd wesołość. Szturcha mnie w żebra.

- Powiem panu, co możemy zrobić, panie Bolling. Niech pan zachowa swoją ziemię! Zagospodaruję ją panu. Niech pan zmodernizuje infrastrukturę. Ja zbuduję domy. Zarobimy trochę forsy. — Odwraca się w prześmiewczym geście.

- Ile pana zdaniem możemy zarobić?

- Cóż, nie wiem. Ale wiem jedno. — Pan Sartalamaccia podskakuje jak koza, a Sharon stoi rozmarzona w zielonym mroku polany. - Od razu dam panu za to piętnaście tysięcy!

Nasze zyski rosną w oczach.

Sharon i ja mkniemy River Road. Rzeka wezbrała i bomy oraz kominy statków suną wzdłuż wału przeciwpowodziowego naszymi wielkimi maszynami do robót ziemnych.

Na stacji Shella, w zwale kapryfolium wyrastającego przez puszkę po oleju, stojąc nad Sharon i patrząc na puszkę coca-coli na jej złotym kolanie, myślę o tym, by zniwelować buldożerami

pagórek na swojej działce, i przypomina mi się, jak w takich sytuacjach pracował stary Gable - wiedział, jak stworzyć wrażenie, że się pracuje i nie zważa na obecność kobiet, i nadal poruszać się tak, by sprawić im radość: stanąć spocony z rękami w tylnych kieszeniach.

Być z Sharon, zarabiać przy okazji pieniądze i stwarzać wrażenie, że nie zwracam na nią uwagi, to wielka przyjemność. Ona zaś nie widzi nic zdrożnego w tym, że siedzi w słońcu w małym kubelkowym fotelu z nogami zgiętymi w kolanach i z podwiniętą sukienką. Bursztynowa kropla coca-coli błąka się po jej udzie, dotyka jasnego włoska, rozdziela się w pobliżu małej bruzdy na skórze.

- Aaaach - jęczę głośno.
- Co się stało?
- Nagłe ułknięcie w boku. - Sztylet wbity w serce.

Sharon osłania oczy przed słońcem, żeby mnie widzieć.

- Panie Bolling?
- Słucham?
- Pamięta pan, jaką cenę najpierw podał pan Sartalamaccia?
- Osiem tysięcy dolarów.
- Naprawdę miał zamiar pana oskubać.
- Nie. Ale gdyby nie ty, zgodziłbym się na osiem tysięcy.
- Ja?
- Namówiłaś mnie do przyjazdu tutaj.

Sharon zgadza się bez przekonania, cofając się myślami do wczorajszej rozmowy i mrużąc jedno oko.

- Wiesz, ile mi oszczędziłaś, czy raczej zarobiłaś dla mnie? Co najmniej siedem tysięcy dolarów, a może o wiele więcej. Jestem zobowiązany dać ci dziesięć procent.

- Nie dasz mi żadnych pieniędzy, chłopcze.

Mimo woli wybucham śmiechem.

- A to dlaczego?

- Nikt nie będzie mi dawał żadnych pieniędzy. (Teraz reflektuje się i celowo mówi z wyraźnym akcentem). Mam kupę forsy.

- Ile?

— Nieważne.

Wyginając nogę pod określonym kątem, Sharon jest w stanie postawić puszkę z colą na rzepce kolana. Cóż za konstrukcja — ścięgno i kość, płaska powierzchnia rzepki i wypukłość, a wszystko w kolorze złota.

Jadę do domu jak stary Gable, spocony i niezważający na nią, i śmiertelnie chory z pożądania. Sharon jest zadowolona - po pierwsze dlatego, że może milczeć. Zauważyłem, że kępuje ją konieczność podtrzymywania rozmowy.

Przechylając głowę, z ogniem w oczach, zadaje jeszcze tylko jedno pytanie:

- A co z wizytą w sądzie?

— Jest za późno. Nie musiałaś przyjeżdżać. Przepraszam.

- Słuchaj! - krzyczy, równie odległa jak sama Eufala. - Wspomniałam się bawiłam!

8

Raz w tygodniu, w piątki, wszyscy sprzedawcy Cutrera wracają do centrali na konferencję przy lunchu z personelem. Analizuje się wówczas tygodniowe obroty, sporządza raporty sprzedaży, wygłasza prelekcje o sytuacji na rynku, gwarant prezentuje zbliżające się emisje. Dzisiaj jednak niewiele mówi się o interesach. Karnawał jest w pełnym toku. Parady i bale trwają dniem i nocą. Kilkanaście *krewe* miało już swoje pięć minut, a jeszcze mają się pojawić Proteusz, Rex i Comus. Zarówno wspólnicy, jak i sprzedawcy mają zaczerwienione oczy i nieprzytomne spojrzenia. Krąży plotka o tym, kto będzie królem i królową Iberii na wieczornej paradzie (większość personelu firmy Cutrer, Klostermann i Lejier to członkowie albo Neptuna, albo Iberii). Na ogół uważa się, że królem Iberii będzie James (Konus) Jones,

prezes Middle Gulf Utilities, a królową Winky Ouillibert, córka Plauche'a Ouilliberta z Southern Mutual. Ten wybór zyska! powszechne uznanie - mogę zaświadczyć, że obaj są zdolnymi, sympatycznymi i skromnymi ludźmi.

W niektóre piątki stryj Jules lubi przyjmować mnie w swoim gabinecie po lunchu. Chęć spotkania wyraża, zostawiając otwarte drzwi na korytarz, tak abym zobaczył go za biurkiem i oczywiście wstąpił się przywitać. Dzisiaj wydaje się szczególnie zadowolony, że mnie widzi. Stryj w sympatyczny sposób umie sprawić, że czujesz się u niego swobodnie. Chociaż ma duży gabinet z zabytkowym biurkiem i wielkim portretem ciotki Emily i chociaż jest człowiekiem zajęтым, sprawia, że odnosisz wrażenie, iż obaj trafiliście tu przypadkiem; nie jest tu bardziej u siebie niż ty. Siada wszędzie, tylko nie na swoim krześle, i załatwia interesy wszędzie, tylko nie przy swoim biurku. Teraz prowadzi mnie w kąt gabinetu i stojąc niczym chirurg, obmacuje kości mojego barku.

- Dziś rano odwiedził mnie Ravaud. - Stryj milknie i odrzuca do tyłu głowę. Dobrze wiem, że mam zaczekać. - Powiedział: „Jules, mam dla ciebie złą wiadomość... Wiesz o zjeździe przedstawicieli otwartych funduszy inwestycyjnych o nieograniczonym potencjale emisyjnym, tym, w którym zawsze bierzesz udział?”. Odparłem: „Jasne, że wiem”. - Teraz stryj przykłada głowę do mojej piersi, jakby osłuchiwał mi serce. Czekam. - „A wiesz, kiedy się odbywa?”. „No tak, gdzieś koło połowy marca”, odpowiadam. „Gdzieś koło wtorku”, precyzuje Ravaud. „W dniu parady”. - Stryj ściska mnie za ramię, bym nadal milczał. - „Naprawdę, Ravaud? Och, byłbym zapomniał. Oto twoje bilety. Życzę przyjemnej podróży”. - Stryj Jules jest dziwnie pochylony i nie wiem, czy się śmieje, ale jego kciuk wchodzi głęboko w panewkę mojego stawu barkowego.

- A to dobre.

- Ale wtedy on powiedział coś, co utkwilo mi w pamięci. Powiedział: „Jeżeli ci na tym zależy, to mogę pojechać, ale w rodzinie masz odpowiedniego człowieka. Przecież ten drań Jack

Bolling wie więcej o sprzedawaniu udziałów w tych trustach niż ktokolwiek na Carondelet Street". No więc, parada cię nie obchodzi, prawda? - Stryj tak naprawdę w to nie wierzy. Jeśli chodzi o niego, nie potrafiłby sobie wyobrazić, że w Mardi Gras rano będzie gdziekolwiek indziej niż w Boston Club.

- Nie, stryju.

- Więc polecisz we wtorek rano samolotem o dziesiątej trzydzieści - stwierdza stryj szorstko, jak zwykle, gdy wyświadcza innym przysługę.

- Dokąd?

- Dokąd! Do cholernego Chicago!

Chicago. Najbardziej nieszczęsne ze wszystkich cholernych nieszczęść. Nigdy nie potrafiłbym tego wytłumaczyć stryjowi, ale odbicie podróży, pokonanie setek mil nocą w drodze na drugi koniec kraju, do obcego miasta, i wyjście z samolotu tam, gdzie w powietrzu unosi się inny zapach, a ludzie w odmienny sposób znajdują sobie miejsce w świecie, nie jest dla mnie drobnostką. Jest drobnostką dla niego, ale nie dla mnie. Zamknąć oczy w Nowym Orleanie i obudzić się w San Francisco, snuć takie same myśli na Telegraph Hill, jakie snuł na Carondelet Street, to dla niego pestka. Moim szczęściem i nieszczęściem jest wiedza o tym, jak duch obcego miejsca może nas wzbogacić lub ograbić, ale nie zostawi nas w spokoju, o tym, jak— gdy podróżujemy beztrąsko do stu obcych miast i nie dbamy o ryzyko, jakie podejmujemy — możemy zdać sobie sprawę, że jesteśmy Nikim i że nigdzie nie dotarliśmy. Wspaniały dzień od rana. Co będzie oznaczać przechadzka Michigan Avenue w okolicy zamieszkałej przez pięć milionów obcych osób, z których każda wytwarza własne pole promieniowania? Jak mogę uporać się z pięcioma milionami takich pól?

- Chcę, żebyś nawiązał kilka nowych kontaktów. - Stryj Jules odchyła głowę i czekamy przez dziesięć sekund. - Potem, gdy już wrócisz, chyba moglibyśmy znaleźć ci coś w centrum. — Najbardziej szorstki ton, a więc i największa przysługa.

- Tak, stryju - mówię zachwycony i włosy mi się jeżą na głowie na znak, że doceniam jego największą przysługę. Och, wszystkie sukinsyny i czyhający na mnie wielki potworze z Chicago! Skończone moje życie w Gentilly, moja Mała Droga, moje utajone istnienie pośród radosnych cieni na Elysian Fields.

9

Od pewnego czasu mam coraz silniejsze wrażenie, że wszyscy są martwi.

Zdarza się to, gdy rozmawiam z ludźmi. W połowie zdania nachodzi mnie myśl: tak, to bez wątpienia śmierć. Pozostaje tylko jęknąć, znaleźć jakiś pretekst i jak najszybciej odejść. W takich chwilach wydaje się, że rozmowę toczą roboty, które nie decydują o tym, co mówią. Słyszę, jak sam mówię lub ktoś inny mówi na przykład: „Moim zdaniem Rosjanie to wspaniali ludzie, ale...” albo: „Tak, to, co mówisz o hipokryzji Północy, jest bezsprzecznie prawdą. Jednakże...” - i myślę: to jest śmierć. Ostatnio nie jestem w stanie kontynuować takich codziennych rozmów, ponieważ w ich trakcie odruchowo się krzywię. W środę, gdy rozmawiałem z Eddiem Lovellem, czułem, że bezwiednie mrugam okiem.

Po konferencji wpadam na schodach biblioteki - dokąd chodzę sporadycznie, żeby poczytać liberalne i konserwatywne periodyki - na moją kuzynkę Neli Lovell. Ilekroć mam złe samopoczucie, idę do biblioteki i czytam kontrowersyjne czasopisma. Chociaż nie wiem, czy jestem liberałem, czy konserwatystą, i tak ożywia mnie nienawiść, którą jedni darzą drugich. Ta nienawiść wydaje mi się nawet jedną z niewielu oznak życia, jakie pozostały na świecie. To kolejna cecha stojącego na głowie świata: wszyscy zyczliwi i sympatyczni ludzie wydają mi się martwi; wrażenie żywych robią jedynie nienawistnicy.

Opadam na krzesło przy jednym z masywnych stołów z liberalnym tygodnikiem w dłoni, czytam go od deski do deski, kiwając głową, ilekroć autor artykułu trafia w sedno. Cholernie słusznie, staruszkule, mówię, szarpiąc z aprobatą krzesłem. Przyłóż im. Po czym wstaję, podchodzę do regału po miesięcznik konserwatywny i siadam na innym chłodnym krześle, by przyłączyć się do kontrataku. Oho, mówię, i mocno trzymam się poręczy krzesła, ten to dopiero wypruł im flaki! A potem znowu wychodzę na słońce, czując na karku przyjemne mrowienie.

Neli Lovell, jak już mówiłem, spostrzegła mnie i podchodzi teraz, wymachując jakąś książką. Wygląda na to, że właśnie skończyła lekturę głośnej powieści, która - jak rozumiem - prezentuje trochę posępne i pesymistyczne spojrzenie na świat. Neli jest zła.

- Ja nie czuję się ani trochę posępna! - woła. — Teraz, gdy Mark i Lance dorośli i wyfrunęli z domu, przeżywam najwspanialszy okres w moim życiu. Rano chodzę na zajęcia z filozofii, a wieczorami pracuję w Le Petite Theatre. Ja i Eddie ponownie przeanalizowaliśmy nasze wartości i okazało się, że są diabelnie trwałe. Ku naszemu niezmiernemu zdumieniu odkryliśmy, że oboje mamy ten sam życiowy cel. Wiesz, jaki?

- Nie.

- Wnieść wkład, choćby niewielki, i pozostawić świat odrobinę lepszym.

- To bardzo dobrze - odpowiadam z lekkim zażenowaniem i drepczę na schodach biblioteki. Z Neli mogę rozmawiać, o ile tylko na nią nie patrzę. Patrzenie jej w oczy wprawia mnie w zakłopotanie.

- ...telewizor daliśmy dzieciom i wczoraj wieczorem włączyliśmy aparaturę hi-fi, siedliśmy przy kominku i głośno czytaliśmy *Proroka*. Ja nie uważam, że życie jest ponure! — krzyczy. - Książki, ludzie i rzeczy nie przestają mnie fascynować. Ciebie też?

- Tak. - W mojej okolicy rozpoczęło się bulgotanie, zwiastujące gwałtowną defekację.

Neli nie przestaje mówić i mogą tylko przestępować z nogi na nogę, uważając, żeby nie pierdnąć, i patrzeć na nią w zwyczajny sposób: jak na czterdziestolatkę o ładnej, szczerej amerykańskiej twarzy, której zostało kolejne czterdzieści lat życia, kobietę żarliwą, przede wszystkim żarliwą, tą żalosną bezradną żarliwością, jaką w pewnym wieku zaczynają pałać absolwentki amerykańskich college'ów. Zacząłem myśleć o Lovellach ponownie analizujących swoje wartości. Tak, prawda. Wartości. Świetnie. I wtedy nie mogę się nadziwić: czemu ona mówi tak, jakby już była martwa? Zostało jej kolejne czterdzieści lat i jest martwa, po trzykroć martwa.

— Jak się miewa Kate? - pyta Neli.

Przytomnieję i zastanawiam się, próbując umknąć śmierci.

- Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Jestem do niej tak przywiązana! Jakże wspaniała jest osobą!

— Ja też jestem przywiązany. A ona jest wspaniała.

- Odwiedź nas, Binx!

— Odwiedzę.

Rozstajemy się roześmiani i martwi.

10

O czwartej po południu uznaję, że nie jest za wcześnie, by uruchomić mój najnowszy plan, wymyślony z uwagi na pieniądze i miłość, moją miłość do Sharon. Wszystko zależy od ścisłego skojarzenia interesów i miłości. Gdyby moje interesy miały ucierpieć z powodu mojego podziwu dla Sharon, ucierpiałby wtedy również mój podziw dla niej. Nigdy, przenigdy nie zrozumiem mężczyzn, którzy rzucają wszystko dla jakiejś kobiety. Sztuka, przyjemność polega na tym, by prosperować na wszystkich frontach, zaprzac pieniądze w służbę miłości, a miłość w

służbę pieniędzy. Dopóki się bogacę, czuję, że wszystko gra. Mam to w swojej prezbiteriańskiej krwi.

O czwartej piętnaście siadam na brzegu jej biurka, krzyżując ręce i przybieram zatroskaną minę.

- Panno Kincaid, muszę panią prosić o jedną przysługę.

- Słucham, panie Bolling.

Gdy na mnie spogląda, myślę o tym, jak słabo się znamy. Sharon jest tak naprawdę nieznajomą. Jej żółte oczy są dość życzliwe i mętne. Ona jest bardzo miła i bardzo pragnie być przydatna. Tracę zapał. Miłość, sama możliwość miłości, znika. Znika różnica płci. Jesteśmy zwykłym tandemem.

- Wiesz, co to za nazwy?

- Nazwy akt klientów.

- To także portfele inwestycyjne, indywidualne wykazy akcji, obligacji i tak dalej. Wyjaśnię ci teraz, co robimy rokrocznie o tej mniej więcej porze. Za kilka tygodni trzeba złożyć zeznania podatkowe. Zwykle wysyłamy naszym klientom sporo broszur i tabel, i Bóg wie czego jeszcze, żeby im pomóc w wypełnianiu deklaracji. W tym roku zrobimy coś innego. Mam zamiar sam przejrzeć każdy portfel, nadać każdej transakcji odpowiedni status podatkowy i w osobistym liście przekazać każdemu klientowi konkretne zalecenia, zalecenia co do zysków z tytułu przyrostu wartości kapitału i co do strat, co do praw poboru akcji i certyfikatów prawa poboru akcji, dat przymusowych konwersji, dywidend opłaconych akcjami i tym podobnych rzeczy. Zdziwiłabyś się, ilu skądinąd przenikliwych przedsiębiorców w tym samym roku odnotowuje zyski i ponosi straty z inwestycji długoterminowych.

Sharon słucha uważnie, jej żółte oczy błyszczą inteligencją.

- Jestem już obeznany z ich rachunkami, więc to żaden problem. Ale wymaga to napisania mnóstwa listów, a czasu zostało niewiele. - Chyba oszalałem; ta dziewczyna to porządna kobietka.

- Kiedy mielibyśmy zacząć?

- Możesz pracować godzinę dłużej dziś po południu i w sobotę rano?

- Chciałabym zatelefonować - mówi obcesowo i uprzejmie jak prowincjuszka, która obdarza swoimi względami z gniewną usłużnością.

Chwilę później stoi przy moim biurku, gładząc beżowy plastik dwoma szkarłatnymi paznokciami.

- Czy o piątej ktoś mógłby przyjechać i zabrać mnie na kilka minut?

Ktoś. Jakże klasyczną posługuje się mądrością. Jestem dla niej nikim, a mimo to, kierując się niezawodnym instynktem, nie precyzuje płci osoby, z którą się umówiła. Wie, że nie wierzę w istnienie takiej osoby. Ale wie, co robi. Wbrew sobie wierzę, że ktoś, zagadkowa i nieznająca osoba płci nijakiej, po nią przyjeżdżie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w czymś poważnym.

- Żartuje pan?

- Ależ nie.

Zaskakuje mnie. Użyłem słowa „poważnym” niejednoznacznie i chyba celowo. Ona jednak szybko nadaje mu zalotne znaczenie.

Zyskuję niespodziewaną korzyść. Sprawdzenie, jakim człowiekiem jest jej przyjaciel, mogłoby być dla mnie pożyteczne. Ale nie muszę się martwić o to, czy uda mi się na niego spojrzeć. Na parę minut przed piątą wchodzi do biura. Bardzo mi przypada do gustu - mógłbym rzucić mu się na szyję. Wyrazista postać - nie młokos, jak się bałem: typ z Faubourg Marigny, śródziemnomorski, z dużym nosem, guzowatą żuchwą i pojedynczą głęboką zmarszczką nad brwiami, powyżej której wyrastają wspaniałe, szorstkie, zaczesane do góry, wypomadowane włosy w kolorze brązu. Na jego twarzy maluje się cierpienie z tego powodu. Nie jestem mu do niczego potrzebny. Kiwam do niego głową z najserdeczniejszą sympatią i wydaje się, że on

odpowiada skinieniem, lecz nie przestaje kiwać głową, kiwa nią, minąwszy mnie, i kiwa, patrząc na biuro, jakby je oceniał. Od czasu do czasu opuszcza wargę, odsłaniając zęby, i wciąga w płuca silny niczym podmuch pary strumień powietrza. Gdy czeka na Sharon, gwałtownie otwiera zaciśniętą dotąd pięść i z głośnym płaskiem uderza dłonią w ukryte w szerokich spodniach kolano.

Gość z Faubourg Marigny w końcu wychodzi i pracujemy sumiennie do siódmej. Dyktuję Sharon parę bardzo szczerych listów. „Drogi panie Herbert. Przypadkiem przejrzałem dziś rano pański portfel i pomyślałem, że mógłby pan sporo zaoszczędzić na podatku, pozbywając się swoich akcji Studebakera-Packarda. Nie znam oczywiście pana łącznych zobowiązań podatkowych, jeżeli jednak rzeczywiście ma pan problem z podatkiem, proponuję uwzględnić stratę kapitałową z następujących powodów...”

Dobrze jest zaprzętać sobie myśli zarówno panem Herbertem, jak i Sharon. Myślenie tylko o jednym z nich wyprowadziłoby mnie z równowagi.

Pracujemy ciężko, jak towarzysze, dopingowani tak silnym poczuciem partnerstwa, że najmniejsze zabiegi miłosne zostałyby zignorowane przez każde z nas jako przejaw głupoty. Teraz *Miasteczko Peyton Place* byłoby krępujące i dla mnie, i dla niej.

O szóstej uświadamiam sobie, że nadeszła pora, by nieznacznie zmienić tonację. Odtąd wszystko, co robię, musi przedstawiać w jej oczach określoną wartość, a ponadto Sharon musi zacząć tę wartość dostrzegać.

Tak więc posyłamy po kanapki i pracując, pijemy kawę. Chwile zalegającego między nami milczenia zmieniły już charakter - stało się ono łatwiejsze. Mogę stanąć przy oknie, rozpiąć kołnierzyk koszuli i pomasować sobie kark niczym Dana Andrews. I wpadać w irytację: „Nie, nie, nie, Kincaid, nie to chciałem powiedzieć. Zrób sobie przerwę”. Podchodzę do lodówki,

zażywam dwie aspiryny, zgniatam papierowy kubek. Jej przyjaciel, dawny „ktoś”, okazuje się nieoceniony. We wszystkich moich taktycznych zabiegach stanowi wielkość określoną. Jest moim punktem triangulacyjnym. Traktuję jego małą figle bez emocji.

Sharon wkręciła już do maszyny nową kartkę.

- Niech pan spróbuje jeszcze raz - mówi, patrząc na mnie ironicznie, z błyskiem w oczach.

Wyciągam obie ręce w stronę jej biurka, wsuwam głowę między ramiona.

- Dobra. Napisz to w ten sposób... - O Rory, Rory, Rory.

Rozumie sytuację. Jest czujna: wie, że coś się święci. Kiedy teraz spogląda na mnie między kolejnymi zdaniami, robi to marszcząc brwi, a jej zadarta głowa nieruchomieje jak u małej przepiórki.

Przygląda mi się uważnie, jej żółte oczy-agaty błyskają iskierkami zaciekawienia. Nagle ruszamy w drogę. Jesteśmy niczym dwoje dzieci zagubionych w letnie popołudnie, które ledwie świadome swojej obecności, znajdują drzwi w murze i wchodzą do zaczarowanego ogrodu. Teraz moglibyśmy wziąć się za ręce. Sharon czujnie sprawdza, czy też to dostrzegam.

Nie czas jednak na ryzyko. Chociaż w uszach słyszę walca z *Kawalera srebrnej róży* i mógłbym ją porwać z krzesła i pocałować prosto w usta - wracamy do pracy.

- Drogi Panie Fontenot. Gdy przeglądam Pański portfel, odnoszę wrażenie, że raczej nie jest Pan w stanie skorzystać z możliwości, jakie daje rozpoczynająca się era pocisków rakietowych...

Człowiek z Faubourg Marigny nie wraca i o siódmej trzydzieści odwiezienie Sharon do domu wydaje mi się rzeczą oczywistą. Od strony Teksasu nadciąga nawałnica i zjeżdżamy w kierunku Esplanade w błyskach letnich piorunów. Powietrze zalega

ciężką warstwą nad Elysian Fields; wcześniej jaskółki znad jeziora wystraszyły się i zmieniając kierunek, odfrunęły na bagna. We French Quarter roi się od ludzi. Przyjemnie jest zostawić za sobą zielone pola i rozległe niebo nad Gentilly i wjechać w ciasne, pełne ludzkich zapachów i dźwięków ulice, na które napierają zniszczone budynki. Tutaj nie słychać treli drozdów i krzyków jaskółek. O zmierzchu dobrze jest wydostać się spod gołego nieba, wjechać w zalaną żółtym światłem przestrzeń i siedząc, dotykać ciepłego uda. Jestem bliski złamania swojego postanowienia i zapytania Sharon, czy się ze mną napije. Ale zamiast to zrobić, odprowadzam ją wzrokiem do domu. Wchodzi po nowych betonowych schodach, które wznoszą się niczym trap ku zamglonemu niebu.

11

Dzisiaj odbywa się kolacja z udziałem Kate oraz królowych Mardi Gras i nie będę się widział z moja kuzynką. Piję piwo i oglądam telewizję, ale co parę minut do głowy cisną mi się myśli o Sharon, mojej dużej, pięknej mażoretce z Alabamy, i zaczynają mi się pocić dłonie. Powietrze jest ciężkie i nieruchome. To czas czujności. W takich chwilach pojawia się pokusa, by zachować się nieroztropnie, spróbować zobaczyć się z Sharon lub nawet zaparkować na Esplanade i ją szpiegować. I ryzykować zniweczeniem wszystkiego. Potem wreszcie zrywa się burza, prawdziwa teksańska nawałnica. Stopniowo złe samopoczucie mija i jestem w stanie siedzieć na swoim krześle spokojnie i bez drżenia serca, z dłońmi na kolanach, i oglądać telewizję.

Szeryf więzi paru mężczyzn w indiańskim hoganie. Squaw zginęła, osierocając niemowlę. W wyniku niespodziewanego zwrotu wydarzeń zabójcy uzyskują przewagę i teraz oni przetrzymują szeryfa w chacie jako zakładnika. Szeryf przypomina

im o dziecku w hoganie. Nie jest typowym stróżem prawa. Jest również humanistą. „To tylko śmierdzący Indianin” - mówi jeden z zabójców. „Mylisz się - odpowiada szeryf. —To ludzka istota”. W końcu nakłania zabójców, by oszczędzili niemowlę, a nawet, by kazali je ochrzcić. Zabójcy wychodzą z chaty, burczą pod nosem, i sprowadzają kapelana, człowieka, który wyglądem do złudzenia przypomina świętej pamięci H.B. Warnera.

Kładę się spać pośród burzy w przytulnym i suchym domu, otulony niczym larwa w kokonie, otoczony bezpieczną i serdeczną, pełną miłości chrześcijańską życzliwością. Z krzesła do łóżka i sprzed telewizora do radia na krótką audycję przed snem. Mając swoje stałe, zakonne niemal przyzwyczajenia, znajdując przyjemność w najprostszych powtórzeniach, co wieczór o dziesiątej słucham audycji zatytułowanej „W to wierzę”. Mnisi mają swoją komplecę, ja mam „W to wierzę”. Podczas audycji setki najszlachetniejszych osób w naszym kraju, ludzie myślący i inteligentni, ludzie o dojrzałych dociekliwych umysłach, wykładają swoje credo. Wszystkich dwustu lub trzystu, których do tej pory słyszałem, zaprezentowało się w sposób godny podziwu. Wątpię, czy jakkolwiek inny kraj bądź jakakolwiek inna epoka w dziejach wydały takich myślących i szlachetnych ludzi, zwłaszcza kobiety. I zwłaszcza na Południu. Naprawdę sędzę, że Południe wydało więcej szlachetnych kobiet, kobiet obdarzonych ogólną wrażliwością, niż jakakolwiek inna część kraju, może z wyjątkiem Nowej Anglii w ubiegłym stuleciu. Pięć spośród moich sześciu żyjących ciotek to kobiety o najwznioślejszych teozoficznych pan-bramińskich zapatrywaniach. Szósta nadal jest prezbiterianką. Gdybym miał wskazać jedną cechę wspólną wszystkich tych ludzi, byłaby nią uprzejmość. Ich życie to triumf uprzejmości. Darzą wszystkich najserdeczniejszymi i najszlachetniejszymi uczuciami. Jeśli zaś chodzi o nich samych, to nawet ponurak nie mógłby ich nie lubić.

Dzisiaj podmiotem audycji jest dramatopisarz, który w swoich sztukach przekazuje tę właśnie cechę - uprzejmość. Zaczyna od wyznania:

- Wierzę w ludzi. Wierzę w tolerancję i zrozumienie w stosunkach między ludźmi. Wierzę w wyjątkowość i godność jednostki.

Wszyscy występujący w tym programie wierzą w wyjątkowość i godność jednostki. Zauważyłem jednak, że wierzący w nie sami bynajmniej nie są wyjątkowi; w rzeczywistości są do siebie podobni jak krople wody.

- Wierzę w muzykę. Wierzę w uśmiech dziecka. Wierzę w miłość. I wierzę w nienawiść.

To prawda. Znam kilkoro z tych ludzi wierzących, psychologów i humanistów, którzy bywają w domu mojej ciotki. W kwestii „W co wierzę” są jak wszyscy. Kiedy jednak chodzi o tę lub inną konkretną osobę, to zauważyłem, że zazwyczaj szczerze jej nienawidzą.

Audycja ta nie zawsze mi się podobała. Gdy mieszkałem u ciotki, w nagłym przypiływie przekory zamiast - jak miałem w zwyczaju - napisać list do wydawcy, nagrałem taśmę, którą przekazałem panu Edwardowi R. Murrowowi. Zaczynała się od słów: „Oto przekonania Johna Bickersona Bollinga, kinomana mieszkającego w Nowym Orleanie”, a kończyła wyznaniem: „Wierzę w porządnego kopa w tyłek. W to... wierzę”. Szybko tego jednak pożałowałem, uznając nagranie za - jakby nazwał je mój dziadek - „wyznanie Jędrka-mędrka”, i ulżyło mi, gdy taśma została zwrócona. Odtąd jestem wiernym słuchaczem „W to wierzę”.

- Wierzę w wolność, w świętość jednostki i braterstwo ludzi... - kończy swoje wyznanie dramaturg. — Wierzę w wierzenie. W to... wierzę.

Po mojej niepewności co do Sharon nie ma śladu. Wyłączam radio i leżę w łóżku z przyjemnym uczuciem mrowienia w kroczu, wywołanym myślą o niej i wszystkich moich rodakach.

12

Nocą, w samym środku burzy, dzwoni telefon, okropne wezwanie, a ja leżę na podłodze, drżę jak osika i zastanawiam się, co jest nie w porządku. Dzwoni moja ciotka.

— Co to za hałas? - W telefonie rozlegają się trzaski. Wyteżam słuch tak bardzo, że sam ich nie słyszę.

Ciotka mówi, że coś się stało z Kate. Kiedy stryj Jules i Walter przyjechali do hotelu z balu Iberii, Kate już nie było. Neli Lovell, także była królowa, powiedziała im, że Kate wyszła nagle jakiś czas przed jedenastą. Minęły już trzy godziny, a ona nie wróciła do domu. Neli nie była jednak zaniepokojona. „Kuzynko, wiesz równie dobrze jak ja, co ona robi - powiedziała. - Pamiętasz moje bożonarodzeniowe przyjęcie, gdy weszła na groblę i poszła aż do Laplace. Cała Kate”. Lecz ciotka ma wątpliwości.

— Posłuchaj — mówi dziwnym głosem, oschłym, napastliwym tonem używanym przez zżytych ze sobą członków rodzin w kłopotliwych sytuacjach: mogłoby się wydawać, że mówi o kimś obcym. - Oto ostatni wpis w jej dzienniku: „Dzisiejszy wieczór wszystko wyjaśni... zadziała nowa wolność... jeżeli nie, koniec z moim chodzeniem po linie, dziękuję”. Pamiętasz tę metaforę.

- Tak. - „Chodzenie po linie” to zwrot, którego Kate użyła, gdy po raz pierwszy zachorowała. Kiedy była dzieckiem i żyła jej matka, miewała wrażenie, że ludzie śmieją się oraz rozmawiają w swobodny i zażyły sposób, a także stoją na pewnym gruncie, ale teraz wydawało się, że oni (nie tylko ona, ale wszyscy) uświadomili sobie istnienie przepaści ziejącej u ich stóp nawet przy najzwyczajniejszych okazjach — zwłaszcza wtedy. Stąd też tysięcy razy bardziej wolała znaleźć się pośrodku ziemi niczyjej niż na rodzinnym przyjęciu bądź na lunchu w klubie.

— Tak naprawdę to nie martwię się o nią - oznajmia ciotka z ożywieniem. Zapada cisza i słychać trzaski na linii. To dziwne, ale

czuję głównie lekkie zakłopotanie. Gwałtownie szukam słów, by odpowiedzieć. - Ostatecznie, dziewczyna ma dwadzieścia pięć lat.

- To prawda.

Gdzieś blisko gwałtownie uderza piorun. Potem, zanim jeszcze zniknie biały błysk, następuje gromki huk, który wstrząsa domem.

- ...wreszcie dodzwoniłam się do niego do hotelu w Adancie.

- Do kogo?

- Do Sama. Przyleci tu z samego rana zamiast w niedzielę.

Był dość podekscytowany.

- Czym?

- Powiedział, że ma nadzwyczajną wiadomość. Nie chciał powiedzieć, jaką. Wygląda na to, że w wyniku niesamowitego zbiegu okoliczności tego samego dnia zdarzyły się dwie rzeczy mające bezpośredni wpływ na Kate. Tak czy owak...

- Słucham?

- Mam przeczucie, że ona przyjdzie do ciebie. Odwiedzisz ją wtedy do domu?

- Tak.

- Kate wcale nie jest drugą Otey Ann — zauważa ciotka po chwili.

- Wcale.

Ciotka ma na myśli dwie rzeczy: po pierwsze, znajomą z Felicjany nazwiskiem Otey Ann Aldridge, która postradała zmysły, wydostała się ze szpitala stanowego w Jackson, przyjeżdżała do Nowego Orleanu i nagabywała obcych na Bourbon Street; po drugie, myśli o wyrazie oczu Neli Lovell, o śmiesznym chochliku, który pojawił się w nich w chwili, gdy uspokajała moją ciotkę.

Zrywam się ze snu o trzeciej nad ranem, wkładam płaszcz przeciwdeszczowy i wychodzę zaczerpnąć powietrza.

Linia szkwału przeszła nad miastem. Pograżone w ciszy Elysian Fields ociekają wodą, ale wysoko u góry, gdzie front ciężkiego chłodnego powietrza wypchał w górę resztki ciepłego

powietrza oceanicznego, kłębią się wiatry. Wiatr skręca na północ i porywa ze sobą sztorm, aż w końcu księżyc unosi się wysoko, przywiązany jak latawiec, i uderza o uciekające strzępy chmur.

Siedzę w budce za siatkowym ogrodzeniem domu pani Schexnaydre. Budka stoi naprzeciw szkoły i jest wykorzystywana przez te dzieci, które jeżdżą autobusami w stronę jeziora. Uliczna latarnia rzuca sinoczarny cień. Po drugiej stronie bulwaru, na diagonalnym skrzyżowaniu Elysian Fields i Bons Enfants, znajduje się pusta działka, porośnięta od ubiegłego lata sięgającymi piersi chwastami. Parę tygodni temu wpadłem na pomysł, by kupić ją i zbudować tam stację benzynową. Dowiedziałem się, że jest wystawiona na sprzedaż za dwadzieścia tysięcy dolarów. Dzięki niespodziewanemu przyływowi gotówki od pana Sartalamaccii można pomyśleć poważnie o realizacji tego zamiaru. Łatwo sobie wyobrazić mały sześcienny budynek z pustaków, z daleko wysuniętymi werandami, płytą postojową z gładkiego betonu oraz nieskazitelną, obracającą się wysoko muszlą małża jarzącą się w każdym calu swojego pięknego styrenu (zwróciłem się już do dystrybutora firmy Shell).

Pod latarnią zatrzymuje się taksówka. Kate wysiada z niej i wetknąwszy ręce głęboko w kieszenie, przechodzi wielkimi krokami obok budki. Oczy mojej kuzynki wyglądają jak mroczne kręgi. Na jej twarzy maluje się skupiony, niemal brzydki wyraz osamotnienia. Gdy ją wołam, podchodzi od razu, wcale się nie dziwiąc, okazując niepokojące lunatyczne posłuszeństwo. Wtedy pojmuję, że pochłania ją jedna z jej wspaniałych refleksji - takich, które przychodzą ludziom do głowy podczas długich spacerów.

— Jaka ja byłam głupia! — Kate kładzie obie dłonie na mojej ręce i nie zwraca uwagi na unoszący się wokół o rej porze zapach. Jest nieobecna; pozostaje w sferze swojej refleksji. - Myślisz, że człowiek może popełnić jeden błąd... nie zrobić nic złego, rozumiesz, przeliczyć się tylko... i zrujnować sobie życie?

- Dlaczego nie?

- Zrzuć ostatecznie. Czy człowiek nie mógłby być nie-
szczęśliwy, ponieważ źle coś zrozumiał i nigdy nie poznał praw-
dy... ponieważ tego, co źle zrozumiał, nie można było po-
wiedzieć, bo samo opowiadanie o tym skutkowało niezrozu-
mieniem... tak jakbyś wylądował na Marsie i dlatego nie mógł
wiedzieć, że jakieś pytanie jest śmiertelnie obraźliwe dla Mar-
sjan, więc ilekroć byś pytał, co jest nie w porządku, pakowałbyś
się tylko w coraz większe tarapaty? - Dostrzegłszy rękaw mojej
pidżamy, chwyta go dziwnie gwałtownym ruchem, niczym go-
spodyni domowa dotykająca towarów w sklepie. - O kurczę,
pidżama — mówi bezceremonialnie. - Więc? — Szuka potwier-
dzenia na mojej twarzy skrytej w fioletowym cieniu.

- Nie wiem.

- A ja wiem! Dowiedziałam się, Binx. Nikt z was nie mógł-
by mi tego powiedzieć, nawet gdybyście chcieli. Nie wiem na-
wet, czy ty wiesz.

Czekam w ponurym nastroju. Dawno temu nauczyłem się
nie ufać rewelacjom Kate. Po tych wzniosłych chwilach, kiedy
jest całkowicie pewna, jaką drogę obrać na resztę życia, często
następują okresy potwornej depresji.

- Nie, przysięgam, że nie wierzę, byś wiedział - mówi Ka-
te, spoglądając mi badawczo w twarz i w oczy, jak kochanka. —
A ujawnienie ci tego nic by nie dało.

- Powiedz mi tak czy inaczej.

- Jestem wolna. Po dwudziestu pięciu latach jestem wolna.

- Skąd wiesz?

- Nie jesteś zaskoczony?

- Kiedy to odkryłaś?

- Po południu, wczoraj po południu o wpół do piątej.

- U Merle a?

- Tak. Patrzałam na regał z książkami w jego gabinecie i
długo nic nie mówiłam. Zobaczyłam jego książkę, książkę
oprawioną w grube płótno, która zawsze robiła na mnie

nieprzyjemne wrażenie. Jak usilnie starałam się mimo to żyć zgodnie z jego zaleceniami i zaleceniami z jego książki, żyć radośnie i samodzielnie i tak dalej. Były dni, gdy wchodziłam do niego stremowana jak aktorka, i chwile, gdy udawało mi się... być sobą, i to znakomicie (spójrz na mnie, Merle, robię to!), tak znakomicie, że chyba mnie kochał. Biedny Merle. Bo widzisz, on nie może nic powiedzieć. Nie może wyjawić sekretu, nawet gdyby go znał. Wiesz, co zrobiłam? Po minucie mniej więcej zapytał: „Co ci przychodzi do głowy?”. Usiadłam, pomasażowałam powieki i wtedy to pojęłam. Ale nie mogłam w to uwierzyć. To było zbyt proste. Mój Boże, czy człowiek może żyć życiem ukrzyżowanego, przez ćwierć wieku, z powodu nieporozumienia? Tak! Wstałam. Odkryłam, że człowiek nie musi być tym, tamtym albo czymkolwiek, nie musi być nawet sobą. Jest wolny. Ale nawet gdyby Merle o tym wiedział i powiedział mi, w żaden sposób nie mogłabym skorzystać z jego rady. Jak dziwna jest świadomość, że nie można przekazać tego odkrycia. Merle ponowił więc pytanie: „Co ci przychodzi do głowy?”. Wstałam i pożegnałam się z nim. Powiedział, że jest dopiero czwarta trzydzięci, że godzina jeszcze nie minęła. Potem zrozumiał, że wychodzę. Zaciekawilo go to i zaproponował, byśmy przeanalizowali przyczyny mojego zachowania. „Merle - powiedziałam - jakże bym chciała, żebyś miał rację. Jak dobrze jest myśleć, że istnieją jakieś przyczyny i że jeśli milczę, to pewnie coś ukrywam. Jakże bym wtedy była szczęśliwa! I jakże dumna jestem, gdy jednak znajduję dla ciebie ukryte powody, twoje ulubione powody. Jeżeli jednak nie ma żadnych, to co? Tego właśnie się bałam do tej pory... że dowiesz się, że niczego nie zatajam. Ale teraz wiem, dlaczego się bałam i dlaczego nie muszę się bać. Bałam się, bo czułam, że muszę być takim a nie innym człowiekiem, tak dobrym nawet jak opisywany przez ciebie człowiek radosny i twórczy (czytuję twoje artykuły). Co za odkrycie! Wyjęłam całą swą odwagę, żeby być takim człowiekiem, jakim mam być, i drzę cała z obawy, że mi się nie uda... A chwilę

później wiem z niewzruszoną pewnością, że nawet gdybym zdołała stać się tym radosnym i twórczym człowiekiem, to mi nie wystarczy, bo mam coś lepszego. Jestem wolna. I teraz żegnaj się, Merle". I wyszłam, po raz pierwszy w życiu wolna jak ptak, dwudziestopięcioletnia, zdrowa jak koń, bogata jak krezus, ze światem stojącym przede mną otworem. Ach, Binx, nie patrz na mnie z dezaprobatą. Uważasz, że powinnam wrócić! Wrócę, bez wątplenia. Wiem jednak, że mam rację, bo inaczej nie czułabym się tak wspaniale.

To wspaniałe samopoczucie nie potrwa długo. Niebo nad Chef już blednie i wkrótce świt zamigocze wokół nas niczym dno morza. Dobrze wiem, że Kate zamknie się w sobie, gdy noc odejdzie w szarą dal. Nawet teraz się miarkuje: już temperuje trochę swoją egzaltację.

Ujmuję ją za rękę. Ma zimne dłonie.

- A co sądzisz o takim pomysśle? - pytam i mówię jej o stacji benzynowej oraz panu Sartalamaccii. - Moglibyśmy dalej mieszkać u pani Schexnaydre. Tu jest bardzo wygodnie. Może nawet sam prowadziłbym stację. Gdybyś miała ochotę, mogłabyś przychodzić posiedzieć ze mną w nocy. Wiedziałaś, że z porządnej stacji można wyciągnąć rocznie ponad piętnaście tysięcy netto?

- Stary uroczy Binx! Prosisz mnie o rękę?

- Owszem. - Przyglądam się jej niespokojnie.

- Twierdzisz, że to całkiem dobre życie. Najlepsze z możliwych. - Kate mówi w zachwycie, trochę jak moja ciotka. Tracę zapał. Za późno. Już się opanowała.

- Nie... nie przejmuj się tym.

- Nie będę! Nie będę - odpowiada zgaszona, nieobecna, jak postać grana przez Eve Marie Saint. Pochyliła się i wtuliła w swoje ramiona.

- Co się stało?

- Ooooch - jęczy, będąc znowu sobą. - Tak się boję.

- Wiem.

- Co mam zrobić?
- W tej chwili?
- Tak.
- Wsiądziemy do mojego samochodu. Potem pojedziemy na French Market, kupimy kawę i wrócimy do domu.
- Wszystko będzie dobrze?
- Tak.
- Powiedz mi. Powtórz.
- Wszystko będzie dobrze.

Rozdział trzeci

1

Sobotni ranek w biurze jest ponury. Rynek giełdowy jest zamknięty i można jedynie dalej pisać listy do klientów. Ale też niczego więcej nie oczekiwałem. Za oknem piękny, niezwykle ciepły dzień. Tropikalne powietrze wsączyło się do ziemi i małe skwery przy St Augustine są sprężyste i napęczniałe. Jagody kamforowców pękają z trzaskiem pod stopami; azalie i judaszowce kwitną przy Elysian Fields. Na łagodnym błękitnym niebie widnieje zarys chmury, zewsząd dociera piskliwy szczebiot jemiołuszek.

Gdy Sharon pisze listy, ja stoję z rękami w kieszeniach, spoglądając przez złote litery napisu na naszym oknie. Myślę o niej i o akcjach American Motors. Wczoraj ich kurs zamknięcia wyniósł trzydzieści dolarów i dwadzieścia centów.

O jedenastej pora się odezwać.

- Wychodzę. Mam do pokonania sześćdziesiąt mil przed lunchem.

- Dokąd się pan wybiera?

- Nad Zatokę.

Stukanie maszyny nie ustaje.

- Chciałabyś pojechać?

- Mhm - mruczy Sharon z roztargnieniem. Nie jest zaskoczona. - Tak się składa, że mam robotę.

- Już nie masz. Zamykam biuro.

- Akurat. - Wciąż nie okazuje zaskoczenia. Chciałem zobaczyć, jak zacznie się wyzbywać sekretarskiego sposobu bycia. Nie zaczyna. Stukanie rozbrzmiewa dalej.

- Wychodzę.

- Pozwoli mi pan to dokończyć czy nie?! — ruga mnie głośno. A więc tak to robi. Dąży do poufałości poprzez wybuchy gniewu. - Niech pan idzie.

- Mam iść?

- Zaraz przyjdę. Muszę do kogoś zadzwonić.

- Ja też. - Telefonuję do Kate. Odbiera Mercer. Moja kuzynka pojechała na lotnisko z ciotką Emily. On uważa, że młoda pani czuje się dobrze.

Sharon zerka na mnie swoim żółtym okiem.

- Czy panna Cutrer jest pańską krewną? - woła swoim nowym, gderliwym głosem.

- Kuzynką.

- Jedna dziewczyna twierdziła, że był pan jej mężem. Powiedziałam, że to wykluczone.

- Nie jestem niczym mężem.

- I tak powiedziałam!

Sharon pochyla głowę i pogrąża się w nagłym roztargnieniu.

- Czemu chciałaś wiedzieć, czy jestem żonaty?

- Powiem ci coś, chłopcze. Nie zadaję się z żonatymi mężczyznami.

Jeszcze nie doszła do punktu, w którym oczekiwałyby ode mnie troski - jak na randce. Wciąż w dużym stopniu panując nad swoim losem, zabiera się do porządkowania biurka. Gdy zarzuca na ramię swoją gwatemalską torbę i dziarsko rusza do drzwi, ja mam się wlec za nią. Teraz widzę, jak Sharon to rozumie: „Nie myśl, że będę czekała bezczynnie, aż powiesz, o co ci chodzi... Mówiłeś, że zamykasz biuro... Bardzo dobrze, ja wychodzę”.

Rzucam się przed nią, żeby otworzyć drzwi.

- Chcesz wrócić do domu i żebym przyjechał po ciebie za pół godziny? Włóż od razu strój kąpielowy.

- W porządku! - Ale wcale nie jest w porządku. Jej głos brzmi trochę zbyt radośnie.

- Ja tymczasem pójde po samochód i kąpielówki.

- W porządku. - Sharon okazuje jawną niechęć. Wcale nie jest w porządku! Zachowuje się identycznie jak Linda.

- Mam lepszy pomysł. Chodź ze mną po samochód, a potem zawiozę cię do twojego domu.

- W porządku. — Tym razem zabrzmiało to o wiele lepiej.

- Niech pan tu zaczeka. To mi nie zabierze dużo czasu.

Gdy wychodzi, jej oczy mają agresywny wyraz.

- Wszystko gra?

- Jak najbardziej. — Błyski w oczach. Oho! Jej chłopak zagroził zerwaniem.

- Mam nadzieję, że przywiozłaś z Eufali swój strój kąpielowy.

- Żartuje pan?

- Ależ nie.

- Ładny mi strój. Stary łach. Miałam sobie kupić w Maison Blanche, ale nie myślałam, że w marcu będę pływać.

- Lubisz pływać?

- Żarty pan sobie stroi?

- Nie.

- Wolę pływać niż jeść. Naprawdę. Dokąd jedziemy?

- Nad ocean.

- Ocean! Nie wiedziałam, że gdzieś tutaj jest jakiś ocean.

- To otwarta zatoka. Niczym się nie różni.

Gdy pomagam jej wsiąść do auta, Sharon zwraca się do wyimaginowanej trzeciej osoby:

- To się nazywa porządna obsługa. Twój szef nie tylko daje ci wolne, żebyś mogła popływać... ale jeszcze zawozi cię na plażę.

Na tych warunkach wyruszamy: ona, dziewczyna, która serdecznie pragnie popływać, i ja, jej wielkoduszny pracodawca, który jest na tyle miły, by zapewnić transport.

Wczesnym popołudniem pędzimy wzdłuż wybrzeża. Sprawy potoczyły się całkiem dobrze. Traf chciał, że ledwie przejechaliśmy przez Bay St Louis i dotarliśmy do drogi dojazdowej na plażę, mieliśmy wypadek. Na szczęścia to nic poważnego. Kiedy piszę „traf chciał”, mam na myśli szczęśliwy traf. Pewnie się jednak zastanawiacie, jak nawet drobny wypadek można uważać za szczęśliwy traf?

Można, bo dostarcza środków do przezwyciężenia złego samopoczucia, jeżeli ma się dość rozsądku, by go wykorzystać.

Czym jest ta niemoc? - zapytacie. Bolesnym poczuciem straty. Świat, świat i jego mieszkańcy, jest dla was stracony. Zostajemy tylko my oraz świat, i jesteśmy w stanie w nim egzystować nie bardziej niż duch Banka.

Uznacie oczywiście, że zabrać urodziwą kobietę i ruszyć na plażę pierwszego pięknego dnia w roku to prosta sprawa; można tylko zyskać, nie stracić. Twierdzą tak również gazetowi poeci. Cóż, rzecz nie jest taka prosta i jeżeli kiedykolwiek to zrobiliście, to zdajecie sobie z tego sprawę - chyba że, oczywiście, ta kobieta to akurat żona lub jakaś inna pospolita istota tak dobrze znana, że jest równie niewidoczna jak my sami. Tam, gdzie jest szansa na zysk, istnieje również ryzyko straty. Ilekroć zabiegamy o wielkie szczęście, tylekroć narażamy się również na złe samopoczucie.

Odkryłem, że bardzo ważny jest samochód. Gdy przeprowadziłem się do Gentilly, kupiłem nowego dodge'a, Red Ram Six. Był to wygodny, klasyczny i ekonomiczny dwudrzwiowy sedan, w sam raz - jak mi się wydawało - dla młodego biznesmena z Gentilly. Kiedy po raz pierwszy siadłem za jego kierownicą, wyglądało na to, że wszystko jest w porządku - oto ja, zdrowy młody człowiek, weteran z czystymi papierami, obywatel Stanów Zjednoczonych jadący bardzo dobrym autem.

Wszystko to było prawdą, a jednak podczas pierwszej podróży nad Zatokę z Marcia odkryłem ku swemu przerażeniu, że mój piękny nowy dodge to prawdziwa wylegarnia złego samopoczucia. Choć był dość wygodny, choć chodził jak zegarek, choć mknęliśmy w pełnym komforcie, z doskonałym widokiem na otaczającą nas scenę, niczym para Amerykanów w reklamie samochodów marki Dodge, złe samopoczucie szybko stało się obezwładniające. Oboje zastygliśmy w wyrazie lodowatej życzliwości. Policzki bolały nas od uśmiechu. Jedno oddałoby życie za drugie. W akcie rozpaczy wsunąłem dłoń pod sukienkę Marcii, ale nawet ten niewybredny gest został przyjęty z taką samą bojaźliwą uprzejmością. Miałem wielką ochotę zatrzymać samochód i tłuc głową w krawężnik. W dodatku mogliśmy robić cokolwiek, a tymczasem pędziliśmy naprzód niczym niewielki wir rozpaczy sunący przez świat jak oko cyklonu. Jak się okazało, powinienem był się jednak zatrzymać i tłuc głową w krawężnik, wróciliśmy bowiem do Nowego Orleanu pokonani przez to złe samopoczucie. Minęło wiele tygodni, zanim zaryzykowaliśmy ponowny wspólny wypad.

Właśnie dlatego nie potrzebuję samochodów i wolę jeździć autobusami lub tramwajami. Gdybym był chrześcijaninem, odbyłbym pieszą pielgrzymkę, jest to bowiem najlepszy sposób podróżowania, ale dziewczyny nie lubią chodzić pieszo. Jednak mój mały czerwony MG stanowi wyjątek od reguły. Właściwie to marny z niego pojazd, mający tylko jedną zaletę: jest odporny na złe samopoczucie. Nie macie pojęcia, jakiego szczęścia doświadczyliśmy z Marcia, gdy tylko znaleźliśmy się w tym jaskrawym żuczku mknącym szosą. Spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem: po złym samopoczuciu nie było śladu! Siedzieliśmy w gęstym letnim powietrzu między niebem a ziemią. Hałas był ogłuszający, wiatr wiał z siłą huraganu, a ziarna betonowej jezdni pędziły ku nam jak góry.

Mimo to w podróż z Sharon wyruszyłem z pewną obawą. A jeśli złe samopoczucie ustąpiło wtedy po prostu pod wpływem

uroku nowości MG? Tymczasem bowiem mój kabriolet przestał być nowością. A jeśli złe samopoczucie przybierało odmienną postać z każdą dziewczyną i za każdym razem wymagało innej recepty? Jedno nie ulegało wątpliwości. To był sprawdzian. Gra toczyła się o wysoką stawkę. Albo czekało nas wielkie szczęście, albo niewyobrażalnie złe samopoczucie. Marcia i Linda w niczym nie dorównywały tej czarodziejskiej istocie, temu wspnianemu elfowi z Eufali, który poruszał się jak baletnica, pracowitemu i uległemu, marzącemu w pracy, z przekrzywioną głową i szczupłymi policzkami pokrytymi meszkiem jak u chłopca. Gdy Sharon siedziała obok mnie w kubelkowym fotelu, mknąłem wzdłuż przepaści kryjącej najpotworniejszą niemoc, a przed sobą miałem najzielenszą z dolin. Dysponuję jednym wielkim atutem: jest nim jej chłopak, typ z Faubourg Marigny. Ten człowiek jest na tyle nierozsądny, by stawiać jej żądania, i nie jest jej potrzebny. Dzięki Ci, Boże, za tego makaroniarza.

Prawdę powiedziawszy, gdy przejeżdżamy przez płonące torfowiska Chef Menteur, wydaje mi się, że wyczuwam niemoc. Mały język ognia piekielnego liże nam obcasy i MG rwie do przodu, mknąc z rykiem silnika jak bombowiec przez porośnięte sosnami piaszczyste pustkowia i przez Bay St Louis. Sharon siedzi uśmiechnięta i milcząca, z powiekami przymkniętymi przed wiatrem, opierając kolana zgiętych nóg o deskę rozdzielczą.

- Daję słowo, że to najfajniejszy samochódzik, jaki widziałam! - krzyknęła przed chwilą.

Zgodnie z jakimiś znanymi jej nakazami dobrego wychowania, nasze spotkanie staje się randką dopiero wtedy, gdy Sharon wychodzi z domu, gdzie włożyła chłopięcą koszulę i czarne pumpy. Jej współlokatorka obserwuje nas z okna na piętrze.

- Pomachaj Joyce - nakazuje mi Sharon. Joyce, szatynka w skórzanej kurtce, opiera się o parapet. Ma lubieżną minę współlokatorek zostawianych na pastwę losu. Trzeba spojrzeć po raz trzeci. Joyce wychyla się z okna i wspaniałe młode pośladki ponad wszelką wątpliwość podnoszą się pod koźlą skórą kurtki. Ogarnia

mnie smutek. Gdybym tylko... Gdybym tylko co? Gdybym tylko mógł wyprawić Sharon w podróż, wejść na piętro i zobaczyć się z Joyce, całkowicie obcą mi osobą? Tak. Ale niezupełnie. Gdybym tylko mógł być z obiema, w domu pełnym takich dziewczyn, starym domu z umeblowanymi pokojami do wynajęcia pełnym dobrze zbudowanych młodych Amerykanek z ich zabawnie przekrzywionymi głowami i pięknymi dużymi tyłkami. Na ułamek sekundy przed odjazdem mógłbym przysiąc, że Joyce wie, o czym myślę, posyła mi bowiem roześmiane spojrzenie, a jej usta układają się w słowa: „Oho! Niegrzeczny chłopiec”. Sharon pakuje się do auta i wspiera się na mnie. Teraz już może mnie dotknąć.

- Skąd pochodzi Joyce?
- Z Illinois.
- Miła jest?
- Joyce to porządna babka.
- Sprawia takie wrażenie. Przyjaźnicie się?
- Żarty pan sobie stroi?
- Nie.
- Boże Świąty! Ależ obłądne prowadzimy rozmowy. Gdyby ktoś nas usłyszał, zawieźliby nas prosto do Tuscaloosy.
- O czym ty mówisz?
- O mnie i o panu.
- O mnie?
- No jasne.
- Co masz na myśli?
- Naprawdę chce pan wiedzieć?
- Tak.
- Cóż, jedno ci mogę powiedzieć, chłopcze.
- Co takiego?
- Na pewno nie dowiesz się tego ode mnie.
- Czemu?
- Bo to nie pański interes.

Wyjeżdżamy z Elysian Fields. Ciepła ręka Sharon spoczywa na mojej. Nagle dziewczyna zaczyna się zachowywać swobod-

nie, wiercąc się na fotelu, trącając mnie kolanem, biodrem lub łokciem. Jesteśmy na randce (przypomina mi trochę studentkę pielęgniarstwa, którą kiedyś znałem; nie jest już sztywna, lecz dość radosna i swawolna). MG rusza z kopyta spod znaków „stop” niczym żreback. Czuję się świetnie.

Tak, Sharon uległa magii tego małego samochodu: jesteśmy przyziemi jak robaki, a mimo to pędzimy z ogromną szybkością między niebem a ziemią. Napiera na nas ciężkie, wonne powietrze, przed nami wyłania się równy ciernisty żywopłot; mijamy go błyskawicznie i nagle od południa ukazuje się płaska i roziskrzona Zatoka.

Do wypadku dochodzi, gdy pędzimy poniżej Pass Christian. Tuż przed nami zmierzający na zachód zielony ford zaczyna zawracać. Jego kierowca myśli, że droga jest pusta, powoli wyjeżdża na jezdnię i uderza prosto w środek karoserii mojego auta. Niezbyt mocno - rozlega się głuchy metaliczny huk, MG czmycha jak spłoszony wół, wpada na pas rozdzielający jezdnie, przechyla się, wjechałszy jednym kołem do otworu ściekowego, i zatrzymuje się z sykiem. Czuję ból w kontuzjowanym barku. Chyba na kilka minut tracę przytomność, ale wcześniej dostrzegam, że Sharon nic się nie stało, i widzę ludzi, którzy spowodowali wypadek. Stare małżeństwo, tablice rejestracyjne z Ohio. Dają słowo, że omal ich nie rozpoznałem. W motelach widziałem ich całe setki. On jest stary, szczupły i sprawny, ma indyczą szyję i czapkę bejsbolową; ona jest osobą bez wyrazu. Jadą na Florydę. Gdy przelatujemy nad trawą, on posyła mi jedno jedyne wystraszone spojrzenie, zwraca się do żony o pomoc, waha się i rzuca do ucieczki. Odjeżdża pochylony nad kierownicą jak dżokej.

Sharon unosi się nade mną. Dotyka mojej brody, jakby chciała przyciągnąć moją uwagę.

- Jack?

Ból w barku był wprost niewyobrażalny, ale już zelżał.

—Skąd wiesz, że mam na imię Jack?

—Pan Daigle i pan Herbert tak cię nazywają.

- Jesteś cała i zdrowa?
- Chyba tak.
- Masz wystraszoną minę.
- Przecież ten szalowiec mógł nas zabić.

Kierowcy przejeżdżających samochodów zwalniają, żeby napawać oczy naszym widokiem. Jakiś Murzyn, zraszający wodą stromy trawnik u stóp letniego domku, odkłada węża ogrodowego i gapi się na nas. Dzięki niefortunnej kolizji staliśmy się przedmiotem zainteresowania i jej świadkowie spoglądają na nas spod przymkniętych powiek z niemal uwodzicielskimi minami. Mijają nas jednak prawie natychmiast i jadący za nimi nie widzą już nic niezwykłego. Murzyn podnosi szlauch. Powracamy do anonimowości przestrzeni naszego małego auta.

Miłość jest niezwykła. To prawda, ból na chwilę odebrał mi wszelką zdolność myślenia, nawet o miłości, ale tylko na chwilę. Miłość - uroczy pionek w uroczej grze - już zaczęła działać i niesie w potrzebie cenną pomoc.

- A co z tobą? - pyta Sharon, przybliżając się. - Strasznie pobladłeś, kochanie.

- Walnął mnie w bark.

- Niech zobaczę. - Dziewczyna odzyskuje przytomność umysłu i pomaga mi ściągnąć koszulę, ale ta jest zbyt obcisła, a ja nie potrafię unieść ręki. - Poczekaj. — Szuka swojej gwałtemalskiej torby, znajduje w niej nożyczki do skórek i rozcina rękaw aż po szyję. Czuję, jak nagle nieruchomieje.

- To nie jest...

- Nie jest co?

- Skutek tego wypadku.

- Oczywiście.

- Masz chusteczkę? - Zbiega na plażę, by namoczyć ją w słonej wodzie. Wróciwszy, mówi: — A teraz znajdziemy lepiej jakiegoś lekarza.

Przestrzelono mi ramię - całkiem spora rana, równie poważna jak rany Roryego Calhouna lub Tonyego Curtisa. Osta-

tecznie, mogłem dostać w tyłek lub genitalia - albo w nos. Całkiem spora rana, tyle że odłamek drasnął wierzchołek opłucnej i przez to miałem również zapadnięte płuco i wielki ropniak. Nie doszło jednak do żadnych trwałych uszkodzeń, jeśli nie liczyć strasznie wyglądającej blizny w zagłębieniu szyi i wrażliwości stawu na zmiany pogodowe.

- No, chłopcze, skąd to masz?

Zimna woda spływa z chusteczki po moim boku.

- Tamten ford.

- Przecież to straszne!

- Nie widzisz, że to blizna?

- Skąd ją masz?

- Omsknęła mi się brzytwa.

- Daj spokój!

- Znad rzeki Chongchon.

- Z wojny?

- Tak.

- Och.

Och, Tony. Och, Rory. Wy nigdy nie byliście tak dobrze ustawieni. Nawet ty, Billu Holdenie, mój szlachetny Williamie. Na wszystkie gwiazdy poranne! Żegnaj na zawsze, złe samopoczucie. Żegnajcie, zielony fordzie i emeryci z Ohio, powodzenia. Żyćcie sobie w Tampie długo i szczęśliwie.

Znam jednak gości, którym byłoby przykro z powodu tego wydarzenia, którzy myśleliby jedynie o swoim cholernym MG. Błogosławione MG.

Jestem w stanie wydostać się z jękiem z auta i siadamy na trawiastej skarpie. W głowie mi się kręci. Ten sukinsyn naprawdę nadwerżył mój bark. MG jest w nienajgorszym stanie: ma tylko wgięte drzwi.

- Trafił dokładnie na wysokości twojego fotela — mówi Sharon, trzymając chusteczkę na moim barku. - I ten stary drań nawet się nie zatrzymał. - Przykucnęła w swoich czarnych spodniach jak pięcioletnia dziewczynka i zerka na mnie.

- Kurczę...! Nie bolało?
- Najgorsza była infekcja.
- Powiem ci jedno, psiakrew.
- Co takiego?
- Na pewno nie chciałabym, żeby ktoś do mnie strzelał.
- Masz w torbie aspirynę?
- Zaczekaj.

Kiedy wraca, daje mi tabletkę i trzyma oburącz mój pokiereszowany bark, jakby aspiryna miała sprawić mi ból.

- A teraz zjrzyj za fotel i przynieś mi whisky.

Sharon wlewa wielką porcję do papierowego kubka, który także wyciągnęła z gwatemalskiej torby. Podaje jej butelkę.

- Słowo honoru, że chyba sobie chlapnę - mówi. Pije, prawie się nie krzywiąc, z dłonią przyciśniętą do piersi. Stopniowo, z jej pomocą, wkładam koszulę.

Ale MG! Myślmy o kabriolecie w tej samej chwili. A jeśli wstrząs był zbyt silny? Samochód zapala jednak od razu, z rykiem silnika rzucając wyzwanie zielonemu fordowi.

Zapominam zabrać ze sobą whisky i gdy wysiadam po nią z auta, omal się nie przewracam. Sharon chwyta mnie w samą porę, Rory. Obejmują ją obiema rękami.

- No, chłopcze, wesprzyj się na mnie.
- Dobrze. Jesteś chyba najśłodszą dziewczyną, jaką poznałem.
- To nieważne. Chodź tu, bracie.
- Idę. Dokąd idziemy?
- Siądź tutaj.
- Umiesz prowadzić?
- Tylko mi powiedz, dokąd mam jechać.
- Kupimy piwo, a potem pojedziemy na Ship Island.
- Tym samochodem?
- Promem.
- Gdzie to jest?
- Tam. — Za wodami cieśniny rozciąga się długa sina smuga sosen.

Przejażdżka promem nie spełnia moich oczekiwań. Liczyłem, że o tej porze roku prom będzie pusty, że będziemy mogli rozłożyć się w słońcu na pokładzie. Tymczasem zaś płyniemy stłoczeni jak sardynki. Siedzimy sztywno na ławce w jedynej małej kabini pasażerskiej, w otoczeniu co najmniej setki dzieci. Okazuje się, że to uczestnicy czterotygodniowej wycieczki z Leake County w Missisipi. Opiekę nad nimi sprawuje kilkanaścioro mężczyzn i kobiet, którzy wyglądem przypominają diakonów i diakonisy Kościoła baptystów: czerwonoskórzy, z rzadko rozstawionymi zębami, życzliwi - porządni z nich ludzie. Siedzimy przesyleni wonią prowincjonalnego Missisipi, zapachem ciepłej białej skóry pod wypraną we wrzącej wodzie bawełnianą bielizną. Jakże białe, białe jak mleko, są te dzieci farmerów. Ani śladu słońca na ich skórze, cienia opalenizny na karkach; nie są blade, lecz białe, wspaniałą wilgotną bielą skóry ukrytej pod ubraniem.

Wyływamy niczym imigranci w luku towarowym, prom dysząc pruje płytkie mętne wody cieśniny Missisipi.

Jedyną inną parą na pokładzie są lotnik z Keesler Field i jego dziewczyna. Piękne jedwabiste włosy mężczyzny są przystrzyżone krótko jak futro gronostaja, lecz podciągnięta górna warga odsłania dwa wiewiórcze zęby i nadaje jego twarzy głupi wyraz. Dziewczyna jest pulchna, mała i barczysta; ma piętnaście lub szesnaście lat - ona także mogłaby pochodzić z Leake County. Siedzą, wprawdzie trzymając się za ręce, ale równie dobrze mogliby być nieznajomymi. Każde z nich rozgląda się po kabini pasażerskiej, jakby byli sami. Wiadomo, że tak samo będą tańczyć i kochać się ze sobą, nie troszcząc się tak naprawdę o siebie, lecz przypatrując się z umiarkowanym, niewzruszonym zadziwieniem otaczającemu ich światu. Ich też na pewno widziałem już przedtem, w zoo lub Marinelandzie - jego, jak wpatrywał się w zwierzęta bądź ryby, zwracając uwagę na wszystkie stworzenia z takim samym ospałym i niedbałym zdumieniem; ja, jak omiatała wszystko nieprzytomnym wzrokiem, ale też się nie

nudziła, cierpliwa i bezpieczna świadomością jego zaabsorbowania.

Przybijamy do brzegu koło fortu, rozpadającego się mурowanego silosu, pozostałości wojny secesyjnej, zaśmieconego przez lata masą żółtych pudełek po filmach Kodaka, odcinków biletów i kapsli od butelek. To „historyczne miejsce”, obmywane przez płytkie słonawe wody cieśniny Missisipi, jest kwintesencją posepności. Smętne resztki minionych lat gromadzą się niczym pokłady archeologiczne. Ubiegłego lata podniosłem żółty strzęp gazety i przeczytałem o wyborach w Biloxi w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Powiało z niej wonią dziejów wyraźniej niż z metalowej płyty pamiątkowej informującej o Francuzach i Hiszpanach sprzed dwustu lat oraz o Jankesach sprzed lat stu. Tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy. Jakże odległa epoka.

Chodnik z drewnianych bali prowadzi przez wypełnione błotem doły i słone moczary do starego pawilonu tanecznego. Przechodząc, widzimy lotnika i jego dziewczynę, jak stoją zdeprymowani przy kontuarze i piją RC colę. Biegący za pawilonem strumień przejrzystej wody, w którym pływają kraby niebieskie i turbany, tworzy bruzdę na piaszczystej powierzchni porośniętego jamajską trawą wzniesienia. Za pagórkem rozciąga się otwarte morze. Różnica jest ogromna: najpierw ta licha marta woda, a potem wielki błękitny ocean. Plaża jest czysta, właśnie nadciąga duża fala przyboju; woda na dalszym planie jest zielona i spieniona. Mijasz pagórek i serce ci rośnie; dawna smutna muzyka przechodzi w tonację durową.

Znajdujemy zagłębienie w dnie strumienia, zatapiamy puszkę z piwem i idziemy piaszczystą plażą do kępy trawy z dala od dzieci. Sharon jest już w wodzie, koszulę i spodnie zostawiła na piasku jak szmaty. Brodzi w morzu przede mną, obracając się wokół własnej osi i odgarniając wodę zamaszystymi ruchami rąk. Od czasu do czasu unosi je do głowy, jakby wkładała koronę, i palcami zaczesuje do tyłu włosy. Zielona woda pieni się

u jej kolan, po czym skłębiona opada do kostek i odpływa, porywając ze sobą piasek. Sharon idzie dalej, odwracając się powoli i odgarniając lgnącą do ud wodę przed sobą. Jakże jest piękna. Piękna, odważna i radosna jak skowronek. Smutek wywołany jej pięknem chwyta mnie za gardło. To wystarczy, cholera, by oczy zaszkliły się łzami. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Sharon uśmiecha się do mnie.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - pyta, przekrzywiając głowę.
- Jak?
- Co ci się stało?
- Nie wiem.
- Chodź, chłopcze. Poczęstuję cię piwem.

Jej kostium kąpielowy jest uszyty z czarnego błyszczącego materiału jak kostiumy sportowe i nie ma spódniczki. Sharon wychodzi na brzeg jak spaniel, trzepiąc głową tak, że jej mokre włosy skręcają się w loki, i pochylona ściera wodę z nóg. Stoi teraz zamyślona na plaży, ze sztywno wyprostowaną nogą, przekrzywioną miednicą, kciuk i palec wskazujący wsparte lekko, jak u sportowca, na biodrze. Gdy słona woda wysycha i zaczyna piec, Sharon przytomnieje, przesuując palcami po skórze na ramieniu i plecach.

Dzieci z wycieczki zostały rozdzielone na dwie grupki: męską i żeńską. Brodzą w morzu — najwyraźniej nie umieją pływać - w nierównych czworobokach, prowadzone przez diakonów z gwizdkami na szyjach, odzianych w czarne kostiumy kąpielowe z płytko wyciętymi pachami. Diakonisy przyglądają się temu z altanek, których łatanie, przy użyciu jamajskiej trawy zerwanej z wydmy, zajęte są pozostałe dzieci.

Znowu pływamy, wracamy do swojej kępy i pijemy piwo. Sharon kładzie się na plecach i zamyka z westchnieniem oczy.

- To rzeczywiście lepsze od pisania na maszynie.

Jej ręka opada na moje ramię. Sharon klepie mnie po nim serdecznie i układa się wygodnie na piasku, jakby zamierzała uciąć sobie drzemkę. Ale jej oczy błyszczą między powiekami

i pochylam się, żeby ją pocałować. Wybucha śmiechem i oddaje mi pocałunek z życzliwą namiętnością. Obejmujemy się.

- Wolniej, chłopcze - mówi ze śmiechem.
- O co chodzi?
- Tutaj, na oczach Boga i przy ludziach?
- Przepraszam.
- Przepraszam! Chodź tu!
- Jestem.

Sharon robi gest wskazujący zarówno na jej życzliwość, jak i na granicę, którą wyznacza tej życzliwości. Przez godzinę pływamy i pijemy piwo. Raz, gdy wstaje, kłękam i obejmuję jej złociste uda, kuszące swoim pięknem.

- Co ty wyprawiasz, chłopcze?
- Kochanie, czekałem trzy tygodnie, żeby cię tak złapać.
- Cóż, skoro już to zrobiłeś, to chyba teraz możesz mnie puścić.

- Kochana, nigdy cię nie puszczę. - Matko wszystkich istot żywych, jakież to wspaniałe uczucie!

- No dobra, chłopcze...
- Słucham?
- Możesz mnie puścić.
- Nie.
- Słuchaj, kolego. Jestem tak samo mocna jak ty.
- Nie jesteś.
- Może nie dorównuję ci wzrostem...
- Jesteś tutaj.
- ...ale siłą tak.
- Niezupełnie.
- No to uważaj.

Zaciska pięść w kułak jak mężczyzna i uderza mnie mocno w rękę.

- To boli.
- To przestań igrać ze mną.
- W porządku. Nie będę.

- Uderz mnie.
- Słucham?
- Słyszałeś, co mówię. Uderz mnie. - Sharon przyjmuje gardę, mocno przyciskając łokcie do tułowia. — No, chłopcze.
- O czym ty mówisz? Nie mam zamiaru cię bić.
- No uderz. Ja nie żartuję. Nie możesz sprawić mi bólu.
- Dobra.

Uderzam.

- Niee. Nie chodzi mi o bicie na żarty. Uderz mnie naprawdę.

- Mówisz serio?
- Przysięgam przed Bogiem.

Uderzam dostatecznie mocno, by zwalić ją z nóg.

- No, no. - Podnosi się szybko. - To nie bolało. Mam wielką ochotę przywalić ci prosto w szczękę, ośle jeden.

- W to wierzę — odpowiadam ze śmiechem. - A teraz chodź do mnie.

- Po co? No dobra! — Znowu unosi pięść. - Co ty wyprawiasz?

- Chcę tylko powiedzieć ci, o czym myślę.

- O czym?

- O tobie. O tobie i twoich słodkich ustach. Kochanie, przysięgam przed Bogiem, że potrafię myśleć tylko o tym, żeby cię objąć i całować twoje słodkie usta.

- O rany.

- Jest ci to obojętne?

- Całkowicie.

Trzymam w ramionach wiosnę, jej bogactwo i wyjaławiający smutek.

- Powiem ci coś jeszcze.

- Co?

- Kochanie, nie mogę wyrzucić cię ze swoich myśli. Odkąd weszłaś do mojego biura w tej żółtej sukience. Szaleję za tobą, a ty o tym wiesz, nieprawdaż?

- O rany.
- Odchylani się do tyłu, żeby widzieć twarz Sharon i wziąć ją za rękę.
- Nie mogę przez to spać.
- Przysięgasz?
- Przysięgam.
- Zarobiliśmy trochę forsy, co?
- No pewnie. Nie chcesz trochę? Dam ci pięć tysięcy.
- Nie chcę żadnych pieniędzy.
- Przejdźmy się plażą daleko stąd.
- Po co?
- Żeby nas nie widzieli.
- Co z tego, że nas widzą?
- Mnie to nie przeszkadza.
- Wolnego, chłopcze.
- Jesteś moim skarbem. Nie obchodzi cię, czy cię Kocham?
- Wcale. Ale nie uwiedziesz mnie, trzęsąc się jak galareta.
- Jak galareta!
- Nie. Zostaniemy tutaj, blisko tych ludzi, a ty będziesz grzeczny.
- W porządku. - Splatam dłonie nad jej pośladkami. - Powiem ci coś jeszcze.
- Oho. - Sharon cofa się, żeby widzieć moją twarz, roześmiana i trochę zażenowana naszą bliskością. — No dobra.
- Przykro mi, że dla mnie pracujesz.
- Przykro ci! Słuchaj, chłopcze, wykonuję swój zawód.
- Nie chciałbym, żebyś myślała, że cię wykorzystuję.
- Nikt mnie nie wykorzystuje - mówi obrażona.
- Śmieję się z niej.
- Chodzi mi o nasze stosunki służbowe. - Siadamy i pijemy piwo. - Muszę ci coś wyznać. Planowałem to przez cały tydzień.
- Co planowałeś?
- Ten piknik.

- Akurat!
- Nie żartuj sobie. Wiedziałaś o tym.
- Przysięgam, że nie.
- Martwi mnie jednak strona służbowa...
- Nie trzeba mieszać interesów z przyjemnością.
- Cóż, chciałem jedynie, żebyś wiedziała, że gdy działałem odruchowo...

- Ja zawsze działałem odruchowo. Wierzę, że warto mówić to, co się myśli, i myśleć to, co się mówi.

-Widzę.

- Zapytaj Joyce, co o tobie powiedziała.

- Joyce?

- Moją współlokatorkę.

- Co powiedziałaś?

- Po prostu ją zapytaj.

Rozglądam się po plaży.

- Nie widzę jej tu.

- Nie teraz, ośle jeden.

Pływamy i kładziemy się obok siebie. Narzuca mi się niezwykle odkrycie, że nie kocham Sharon tak szalenie, jak kochałem ubiegłej nocy. Ale przynajmniej zniknęło złe samopoczucie i leżymy objęci, drzemiąc w słońcu, dopóki nie rozlega się syrena promu.

Jednakże miłość ożywa, gdy wczesnym wieczorem pędzimy do domu wzdłuż wybrzeża. Teraz wiem, że radość i smutek napływają na przemian. Uroda i waleczność — uroda Sharon i waleczność mojej ciotki — przyprawiają o smutek, a zwycięstwo łamie serce. Życie posuwa się jednak naprzód, posuwamy się i my, mknąc wzdłuż wybrzeża w fioletowym świetle, zostawiając za sobą restaurację Howarda Johnsona, motele i wesole miasteczko. Wjeżdżamy na przydrożny parking i gasimy pragnienie pod rozgwieżdżonym niebem. Nieźle jest zadowolić się Małą Drogą, nie wielkimi poszukiwaniami wielkiego szczęścia, lecz smutnym małym szczęściem drinków i pocałunków, porządnym małym samochodem i ciepłym długim udem.

- Moja matka urządziła sobie obóz wędkarski w Bayou des Allemands. Chciałabyś się tam zatrzymać?

Sharon kiwa głową wtuloną w moją pierś. Zrobiła się czuła i od czasu do czasu przykładła dłoń do mojego policzka.

Na zachód od Pearl River żwirowa droga odbija od szosy i wije się na południe przez bagna. Nagle trafiamy na odludną sawannę i zostawiamy za sobą inne samochody. Sharon wciąż tuli głowę do mojej piersi.

Przekrzywiony żółty księżyc rzuca słabe światło na sawannę. Odległe pagórki mającą ponuro niczym flotylla statków. Niezdarnie podchodzimy do nich i po chodniku z desek wkraczamy w głąb bagien. Sharon trzyma się blisko mnie, jakby dzięki temu mogła nie oglądać mojej twarzy.

Nie wierzę własnym oczom. Trudno to zrozumieć. Obchodzimy jeden pagórek i ukazuje się obóz, rozświetlony jak Titanic. Smithowie są w domu.

2

Moi przyrodni bracia i siostry jedzą kraby przy stole zrobionym z kozłów do piłowania drzewa na osłoniętej siatkami werandzie. Szkielety skorupiaków piętrzą się pod nieosłoniętą żarówką.

Mrugają do mnie i do siebie. Nagle czują potrzebę kontaktu z kimś dorosłym, kto musi zaświadczyć, że oczy ich nie mylą. Wszyscy co do jednego nerwowo wypatrują swojej matki. Therese biegnie do drzwi kuchni.

— Mamo! Jack przyjechał! - Wstrzymuje oddech i obserwuje twarz rodzicielki. Jest usatysfakcjonowana. — Tak, Jack!

- Jean-Paul zjadł płuca. - Mathilde unosi wzrok wprost spod mojej brody.

Mój przyrodni brat Jean-Paul jest dużym, grubym, żółtym niemowlakiem, usadzonym jak Budda w dziecięcym foteliku,

z buzią usmarowaną pastą z krabów, i wymachującym szkarłatnymi kleszczami. Bliźniaki gapią się na nas z wybałuszonymi oczami, ale nie przerywają jedzenia.

Lonnie wpadł w ekscytację na swoim wózku inwalidzkim. Zaciska dłoń. Całuję go w pierwszej kolejności i chłopak uśmiecha się, przekrzywiając głowę pod wpływem radosnej emocji przeciągłym drżącym ruchem. Lonnie ma czternaście lat i jest nad wiek mały, mniejszy od Clare i Donice, dziesięcioletnich bliźniąt. Odkąd jednak Duval, najstarszy syn matki, utopił się ubiegłego lata, Lonnie jest „dużym chłopcem”. Jego ciemnorude włosy są prawie zawsze uczesane na mokro, a twarz ładna i niewinna, gdy tylko nie wykrzywia jej grymas. Prawdę mówiąc, jego lubię najbardziej. Podobnie jak ja, Lonnie jest kinomanem. Do kina pójdzie na wszystko. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, ponieważ wie, że mu nie współczuję. Po pierwsze, Lonnie posiada dar wiary, że może ofiarować swoje cierpienia w akcie zadośćuczynienia za ludzką obojętność na mękę Jezusa Chrystusa. Po drugie, nie miałbym prawie nic przeciwko temu, by zamienić się z nim miejscami. Jego życie to pogodna historia.

Moja matka wyciera ręce ścierką do naczyń.

- No, no; patrzcie, kto przyjechał - mówi, ale sama nie patrzy na mnie.

Wytarłszy ręce do sucha, energicznie masuje dłonią nos. Cierpi na katar sienny, a kraby pogarszają jej stan. Zbyt dobrze znam ten dźwięk, te gwałtowne ruchy w górę i w dół oraz przypominające wyzymanie odgłosy pod jej palcami, by trzeba było mi go przypominać.

Całujemy się, a raczej przyciskamy do siebie policzki, a matka obejmuje moją głowę przegubem dłoni, jakby wciąż miała mokre ręce. Czasem czuję do niej synowską miłość lub coś na jej kształt i staram się powitać ją w szczególnie sposób, ale wówczas matka unika mojego wzroku, nadstawia policzek i prosi, bym zwrócił uwagę na to u Mathilde lub na tamto u Therese.

- Mamo, poznaj Sharon Kincaid.

- No proszę! - woła matka, odwracając się i stając pośród dzieci, nie dlatego, że ma coś przeciwko Sharon, ale dlatego, że w roli gospodyni czuje się zagrożona. „Nie ma tu nikogo oprócz nas, dzieci” - mówi w ten sposób.

Sharon jest w znakomitym humorze, robi okrągłe oczy i śmieje się tak zaraźliwie, że się zastanawiam, czy aby nie śmieje się ze mnie. W stosunku do dzieci od początku zachowuje się naturalnie. Pamiętam, że Linda była zdenerwowana, przestępowała z nogi na nogę i patrzyła nad ich głowami, z twarzą stężałą jak galareta. Marcia za bardzo im nadskakiwała, kucając i obejmując rękami kolana niczym Joan Fontaine składająca wizytę w sierocińcu.

Matka nie pyta, skąd się tu wziąłem, ani nie daje po sobie poznać, że moje pojawienie się jest pod jakimkolwiek względem niezwykłe - choć nie widzieliśmy się przez sześć miesięcy.

- Tessie, opowiedz Jackowi o waszej wycieczce klasowej autobusem — rzuca i ucieka do kuchni. Po pewnym czasie jej domatorstwo zacznie działać mi na nerwy. Wiedzona niezawodnym instynktem, trzyma się z dala od wszystkiego, co wyjątkowe bądź „pobudzające”. Każde zdarzenie czy pomysł, który nie mieści się w domowym regulaminie, natychmiast naznacza własnym piętnem swojskości. Gdy będąc jeszcze studentem, ekscytowałem się kampanią Jacksona lub Freudowskimi *Marzeniami sennymi*, nie miała w zwyczaju mi się sprzeciwiać. Aprobowała to jako rodzaj dziwactwa jednego z cudownych Roverboys: „To? Och, to są książki Jacka. Stosy książek, które ten chłopiec znosi do domu! Jack, znasz całą treść tych książek?”. „Nie, mamo”. Mimo to stałem się Dickiem Roverem, tym po ważnym z braci Roverów.

Dobrze jest zobaczyć rodzinę Smithów na ich obozie wędkarskim. Ale nie w ich domu w Biloxi. Wystarczy pięć minut w tym wąskim starym budynku i pospolitość przenika mnie na wskroś. Sztuczne polana w gazowym kominku biją po oczach,

zasłony przesiąkły wonią dwóch tysięcy niedzielnych kolacji, głosy odbijają się echem od pustej klatki schodowej, Jezus na ponurym obrazie wiszącym nad wyszczerbionym gzymsem kominka wskazuje na swoje Najświętsze Serce. Wszystko jest białe i odrapane. Pył z wytartych podłóg drażni nozdrza jak w szkolnej klasie. Lecz tutaj, na Bayou des Allemands, wszyscy czują różnicę. Woda pluska o pale. W rozszczepionych deskach drzemią ukryte wspomnienia zimy, długich sennych nocy i dni, gdy nikt nie przyjeżdżał, ryby wyskakiwały z czarnej wody, a na całej sawannie nie było żywego ducha; tajemnice, które dzieci muszą odkrywać, więc po kolacji wracają do swoich poszukiwań, biegając razem z kąta w kąt. Donice pokazuje mi pułapkę na piżmoszczury, którą zastawił w sierpniu ubiegłego roku i teraz, cud nad cuda, odnalazł. Przyjechali dopiero tego rana, wyjaśnia matka, to był taki piękny dzień, a ponieważ dzieci mają w poniedziałek ferie, zostaną na cały Mardi Gras, jeśli utrzyma się pogoda. Gdy nie ma Roya, matka jest członkiem tego gangu. Spędza dziesięć minut w kuchni, pracując z kocią zręcznością, a następnie poza domem z dziećmi, wędrującymi tam i z powrotem w beztroskiej urozmaiconej zabawie, zaś jej oczy rozjaśniają się w całym, zarażanym ich beztroską wyrazie.

Therese opowiada o swoich planach napisania do miejscowego kongresmana w sprawie ustawy o rzekach i portach. Therese i Mathilde przypominają Joan i Jane z podręcznika do wiedzy o społeczeństwie.

- Niezły numer z tej Tessie, co? - woła matka, znikając w kuchni. Daje tym do zrozumienia, że moja siostra jest bystra, ale w jej przedwczesnym rozwoju jest coś zabawnego.

- Gdzie jest Roy? Nie widzieliśmy samochodu i omal nie zawróciliśmy.

- Gra w pokera! - wykrzykują wszyscy w odpowiedzi. Brzmi to zabawnie i rozlega się chóralny śmiech. Lonnie zaciska dłoń. Jeżeli nasz przyjazd wywołał jakieś zawirowanie, to silny nurt rodzinnego życia szybko wynosi nas na spokojne wody.

- Masz jeszcze jakieś kraby, mamó?

- Czy jeszcze mam jakieś! Zapytaj Lonniego, czy nie zastanawialiśmy się właśnie, co począć z resztą. Nie jedliście kolacji?

- Nie.

Matka mocnymi białymi rękami składa grubą warstwę gazet rozłożonych pod szkieletami skorupiaków, robiąc z nich kształtną paczkę. Cały bałagan znika bez śladu z suchego i czystego stołu. Therese rozkłada świeżą gazetę, a Mathilde przynosi dwie butelki zimnego piwa i dwie puste do miazdzenia szczypiec. I teraz mamy przed sobą tace z dwiema małymi armiami szkarłatnych krabów maszerującymi w równych szeregach. Sharon ma dziwną minę, ale zabiera się do jedzenia i wkrótce wszyscy się z niej naigrawają. Mathilde pokazuje jej, jak oderwać pancierz brzuszny i złamać róg przy wielkich szczypcach, tak aby śnieżnobiałe mięso wyskoczyło na wierzch. Sharon udaje zdumioną i bliźniaki natychmiast muszą jej pokazać, jak wysysać je ze szczypiec.

Nad wodą zalega szczególnie gęsta czerń nocy. Insekty rzucają się na szczelną nową siatkę i odbijają się od niej z gitarowym brzękiem. Dzieci stają blisko, wyczuwając misterium bagien i tajemniczość stożka światła żarówki na naszej werandzie. Clairain przywiera brzuchem do poręczy mojego krzesła. Lonnie próbuje dostroić radio tranzystorowe; trzyma je skrzyconą dłonią na nadgarstku drugiej ręki. W pewnym momencie dolna warga opada mu w dzikim grymasie. Wytrąca to Sharon z równowagi. Wydaje się jej, że zaraz nastąpi kryzys, że Lonnie w końcu osiągnął kres swojej wytrzymałości. Gdy nikt nie zwraca na niego uwagi, ona traci cierpliwość - czemu nikt mu nie pomaga? - i wtedy, gdy mija cała wieczność, Mathilde nachyla się niedbale i nastawia odbiornik, głośno i wyraźnie, na jakąś stację. Lonnie odwraca głowę, wijąc się na wózku, nie dość jednak, żeby zobaczyć siostrę.

Zwracam uwagę, że chłopak jest wystrojony. Jak się okazuje, ciotka Ethel, siostra Roya, miała zawieźć go razem z dziew-

czętami do kina. Matka przypomina mu, że nie umawiali się na sto procent, ale Lonnie ma zawiedzioną minę.

- Co to za film? - pytam go.

- *Fort Dobbs*. — Mówi jęklwym głosem, ale nietrudno go zrozumieć.

- Gdzie?

- W „Moonlite”.

- Chodźmy.

Głowa Lonniego kiwa się i opada do tyłu jak u nieboszczyka.

- Mówię poważnie. Chcę go obejrzeć.

Chłopak wierzy mi na słowo.

W kuchni przypieram matkę do muru.

- Co się dzieje z Lonniem?

- Nic.

- Wygląda okropnie.

- Ten chłopak nie chce pić mleka! - woła moja matka.

- Znowu miał zapalenie płuc?

- Miał pięciodniową infekcję. Bardzo, ale to bardzo silną.

Słyszałeś, by ktoś mający infekcję otrzymał ostatnie namaszczenie?

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Śmierć mu nie groziła. Ostatnie namaszczenie to był jego pomysł. Powiedział, że to go wzmocni zarówno fizycznie, jak i duchowo. Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

- Tak. Ale teraz jest zdrowy?

Matka wzrusza ramionami. O takich sprawach mówi w lekki, aluzjny sposób, ani z wiarą, ani z niedowierzaniem, ale z nutą ogólnej otwartości na ludową tradycję.

- Doktor Murtag powiedział, że jeszcze nigdy czegoś takie go nie widział. Lonnie po półgodzinie wstał z łóżka.

Czasami, gdy matka wspomina Boga, wydaje mi się, że wykorzystuje go po prostu jako jeden z instrumentów, które są

pod ręką w oburzającym męskim świecie, żeby użyć go jak całej reszty w jedynym sensownym projekcie: umiejętnym radzeniu sobie z życiowymi wstrząsami. To targ, dobity na samym początku, w którym zadowolili się ogólnym bagatelizowaniem wszystkiego, dobrego i złego. Nie ufa szczęściu, tak samo jak zamyka się przed nieszczęściem, i czasem chyba dostrzegam to, ową skrajną nieufność: przebłysk mądrości, równie dawnej i równie przebiegłej jak biblijna Ewa. Utrata Duwała, jej ulubieńca, utwierdziła matkę w wyborze tego, co zwyczajne. Koniec z zaspokajaniem pragnień, wystarczy. Po śmierci syna chce wszystkiego, co potoczne i łatwe, nawet Boga.

— A wiesz, co on teraz chce robić? Pościć podczas Wielkiego Postu. - Mruży oczy. Oznaka oburzenia. - Waży trzydzieści sześć kilo, jest już jedną nogą w grobie i chce jeszcze pościć. — Matka przedstawia to jako złośliwy żart o Lonniem i Bogu. Przez chwilę sama jest dawną Ewą.

Fort Dobbs to dobry film. Samo kino samochodowe „Moonlite” jest świetne. Nie wydaje się zbyt popularne i przypomina odludną krainę sosen za Niziną Zatokową. Komary unoszą się w świetle projektora, a ekran lśni w wonnym, ciężkim powietrzu. Ale w filmie znajdujemy się na pustyni. Pod czarnym niebem jedzie konno samotny Clint Walker. Jest typem samotnika i wędrowca. Lonnie jest bardzo szczęśliwy. Therese i Mathilde, które siedziały okrakiem na oparciach foteli, przenoszą się na ławkę pod projektorem i jedzą leguminę z jabłek w ryżu. Lonnie lubi siadać na masce silnika, oparty o szybę, i patrzeć na mnie, gdy nadchodzi scena, którą obaj lubimy. Sharon też jest szczęśliwa. Uważa, że jestem miłym gościem, skoro zabieram Lonniego do kina. Myśli, że jestem bezinteresowny. Na Boga, ona jest dokładnie taka jak dziewczyny w filmach, które nie oddadzą ci się, dopóki nie dowiedziesz, jakim jesteś miłym, bezinteresownym człowiekiem, miłośnikiem dzieci i psów. Trzyma teraz moją dłoń na swoim kolanie i ściska ją od czasu do czasu.

Clint Walker jedzie konno przez dzikie pustkowia, wjeżdża na nasyp i się zatrzymuje. Zsiada z konia, kuca, ssie kawałek jadłoszywny i przygląda się terenowi poniżej. W kanionie przycupnęło kilka wałujących się budynków. O nim samym nie wiemy nic; nie wiemy, skąd przybywa ani dokąd zmierza.

Udany wieczór: szczęśliwy Lonnie (spogląda na mnie z głębokim poczuciem łączącej nas tajemnicy; polega ona na tym, że Sharon nie dostrzega i nigdy więcej nie dostrzeże drobnych elementów stylu, które my widzimy w filmie, i widząc je, wiemy, że ten drugi też widzi - jak wtedy, gdy Clint Walker zwraca się do wędrownego kowboja najłagodniejszym i najspokojniejszym tonem starego Wirgińczyka: „Chyba nie zrobiłbym tego na pańskim miejscu” - mój brat nie posiada się z radości; nie wie, czy ma oglądać Clinta Walkera, czy mnie), widmowe kino, ciepła południowa noc, Pustynia Zachodnia i to śliczne słodkie dziewczę, Sharon.

Udana rotacja. Rotacja, którą definiuję jako doświadczanie tego, co nowe. Na przykład pierwsza wycieczka do Taxco nie byłaby rotacją albo byłaby zaledwie rotacją bardzo zwyczajną. Za to zgubienie się po drodze i odkrycie niewidocznej doliny - jak najbardziej.

Jedyną inną rotacją, którą sobie przypominam i która prawdopodobnie była lepsza, był film, jaki oglądałem przed wojną, zatytułowany *Dark Waters*. Widziałem go w „Lafitte” na Bayou Barataria. W tym filmie Thomas Mitchell i Merle Oberon mieszkają w rozpadającej się rezydencji na bagnach w Luizjanie. Pewnego wieczoru przyjeżdżają samochodem do wioski - żeby obejrzeć film! Powtórzenie w ramach rotacji. Nie posiadałem się niemal z rotacyjnych emocji. Ale *Fort Dobbs* lepszy już być nie może. Moje serce śpiewa niczym Oktawian. Mnie, Lonniego oraz tę szlachetną dziewczynę łączy nić wielkiego szczęścia, a oni oboje o tym wiedzą i mają dość rozsądku, żeby milczeć.

3

Trzecia nad ranem i nagle budzę się pośród woni snów i lat, które powróciły, zaludniły się i znowu rozwiały niczym dym. Jestem młodym, dwudziestodwuletnim mężczyzną, ale śnię jak starzec. Nocą te lata powracają i sadowią się wokół mojego łóżka jak zjawy.

Matka rozłożyła w kącie werandy łóżko polowe. Weranda to dobre, otoczone bagnami miejsce do spania, w którym koźły stołu ruszają się z każdym pluśnięciem wody.

Moja dawna „sypialnia”, choć dobra, jest jednak zużyta (miejsca zużywają się wskutek rotacji i powtórzeń) i gdy się budzę, znajduję się w szponach codzienności. Codziennosc to wróg. Poszukiwania przestają być możliwe. Może kiedyś codzienność nie była zbyt mocna i można było rozerwać jej uścisk brutalną siłą. Obecnie rozrywa go jedynie nieszczęście. W moim życiu uścisk codzienności został rozerwany tylko raz: gdy brocząc krwią leżałem w rowie.

W nagłej furii, jakbym wpadł w szal, przewracam się na łóżku i spadam na podłogę. Leżę na deskach, cały się trzęsąc, w gorszym stanie niż nędzny piżmak na bagnach. Mimo to poprzysięgam sobie, że nie okażę się sukinsynem i nie ulegnę w walce z codziennością.

(Codziennosc jest teraz wszędzie; zaczęła się w dużych miastach i odnajdzie najodleglejsze nisze i zakątki prowincji, nawet bagna).

Całymi minutami leżę sztywny jakbym kij połknął i wdycham ciemne wyziewy bagien.

Ani rodzina mojej matki, ani krewni mojego ojca nie pojmują sensu moich poszukiwań.

Rodzina matki uważa, że utraciłem wiarę, i modli się za mnie, żebym ją odzyskał. Nie wiem, o czym oni mówią. Czytałem, że inni ludzie są pobożni w dzieciństwie, a później robią się sceptyczni (albo, jak mówią w audycji „W to wierze”:

„Z czasem wyrosłem z głównych zasad wiary i dogmatów zinstytucjonalizowanej religii”). Nie ja. Moja niewiara od początku była niezachwiana. Nigdy nie umiałem zrozumieć Boga. Z tego, co wiem, dowody na Jego istnienie mogą być prawdziwe, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Gdyby sam Bóg mi się objawił, nic by to nie zmieniło. Wystarczy wręcz, że usłyszę słowo „Bóg”, a w mojej głowie opada kurtyna.

Rodzina mojego ojca sądzi, że świat bez Boga ma sens. Tylko idioci nie wiedzą, czym jest dobre życie, i tylko dranie nie potrafią żyć.

Nie wiem, o czym jedni i drudzy mówią. Naprawdę tego nie rozumiem. Najlepsze, co mogę zrobić, to leżeć sztywno pod łóżkiem, złączony w śmiertelnym uścisku z codziennością, poprzysięgłszy nie kiwnąć palcem, dopóki nie posunę się o kolejny cal naprzód w swoich poszukiwaniach. Czuję pod sobą bagienne wyziewy, a po drugiej stronie rozlewiska jakiś bąk ryczy jak lokomotywa. W końcu żelazny uścisk słabnie i ściągam spodnie z krzesła, wydobywam z nich notes i gryzmołę w nim po ciemku:

DO ZAPAMIĘTANIA NA JUTRO

Punkt wyjścia do poszukiwań:

Rozpoczynanie od stworzeń i dowodzenie istnienia Boga na nic się już nie zdaje. Mimo to Boga nie można wykluczyć. Jedyne możliwe wyjście: dziwny fakt czyjejs niewruszonej apatii—nawet gdyby dowody zostały potwierdzone i Bóg się ukazał, nic by się nie zmieniło. Oto fakt najdziwniejszy ze wszystkich.

Abraham ujrział znaki od Boga i uwierzył. Teraz jedynym znakiem jest to, że wszystkie znaki na świecie nie mają żadnego znaczenia. Czy to ironiczna zemsta Boga? Ale ja nie jestem na jego tropie.

4

Pyrpyr pyrpyr pyr pyr. Pyr. Cisza. Pyrpyr pyr pyr. Pyr.

Zaczyna się od złego obrotu wydarzeń. Pojawia się poczucie naglącej potrzeby. Coś trzeba zrobić. Zróbmy coś z tym, proszę. Potem kolor, bardzo zły kolor, którym trzeba się zająć. Następnie ból. Ale nie ma rady: chodzi o dźwięk, słyhać go tam i nic się nie da z tym zrobić. Zbudź się.

Pyrpyr pyrpyr pyr pyr. Cisza.

- Daj sobie spokój.

Niespełna trzy metry niżej dwaj mężczyźni próbują uruchomić silnik przyczepiony do zgrabnego błękitnego kadłuba. Łódź wpływa z prądem do miniaturowego doku, uderza weń ze stukiem. Świat: niebo, woda, sawanna, ma barwę mleka. Przypominająca eter płytka woda paruje, cienkie smugi mgły gromadzą się niczym dym, biały wał leży równo jak linijka nad moczarami.

- Może dokręcisz zawór iglicowy?

- Może pocałujesz mnie w dupę?

Głosy mężczyzn brzmią piskliwie i staro w niewyraźnym białym świetle. Jednym z nich jest pewnie mój ojczym, Roy Smith. Tak, to sternik. Zielony daszek czapki zakrywa mu twarz, widać jedynie obrzmiałą gniewem wargę, ale rozpoznaję jego rękę. Mięsień sięga swoim łukiem daleko za wgłębienie w łokciu: jego ramiona przypominają małe szynki. Czarne błyszczące włosy wyrastają spomiędzy ogniów bransoletki zegarka. Roy siedzi, obejmując czerwoną osłonę silnika, duży i ciężki brzuch zwisa mu między nogami.

Odchyła się do tyłu, nieruchomieje i szarpie za linkę krótkim potężnym ruchem. Silnik zaskakuje z ochrypłym rykiem i ten fakt wszystko zmienia. Sympatyczny mężczyzna na dziobie zostaje zaskoczony i traci równowagę, gdy uderzają burtą o pirs. Teraz jednak łódź kieruje się w stronę otwartej przestrzeni i obaj rybacy szybko sadowią się na swoich miejscach. Ich twarze są pogodne i pełne nadziei. Roy Smith wygląda na wesołego

rumianego człowieka, jest tęgi, lecz wciąż młodzieńczy. Woda zalewiska kipi niczym wrzątek na herbatę, wypływając na powierzchnię pęcherzyki spalin. Kadłub znika w mlecznej bieli na dalszym planie i dźwięk silnika nagle słabnie, jakby łódź utonęła w wacie.

Z bieli wyłania się powykrzywiany dąb. Stoi w powietrzu niczym drzewo na chińskiej rycinie. Uplývają minuty. Czapla obniża lot na swoich lekkich sztywnych skrzydłach, zerkając jednym okiem na wodę. Siatkowe drzwi za mną otwierają się delikatnie i na pirs wychodzi z wędką moja matka. Opiera wędkę na poręczy, kładzie na niej pakunek w woskowanym papierze, drapie się po rękach pod rękawami bluzki i rozgląda się, ziewając.

— Czeeeeś — mówi z westchnieniem-ziewnięciem równie słabym i bladym jak dzisiejszy ranek. Bluzka matki to jedna z wojskowych koszul Roya, ledwie mieszcząca jej okazały biust. Ma na sobie również niebieskie tenisówki marki Keds i damskie drelichowe spodnie bez rozporka, wciągnięte wysoko na otyłe biodra. W bejsbolowej czapce nasuniętej na szorstkie włosy wygląda jak kobiety, które widuje się na mostach z wędkami.

Matka otwiera pakunek, wyciąga finkę i odrywa jej ostrzem mrożoną krewetkę. Odcina równe różowe kostki, przesuwa je ostrzem po poręczy, przerywając od czasu do czasu, żeby pociągnąć nosem i melodyjnie, jak dawniej, odchrząknąć. Żeby upewnić się, czy ma dość miejsca na zamach, wychodzi na koniec pirsu, odchyła rękę do tyłu, mierząc odległość, i zarzuca wędkę, niezgrabnym, lecz wyćwiczonym spiralnym ruchem prostego ramienia, który kończy z dłonią po kobiecemu wygiętą w nadgarstku. Kołowrotek kręci się z szumem i ołowiany ciężarek frunie daleko z wirującą na nim krewetką, lądując niemal bez plusku w jasnej eterycznej wodzie. Matka nieruchomieje na chwilę, nasłuchując, jakby chciała się dowiedzieć, co sądzą o tym ryby, i powoli zwija żyłkę, od czasu do czasu szarpiąc wędką.

Wkładam spodnie i bosy wychodzę na pirs. Słońce oczyściło sawannę z mgieł, ale świat pozostał chłodny i nieprzejrzysty. Ciepłe jest tylko szorstkie srebrzyste drewno pod moimi stopami.

- To dla ciebie niezwykle wczesna pora, co?! - Jej głos dźwięcznie niesie się nad wodą.

Matka jest wobec mnie swobodna i czuła. Możemy teraz porozmawiać. To wpływ wczesnego ranka i naszej izolacji na wielkich białych mokradłach.

- Zrobić ci śniadanie?

- Nie. Nie jestem głodny. - Nasze głosy dzwonią w pustej przestrzeni poranka.

Matka nie zachęca mnie jednak do rozmowy. Właściwie to mówi do mnie: „Ja tu tylko sobie trochę wędкую, to rzecz powszednia, nie róbnym więc z tego rzeczy niezwykłej”. Wyraźnie unika spoufalania się. Zdumiewa mnie swoim niewzruszonym, instynktownym dążeniem do zwyczajności. Ale chyba wie, co robi.

- Szkoda, że nie wiedziałam, że tak wczesnie wstaniesz — mówi z wyrzutem. — Mogłeś popłynąć z Royem i Kinseyem do latarni Rigolets. Pojawiły się ławice korwinów czerwonych.

- Widziałem ich.

- To czemu nie popłynąłeś?! - pyta z bezgranicznym zdumieniem.

- Wiesz, że nie lubię łowić ryb.

- Mam jeszcze jedną wędkę!

- No i bardzo dobrze.

- Co prawda, to prawda - przyznaje po chwili. - Nigdy nie lubieś. Jesteś taki sam jak twój ojciec. - Posyła mi bystre, niezwykle u niej spojrzenie. -Wczoraj wieczorem zauważyłam, jak bardzo go przypominasz. - Znowu zarzuca wędkę i znowu zastyga w bezruchu.

- Nie lubił łowić ryb?

- Uważał, że lubi!

Rozkładałam się na deskach, opieram głowę na drewnianej belce. Mogę patrzeć spod przymrużonych powiek na słońce, a zarazem widzieć matkę mieniającą się barwami tęczy. Jakiś kwietnik utkał sieć nad odnogą zalewiska i jej nici wydają się wirować w świetle słońca.

- Ale w rzeczywistości nie lubił?

- Nieś... te... - mówi matka, przeciągając odpowiedź, żeby zamaskować swoją nieuwagę. Co jakiś czas wtyka wędkę między poręcz a swój brzuch i porządnie sięka nosem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie lubił. Twierdził, że lubi. I raz mu się podobało! Pamiętam, jak pewnego dnia popłynęliśmy Little Bayou Sara. Ojciec wcześniej chorował i doktor Wills kazał mu pracować rano, a popołudniami brać wolne i zainteresować się łowieniem ryb. Był to przepiękny dzień, pamiętam, i znaleźliśmy jamę pod zwaloną wierzbą... najlepsze miejsce na *sac au lait*, jakie kiedykolwiek widziałam. Poradziłam więc: „Zaczynaj, zarzuć wędkę tam”. „Przez to drzewo?” - zdziwił się. Uważał, że to szarlataneria... Marny był z niego wędkarz. Doktor Wills i sędzia Anse byli wielkimi myśliwymi i wędkarzami, a twój ojciec tylko udawał, że lubi łowić. Powiedziałam więc: „Zarzucaj, prosto przez liście — tak się łowi *sac au lait*”. Niech mnie diabli, jeżeli nie wyciągnął najgrubszego i najpiękniejszego samogłowa, jakiego widziałam. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bardzo się tym podniecił. „Czyż to nie idealne miejsce?” — mówił raz za razem, i: „Spójrz na to drzewo tam; spójrz, jak słońce odbija się w wodzie... Musimy tu wrócić jutro i następnego dnia, i wracać całe lato... Właśnie to musimy robić!”. - Matka mocno szarpie wędka, szybko zwija żyłkę i krzywi się na widok poszarpanej krewetki. - Widzisz, co za podła bestia...! To na pewno jakiś stary drań kryjący się przy samym dnie.

- Czy wrócił tam następnego dnia?

- Bynajmniej. By... naj... mniej — odpowiada, wycinając kolejne trzy kostki krewetki. Znowu odchyła ramię. Krewetka

wiruje i matka zastyga w bezruchu. - Wiesz, co powiedział, gdy nazajutrz rano wspomniałam o *sac au lait*.

- Co?

- „Och, nie. Och, nie. Płyn sama”. I poszedł na ten swój słynny spacer.

- Spacer?

- Groblą. Pięć, dziesięć, piętnaście mil. Zima czy lato. Pamiętam, jak poszłam z nim pewnego bożonarodzeniowego ranka. Miła za miłą, a wszystkie identyczne. Ta sama stara brunatna grobla z przodu, brunatna rzeka z jednej strony, brunatne pola z drugiej. Kiedy więc znalazł się mniej więcej pół mili przede mną, powiedziałam: „Kurde balans. Co ja tutaj robię, wlokąc się ostatkiem sił, skoro potem zamierzamy jedynie zawrócić i wlec się z powrotem?”. Powiedziałam więc: „Do widzenia panu, wracam do domu - ty możesz iść do samego Natchez, jeśli chcesz”. - Tak moja matka postrzega życie, dawne i obecne, jako zwykłą komediową przesadę. Gdyby spędziła cztery lata w Buchenwaldzie, wspominałaby to następująco: „Więc mu powiedziałam: »Posłuchaj pan, jeżeli się wam wydaje, że będę jeść to paskudztwo, to jesteście w grubym błędzie«”.

Rozgrzewające się w słońcu deski pirsu zaczynają wydzielać sosnowo-winny zapach. Ostatnia smuga przygruntowej mgły spała się w jego promieniach, odstawiając ciemną jak herbata wodę. Biedny dąb stoi samotny i ponury. Po drugiej stronie zalewiska garbi się biała czapla, wynędziała i rozczochrana jak myszołów.

- Był dobrym mężem? - Czasami próbuję, niezbyt poważnie, sprowadzić matkę z obranej przez nią drogi popolitości. Żyroskop nie pozwala jej jednak zboczyć wytyczonego kursu.

- Dobrym? Cóż, jedno ci powiem... był dobrym chodzianinem!

- A lekarzem?

- Świetnym! I jakie miał ręce! Jeżeli ktoś miał kiedyś ręce chirurga, to on. - Jej wspomnienie ojca zawiera się w anegdotach utrzymanych w jednym stylu. Matka nie jego pamięta, lecz jego

dawne wyobrażenie. Teraz jednak coś przychodzi jej na myśl. — Był bystry, ale nie na wszystkim się znał! Kiedyś nauczyłam go paru rzeczy i zapewniam cię, że był mi wdzięczny.

- Co to za rzeczy?

- Stracił czternaście kilo. Nie był chory... po prostu wszystko zwracał. Doktor Wills stwierdził, że to ameba. Tamtego roku we wszystkim doszukiwał się ameby; kiedy indziej zapalenia śluzówki macicy, i tak między nami, usunął macice prawie wszystkim kobietom w Felicianie. Podczas śniadania, gdy Mercer przynosił jajka i kaszę kukurydzianą, ojciec po prostu siedział przy stole i patrzył na nie z twarzą białą jak kreda. Ja mogłam jedynie nie jeść śniadania, jego i mojego. Potem napełniał usta kaszą, żuł ją i żuł, i po prostu nie potrafił połknąć. Pewnego dnia wpadłam na pomysł. Powiedziałam: „Słuchaj, przez całą noc czytałeś książkę, prawda?”. „Owszem — odparł — i co z tego?” „Podobała ci się, prawda?” „Podobała”. Zaproponowałam więc: „W porządku. W takim razie będziemy ją czytać”. Nazajutrz rano kazałam Mercerowi zająć się swoimi sprawami. Swoją posiłek zjadłam wcześniej, zrobiłam śniadanie ojcu i przyniosłam mu je do łóżka. Wzięłam jego książkę. Pamiętam... nosiła tytuł *The Green Murder Case*. Czytali ją wszyscy w naszej rodzinie. Zaczęłam czytać, a on zaczął słuchać. I w trakcie czytania nakarmiłam go. Powiedziałam: „Możesz jeść” i go nakarmiłam. Wkładałam mu jedzenie do ust, a on jadł. Karmiłam go przez sześć miesięcy, przytył jedenaście kilo. I wrócił do pracy. Potem musiałam mu czytać nawet wtedy, gdy jadł sam, na dole. Gdy przerywałam, po prostu wściekał się na mnie. Mówił: „No dalej!”.

Siadam i osłaniam oczy, żeby ją lepiej widzieć.

Matka siąka nosem. - To dlatego, że...

- Dlatego, że co?

Spluwam do wody. Płwocina rozciąga się jak struna. Matka opiera się o poręcz i spogląda na ciemne jak herbata zalewisko.

- Tak jakby uważał, że jedzenie nie jest wystarczająco... ważne. Bo widzisz, dla twojego ojca wszystko, każda chwila musiała być...

- Czym, mamó?

Tym razem wzsusza ramionami, wydymając dolną wargę.

- Nie wiem. Czymś.

- Co z nim było nie tak?

- Był wyczerpany nerwowo — odpowiada od razu, swoim normalnym monotonnym głosem pszczoły matki, i mój ojciec znowu znika za maską dawnego wyobrażenia. Słyszę echa obecności moich dziadków i ciotki Emily, echa rozmów na werandzie w długie letnie wieczory, gdy porządkowano sprawy, rozwiązywano zagadki, nazywano to, co nienazwane. Moja matka nigdy nie przywykła do naszych werandowych, osobliwie swobodnych rozmów. Gdy ktoś zaczynał gadkę, jedną z naszych poważnych homeryckich gadek, wyciągała szyję w ciemności, próbując dojrzeć twarz mówcy i osądzić, czy chce być traktowany równie poważnie, jak ponuro brzmią jego słowa. Jako Bolling w gminie Feliciana przyzwyczałem się do przesiadywania po ciemku na werandzie i rozmów o rozmiarach wszechświata i męskiej perfidii; jako Smith na wybrzeżu Zatoki przywykłem do jedzenia krabów i picia piwa pod stupięćdziesięciowatową żarówką - i wiem, że pierwszy sposób spędzania letnich wieczorów jest tak samo przyjemny jak ten drugi.

- Na czym polegało jego nerwowe wyczerpanie?

Matka oskubuje haczyk z resztek przynęty, bierze następną różową kostkę i nadziewa ją z dwóch stron na jego wąż. Jej nadgarstki są krągłe - nie jak u młodej dziewczyny, lecz dzięki warstwie twardego tłuszczu.

- Taką miał konstrukcję psychiczną.

Tak, to prawda. Dość często rozmawialiśmy o typach konstrukcji psychicznych człowieka oraz o wpływie hormonów na nasze fatalne, niezrozumiałe zachowanie. O dziwo, moja matka

bardziej przypomina moją ciotkę niż sama ciotka. Emily Cutrer przestała już mówić o konstrukcjach psychicznych.

- Jego system nerwowy był niczym radio dużej mocy. Wiesz, co się dzieje, gdy zwiększasz głośność i dostrajasz się do WWL?

- Tak - mówię, niewymownie przygnębiony wspomnieniem smutnych drobnych analogii, którymi lubią posługiwać się lekarze. - Chodzi ci o to, że w rzeczywistości ojciec nie miał zacięcia do zwykłej medycyny, że tak naprawdę powinien być badaczem.

- Zgadza się! — Moja matka spogląda na mnie z zaskoczeniem, ale niezbyt dużym, po czym posyła ołowiany ciężarek jak kulę. - Proszę pana...! - zwraca się do nieznannej ryby, a kiedy ta nie reaguje, wpada w zadumę. — To jednak osobliwe. Jesteś tak bardzo podobny do swojego ojca, a mimo to tak bardzo się różnicie. Masz w sobie trochę z mojego papy... Jesteś niefrasobliwy, lubisz jeść i lubisz dziewczyny.

- Nie lubię łowić ryb.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to ci powiem, że jesteś zbyt leniwy. Tak czy inaczej, papa nie był rybakiem, jak ci już mówiłam. Posiadał flotę trawlerów w Golden Meadow. Ale kochał ładne dziewczyny. Aż do dnia swojej śmierci.

- To się utrzymuje tak długo?

- No, no, no, no! - Zgorszona, przyciska brodę do piersi, ale nie przestaje obserwować spławika. — Nie narażaj mi się! Rozmawiasz ze swoją matką, a nie jedną z tych twoich ślicznotek.

- Ślicznotek!

- Tak.

- Nie podoba ci się Sharon?

- Ależ tak. Tylko że ona nie jest dziewczyną dla ciebie. — Matka od lat rzuca te słowa jak mantrę; uważa, że powinienem ożenić się z Kate Cutrer, chociaż właściwie to o Kate również stworzyła wyobrażenie i wcale jej nie zna. - Czy ty wiesz o jednym zabawnym fakcie?

- Jakim?

- To nie ty, lecz Mathilde jest kapryśna jak twój ojciec. Siostra Regina twierdzi, że to kolejna Alice Eberle.

- A kim jest Alice Eberle?

- Dziewczyną z Biloxi, która wygrała przesłuchanie do orkiestry Horace'a Heidta

- Och.

Matka po dawnemu wywodzi gardłowe trele. Spoglądam na nią przez zmrużone powieki i tęczę.

- Kiedy jednak zachorował kolejny raz, nie mogłam mu pomóc.

- Dlaczego?

- Powiedział, że moja terapia jest niczym końska kuracja: można ją zastosować tylko raz.

- Co się stało?

- Nadeszła wojna.

- To pomogło?

- On pomógł sobie. Miesiąc przeleżał w łóżku, w twoim pokoju na piętrze... Ty wyjechałeś do szkoły. Nie chodził do kliniki, nie jadł, nie łowił ryb, nie czytał. Po prostu leżał tam i oglądał wentylator sufitowy. Raz na jakiś czas szedł wieczorem do Chińczyka i zjadał po-boya. Tylko tak był w stanie jeść... Pójść o północy do Chińczyka i zjeść kanapkę z kraba mi i sałatą. Tamtego rana jak zwykle zostawiłam go na piętrze. Posłałam Mercera na górę z gazetą i tacą, a potem zadzwoniłam do Clarence'a Saundersa. Dziesięć minut później patrzę, a on schodzi po schodach, cały wystrojony. Jak gdyby nigdy nic siada przy stole w jadalni, zamawia śniadanie i zjada tyle, że koń by wyciągnął kopyta... przez cały czas czytając gazetę i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że je. Pytam, co się stało. „Co się stało! Niemcy napadły na Polskę i Anglię oraz Francja wypowiedziały im wojnę!” I zapewniam cię, że w ciągu trzydziestu minut zjadł śniadanie, spakował walizkę i pojechał do Nowego Orleanu.

- Po co?
- Żeby się spotkać z kanadyjskim konsulem.
- Tak, pamiętam, że pojechał do Windsoru w Ontario.
- To było dwa miesiące później. W ciągu dwóch miesięcy przybrał na wadze czternaście kilo.

- Czym się tak przejął?
- Wiedział, co to oznacza! Wyjaśnił nam wszystkim przy kolacji: „Stało się. Prędej czy później się w to zaangażujemy. Powinniśmy to zrobić teraz. A ja nie będę czekał”. Wszyscy byli z niego tacy dumni... zwłaszcza panna Cutrer. A gdy tamtej wiosny przyjechał do domu w niebieskim mundurze ze złotymi skrzydłami korpusu medycznego wojsk lotniczych, daję słowo, że był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. I takim... uroczym! Wspaniale się bawiliśmy.

Na pewno był uroczy. Znalazł sposób, by zadowolić zarówno ich, jak i siebie. Wyjechać. Zrobić to, co chciał zrobić, i robiąc to, uratować starą Anglię. A może nawet dokonać największej sztuki: zginąć. Zdobyć wielką nagrodę dla nich i dla siebie (ale nawet on nie marzył, że uda mu się nie tylko zginąć, ale zginąć na Krecie w ciemnym jak wino morzu).

- Przedtem więc był też leniwy.
- Nieprawda!
- Nie chodzi o lenistwo, mamó. Częściowo, ale nie do końca. Powiem ci coś dziwnego. W czasie wojny przydarzyło mi się coś złego. Wycofywaliśmy się znad rzeki Chongchon. Powstrzymaliśmy natarcie Chińczyków, podpalając trawę pociskami smugowymi. Resztki kompanii komandosów miały znajdować się tuż za nami. Lub raczej wydawało się nam, że się wycofujemy, ponieważ na linii odwrotu wpadliśmy w zasadzkę i musieliśmy się cofnąć i ruszyć na zachód. Miałem wrócić do rozdroża i powiedzieć komandosom o zmianie kierunku odwrotu. Wróciłem tam, czekałem pół godziny i zmarłem tak, że usnąłem. Gdy się obudziłem, było już jasno.

- I nie wiedziałeś, czy komandosi przyszli, czy nie?

- Nie chodziło o to. Przez długi czas niczego nie pamiętałem. Wiedziałem tylko, że stało się coś strasznego.

- Czy komandosi przeszli tamtędy nocą? - pyta matka, uśmiechnięta i pewna, że odegrałem chwalebną rolę.

- Nie, ale nie o to...

- Co się z nimi stało?

- Zostali odcięci.

- To znaczy, że wszyscy zginęli?

- I tak niewielu ich zostało.

- Co za okropność. Nigdy się nie dowiemy, przez co tam przeszliście. Ale przynajmniej miałeś czyste sumienie.

- Nie o sumienie się martwiłem. Próbuję ci wyjaśnić, że godne zrobienia wydawało się tylko coś, czego nawet nie mogłem sobie przypomnieć. Gdyby ktoś podszedł do mnie i powiedział: „Jeżeli na trzy kwadransy zapomnisz o tym, co cię pochłania, i weźmiesz się do roboty, mogę cię zapewnić, że odkryjesz lekarstwo na raka i skomponujesz najwspanialszą ze wszystkich symfonii...” nie byłbym zainteresowany. A wiesz dlaczego? Dlatego że dla mnie nie było to wystarczająco dobre.

- To samolubne.

- Wiem.

- Coś ci powiem. Gdyby mnie tam postawili i powiedzieli: „Anno, nie daj się i zacznij strzelać”, wiesz, co bym zrobiła?

- Co?

- Od razu podałabym tyły.

Przywołuję obraz mojej matki w panicznym odwrocie przed Chińczykami i nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

- Nigdy się jednak nie dowiemy, jak by to wyglądało - to daje matka, ale prawdę mówiąc, nie zwraca na mnie specjalnej uwagi. Naprawdę nie potrafię się nie śmiać. Ugniata różową kostkę, żeby ryby wyczuły przynętę. - Wiesz co, Jack? - Jej oczy przepełnia czułość, czułość starannie chroniona przed tym, co osobiste, co płynie prosto z serca; czułość rozmyślnie zbanalizowana. - Zabawne, że o tym wspomniałeś. Wierz lub nie, ale

przedwczoraj rozmawiałam z Royem i to on, nie ja, powiedział, że wspaniale byś się sprawdził w czymś takim.

- To znaczy?
- Badaniach nad rakiem.
- Och.

Ryby nie biorą. Czapla podrywa się do lotu i przepływa w powietrzu tak blisko nas, że słyszę chrzęst jej skrzydeł.

5

Po śniadaniu powstaje zamieszanie w sprawie mszy. Smithom, z wyjątkiem Lonniego, rozmowa o religii nigdy nie przyszlaby do głowy - poruszenie tego tematu wywołuje w nich wielkie zażenowanie: odwracają wzrok, chrząkają i przez parę minut szepczą, dopóki nie uda się zmienić tematu. Słyszę jednak, jak teraz przez trzy kwadranse spierają się o techniczną organizację wyjazdu do kościoła z całym zapalem ludzi spragnionych wyładowania emocji, jakby debatując nad zaletami mszy o dziewiątej w Biloxi w porównaniu z późniejszym o półtorej godziny nabożeństwem w Bay St Louis, w rzeczywistości dyskutowali o religii. I któż może twierdzić, że tak nie jest? Może i mają rację: gdyby zaczęli rozmawiać ze mną o Bogu, na pewno wskoczyłbym do zalewiska.

Proponuję Royowi, który właśnie wrócił z Rigolets, że zostaną z Sharon w domu i zajmę się Jean-Paulem.

- Och, nie - mówi moja matka, spoglądając spod opadających powiek. - Jean-Paul może jechać. Pojedziemy wszyscy. Sharon też; prawda, Sharon? - Sharon śmieje się i odpowiada, że pojedzie. Już o tym rozmawiały.

Kościół, stara świątynia na tyłach Biloxi, wygląda jak poczta. Jak urząd. Schody są wydeptane w półokrągłe ząbki; moieżna poręcz i tabliczka na drzwiach błyszczą niczym złoto od

intensywnego wycierania. Przyjeżdżamy wcześniej, żeby wózek Lonniego można było wtoczyć na specjalne miejsce przy filarze. W chwili rozpoczęcia mszy stoimy ściśnięci jak sardynki w puszcze. Jakaś kobieta idzie przejściem w stronę ołtarza, pochyła się i spogląda na naszą ławkę. Na mnie patrzy szczególnie surowo. Ani drgnę. Jest ciasno jak w metrze. Roy Smith, który dotarł do domu w samą porę, by zdążyć się przebrać w czystą koszulę z perforowanego zamszu, ustępuje miejsca małej dziewczynce i klęczy w przejściu z kilkoma innymi mężczyznami, na jednym kolanie, wsparty łokciem o udo, ze splecionymi dłońmi. Twarz pociemniała mu od napływającej krwi, oddycha ze świstem przez nos, przyglądając się szczerbom w lastrykowej posadzce.

Sharon jest grzeczna: odkąd uspokoiła ją heroiczna areligijność Smithów („Co oni tu robią?” - myśli sobie), przejawia urocze zadziwienie katolicyzmem, właściwe pewnemu typowi młodych protestantek; rozgląda się, wodząc wokół żółtymi oczami. (Myśli: „Jacy oni wszyscy są dziwni, on też... Całe to zamieszanie z jazdą tu, a teraz, gdy już tutaj są, można odnieść wrażenie, że msza dobiegła końca, zanim się jeszcze zaczęła - każde z nich popadło w zubożenie, a ksiądz odwrócił się plecami”).

Gdy dzwonią na komunię, Roy podnosi się ociężale i wiezie Lonniego do końca balustrady. Widzę tylko wijącą się kitkę rudych włosów mojego brata. Gdy kapłan pochodzi do niego, Roy przytrzymuje synowi głowę. Robi to niedbale, ze zmarszczonym czołem i błyszczącymi sokolimi oczami.

5

Kobiety są w kuchni: matka czyści korwiną, a Sharon siedzi przy oknie z miską pełną fasolki szparagowej na kolanach. Szerokie, przesuwane pionowo skrzydło okna otwiera się na bagna, gdzie stado drożdżików grzechocze niczym tykwy i tratuje pał-

ki szerokolistne, rozkładając skrzydła, żeby pokazać szkarłatne epolety. Jean-Paul huśta się nad podłogą, obraca się na swoim tłustym biodrze, jego rekinie ciało przesuwa się z szelestem nad szorstkimi deskami. Malec wsuwa palec w szpary, żeby dosięgnąć pluskającej wody. Do mnie, leżącego na werandzie, docierają odgłosy dzisiejszego przedpołudnia; krzyki swarliwych drożdżików i rozmowa kobiet, swobodna w chwilach milczenia, łączą się nie w swoim podobieństwie (jakże się bowiem różnią wystudiowane prowincjonalne okrzyki Sharon: „Skąd mogłam wiedzieć, że ludzie jedzą raki!” - co ma oznaczać, że w Eufali jedzą je tylko Murzyni, i miarowe kataralne pomruki mojej matki: „Jeżeli Roy chce zjeść w tym roku zupę z raków, niech sobie lepiej kupi... Wiesz, jak długo trwa jej gotowanie?”), lecz raczej w swej kobiecości i na mocy łatwej kuchennej dyspensy.

Dzieci jeżdżą na nartach wodnych z Royem. Niebieska łódź śmiga po zalewisku tam i z powrotem, rozcinając ciemną wodę niczym nóż. Sprzęt porzucony na końcu pirsu, żółta nylonowa lina i szkarłatne koło ratunkowe, mienia się przejmująco fosforyzującymi barwami w świetle słońca.

Lonnie odnajduje mnie na werandzie i podjeżdżając, uderza wózkami w moje łóżko połowe. W niedzielę nosi garnitur i kapełusz filcowy z zawiniętym rondem. Zdjął już marynarkę, ale krawat nadal ma ciasno zawiązany i spięty klamerką z łańcuszkiem. Gdy się wystroi, wygląda jak mały wsiok na przyjęciu weselnym.

— Chcesz przedłużyć swoje prenumeraty?

— Mógłbym. Ile nazywałeś punktów?

— Sto czternaście.

— To nie daje ci pierwszej pozycji?

— Daje, ale nie gwarantuje, że ją utrzymam.

— Ile?

— Dwanaście dolarów, ale nie musisz przedłużać.

Znad wyspy Chandeleur nadciągają chmury. Wydają się prawie nieruchome, ale ich cienie pędzą po trawie jak ciemny wiatr. Lonniemu trudno jest na mnie patrzeć. Próbuje wytrzymać

moje spojrzenie i to wprawia jego głowę w zawity ruch. Siadam na łóżku.

Chłopak bierze banknoty w sztywne palce i zaczyna je wkładać do nieporęcznego portfela z albumem plastikowych kopert ze świętymi obrazkami.

- Co jest w tym roku pierwszą nagrodą?

- Zenith Trans-World.

- Przecież już masz radio.

- Ze standardowym zakresem fal. - Lonnie wpatruje się we mnie. To smutne spojrzenie nie przerywa rozmowy, ma swoje zdania i kropki. - Jeżeli dostanę zenitha, nie będę tak bardzo odczuwał braku telewizji.

- Przemyślałbym to jeszcze raz. Przecież telewizja daje ci wiele radości.

Lonnie wydaje się rozważać moją propozycję. Nasza rozmowa naprawdę go cieszy. W kąciu jego ust błąka się uśmiech. Monotonny język mojego brata daje mu przewagę, taką samą, jaką dysponują cudzoziemcy: jego słowa się nie zużywają. Brzmią niczym szyfr wystukiwany przez ścianę. Czasem pyta mnie otwarcie: „Kochasz mnie?” — i można zastukać w odpowiedzi: „Tak, kocham”.

- Poza tym sądzę, że nie powinieneś pościć.

- Dlaczego?

- W zeszłym roku dwa razy chorowałeś na zapalenie płuc. Post by ci zaszkodził. Wątpię, czy twój spowiednik by na to pozwolił. Zapytaj go.

- Pozwala.

- Na jakiej podstawie?

- Żeby zwalczyć skłonność do nałogów. - Lonnie używa tego osobliwego języka katechizmu w mowie potocznej. Kiedyś oznajmił, żebym się nie martwił jakimś głupstwem, które powiedziałem Lindzie w jego obecności, ponieważ nie było to kłamstwo złośliwe, lecz „swawolne”.

- O jakiej skłonności mówisz?

- O skłonności do zazdrości.

- W stosunku do kogo?
- Do Duvala.
- Duval nie żyje.
- Owszem. Ale zazdrość nie jest jedynie smutkiem z powodu czyjogoś szczęścia. To także radość z czyjogoś nieszczęścia.
- Nadal się tym martwisz? Oskarżyłeś siebie i otrzymałeś rozgrzeszenie, prawda?
- Prawda.
- Nie bądź więc drobiazgowy.
- Nie jestem.
- W takim razie w czym problem?
- Nadal się cieszę, że on nie żyje.
- Czemu miałbyś się nie cieszyć? Duval widzi oblicze Boga, a ty nie.

Lonnie uśmiecha się do mnie szeroko z bardzo intensywnym poczuciem naszego wspólnictwa: niech wszyscy jeżdżą sobie do woli na nartach. My mamy coś lepszego. Wyraz jego twarzy jest niejednoznaczny. Lonnie wie, że wdałem się w ten spór jako grę toczoną zgodnie z jego regułami, i wie, że ja o tym wiem, ale mu to nie przeszkadza.

- Jack, czy pamiętasz, jak Duval pojechał na mecz w Jackson i wygrał po raz pierwszy w dziejach Ameryki, a następnego dnia został obrońcą reprezentacji stanu?

- Pamiętam.
- Miałem nadzieję, że przegra.
- To mu nie zaszkodzi.
- Mnie tak. Wiesz, co grzech śmiertelny robi z życiem człowieka.

- Wiem. Mimo wszystko nie pościłbym. Zamiast pościć, częściej bym przystępował do komunii. To chyba bardziej pozytywne działanie.

—To prawda. — I znowu błękitne oczy wciągają moje w ożywioną rozmowę, patrząc, odwracając się i znowu patrząc. — Ale komunია jest sakramentem żywych.

- Ty nie chcesz żyć?

- Jasne, że chcę! - odpowiada ze śmiechem, chcąc, pragnąc wręcz przegrać w tym sporze, żebym na pewno bawił się równie dobrze jak on.

To dzień na obserwację chmur. Chmury przepływają obok, wydęte jak żagle kliperów. Kremowe opary gromadzą się w wielkie niesamowite łańcuchy i strome doliny chmur. Pod pirsem przepływa zielony wąż. Widzę szwy między płytkami jego płaskiej czaszki. Gad sunie przez wodę, nie marszcząc jej powierzchni, zatrzymuje się, nie wiedząc czemu, i kiwa łbem przy palach.

- Jack?

- Słucham?

- Wybierzemy się na przejażdżkę?

Dla Lonniego nasze niedziele mają ustalony program. Najpierw rozmawiamy, zwykle na temat religii, następnie wybieramy się na przejażdżkę, potem on prosi mnie, bym mu zrobił tak jak Akim.

Przejażdżka to „lot” po chodniku i szarża drogą prowadzącą przez bagna. Lonnie siedzi na brzegu wózka i pruje niesione wiatrem powietrze, aż łyzi ciekną mu z oczu. Gdy chmury zaczynają piętrzyć się nad sawanną, bagienne stworzenia cichną na chwilę, a potem znowu rechoczą i brzęczą, ile wlezie.

Gdy wracamy na werandę, prosi, bym mu zrobił tak jak Akim. Przychodzę po niego. To musi być prawdziwe manto, bo inaczej nie będzie zadowolony. Podczas ostatniego roku studiów w college'u odkryłem, że podświadomie uczę się manier Akima Tamiroffa. To była jedyna tak naprawdę przydatna rzecz, jakiej nauczyłem się przez całe cztery lata.

- Muszę zdobyć tamte plany.

- Daj spokój, Jack, nie rób tego. — Lonnie kuli się bojaźliwie i z radością. Jego dłoń zwija się jak płonący liść.

Matka wysuwa głowę z kuchni.

- Niezły duet z tej dwójki, co? — Odwraca się do Sharon. — Zapewniam cię, że Lonnie i Jack to kolejny zwiariowany duet.

Całuję brata na pożegnanie, po czym on przywołuje mnie z powrotem, choć tak naprawdę nie ma mi nic do powiedzenia.

- Zaczekaj.

- Słucham?

Wodzi wzrokiem po bagnach, uśmiechnięty.

- Sądysz, że eucharystia...

- Tak?

Zapomina, co chciał powiedzieć, i musi mówić otwarcie:

- Nadal składam moją komunię w ofierze za ciebie.

- Wiem o tym.

- Zaczekaj.

- Słucham?

- Kochasz mnie?

- Tak.

- Jak bardzo?

- Dość mocno.

- Ja też cię kocham - zapewnia Lonnie, ale ma już tranzytor na przegubie dłoni i majstruje przy nim jak szalony.

7

W drodze do domu MG zostaje skażony niemocą. Można było się tego spodziewać, ponieważ niedzielne popołudnie to zawsze najgorsza pora. Tysiące samochodów ciągnie wzdłuż wybrzeża Zatoki, całe rodziny, a wszyscy z tym samym zboląłym, nieprzytomnym wyrazem twarzy. W powietrzu czuć spaliny, a słońce razi wodę złośliwym blaskiem. A jednak to piękne niedzielne popołudnie. Piękny bulwar, dziesięć tysięcy pięknych samochodów, pięćdziesiąt tysięcy urodziwych, dobrze odżywionych życzliwych ludzi, a niemoc osiada na nas niczym promieniotwórczy opad. Pograżony w smutku, ale mimo wszystko nie wyzbyty nadziei, kładę dłoń na najgrubszej i najbardziej wewnętrznej części uda Sharon.

Odpycha ją ze świeżym wigorem.

- Nie zadzieraj ze mną, chłopcze.

- Świetnie, nie będę zadzierał - odpowiadam ponuro.

Prawdę mówiąc, jestem tak samo skłonny zadzierać z Sharon, jak tego nie robić.

- To dobrze. Chodź tutaj.

— Jestem tu.

Całuje mnie w policzek.

— Mam twój numer, chłopcze. Ale to dobrze. Porządny z ciebie gość. Naprawdę mnie rozśmieszasz. - Rozmawiała z moją matką. - A teraz zajmij się swoimi sprawami i odwieź mnie do domu.

- Czemu?

— Muszę się z kimś spotkać.

Rozdział czwarty

1

Sam Yerger we własnej osobie czeka na mnie na chodniku. W grubych cylindrycznych nogawkach lnianych spodni i wspinających błyszczących Szkotach jego nogi są duże i krągłe jak nogi słonia. Widok Sama przyprawia o drżenie serca; ma poważny i delikatny sposób bycia zwiastuna złych wieści. Ktoś umarł.

Bez wątpienia czeka na mnie. Na widok mojego samochodu robi dyskretny znak i szybko podchodzi do krawężnika.

— Czekam w suterenie — mówi, a właściwie szepcze, odwraca się i natychmiast wchodzi po drewnianych stopniach schodów, a jego kroki rozbrzmiewają jak strzały z pistoletu.

Sam wygląda bardzo dobrze. Choć jest rozczochrany i ma zaczerwienione oczy, jak zawsze nic w nim nie razi: ani wielkie jak u niedźwiedzia ramiona i głowa, ani miękki kołnierzyk podjeżdżający niczym kryza pod przystrzyżone w kancik włosy na karku, ani słoniowate nogi i czarne szkoty. Przyjemnie byłoby mieć zaczerwienione oczy i rozczochrane włosy, gdyby ktoś potrafił je prezentować z klasą Sama. Jego grzywka w stylu starszego o całe pokolenie Nelsona Eddyego układa się nad czołem w dwie fale.

Matka Sama, ciotka Mady, była żoną wspólnika sędziego Anse'a, starego Bena Yergera. Po studiach w college'u na Wschodzie Sam na dobre opuścił gminę Feliciana i pracował w dawnym nowoorleańskim „Item”. W latach trzydziestych napisał dowcipną książkę o francuskojęzycznych Murzynach, zatytułowaną *Yambilaya Ya-Ya*, z której powstał spektakl sceniczny, a potem film. W czasie wojny Sam był szefem paryskiego biura agencji prasowej. Pamiętam, że komentator CBS nazywał go „zdolnym i dobrze poinformowanym reporterem”. Przez pewien czas był mężem Joel Craig, nowoorleańskiej piękności (głos Joel, gardłowy głos kobiety z wytwornego towarzystwa, wzbogacony — jak mi się zawsze wydawało — i uszlachetniony dobrą whisky, nabrał dla mnie takiej samej nienaturalnej obfitości jak ciało Sama). Mieszkali najpierw we French Ojuarter, a później w meksykańskim stanie Chiapas, gdzie ich odwiedziłem w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Napisał tam powieść *The Honored and the Dishonored* („Szacowni i okryci hańbą”), która - zgodnie z informacją na obwolucie — poruszała „problem zła i zasadniczej samotności człowieka”. Złamał nogę, poszukując jakichś ruin w odległym rejonie Meksyku, i omal nie umarł, zanim paru Indian znalazło ich dwoje. On i Joel bardzo się lubili; lubili też żartować w sposób, który z początku wydawał się niewybredny. Sam zwykł na przykład mówić, że Joel jest ciut w ciąży, ona zaś, zanim się pobrali, z upodobaniem twierdziła, że ma serdecznie dość roli jego stręczycielki; lubiłem słuchać, jak wymawia słowo „stręczycielka” tym głębokim karmelowym głosem. Nazywała mnie Pohrrencznikiem: „Pohrrenczniku, w końcu pojęłam, co mnie w tobie tak pociąga”. „Co?” - pytałem, kręcąc się niespokojnie. „Masz goodność, Pohrrenczniku”. Nie powinna tego mówić, ponieważ potem nigdy nie mogłem niczego powiedzieć ani zrobić bez świadomości własnej godności. Gdy odwiedziłem Yergerów w Meksyku, każde z nich wyrażało się pochlebnie o drugim i to w obecności partnera, co było nieco zenujące. „Co za mężczyzna — wyznała mi kiedyś Joel. - Wiesz, co mi powiedział po

trzydziestu sześciu godzinach leżenia pod urwiskiem z wystającym na wierzch dwucalowym kawałkiem złamanej kości udowej? «Królewno, chyba zaraz zemdleję i zanim się to stanie, dam ci jedną radę». Boże, myślałam, że zaraz umrze i powie mi, co zrobić z jego książką, a on powiedział całkiem poważnie: «Królewno, zawsze słuchaj Bacha i dawnej muzyki włoskiej» - po czym urwał mu się film. I przysięgam na Boga, to nie jest zła rada". Sam mówił o żonie: „To świetna dziewczyna. Zawsze dbaj o swoją kobietę, Binx". Powiedziałem, że nie omieszkam. Tamtego lata miałem mu za co dziękować. W stołecznym college'u w Meksyku poznałem Pat Pabst, studentkę UCLA, która przyjechała ze mną do Chiapas. „Zawsze dbaj o swoją kobietę” — powiedział Sam, drepcząc o lasce w bardzo ładnym stylu. Spojrzałem na Pat, która - wiedziałem o tym - przyjechała do Meksyku w poszukiwaniu Tego, Co Słuszne i Prawdziwe. I znalazła: starego Sama, prawdziwego niedźwiedziowatego pisarza z czarną beethovenowską twarzą, dyrygującego wszystkim ze stoickim wdziękiem, oraz mnie — z plecakiem i głosem brzmiącym na starowirgińską nutę. Jej kalifornijskie serduszko nie pragnęło niczego więcej. Lgnęła do mnie ze wszystkich sił. Po wyjeździe z Meksyku - ogarnęła go nostalgia, nastrój typowy dla powtórzenia - Sam wrócił do Feliciany, gdzie napisał nostalgiczną książkę pod tytułem *Happy Land* („Szczęśliwy kraj”), którą chwalono w recenzjach jako ładne połączenie wyważonego podejścia do kwestii rasowej i konserwatywnej sympatii dla wartości rolniczego Południa. Poprzednia książka, zatytułowana *Curse upon the Land* („Ziemia przeklęta”), którą na obwołucie nazwano „żarliwym apelem o tolerancję i zrozumienie”, nie została dobrze przyjęta w Felicianie. Sam od czasu do czasu pojawia się w Nowym Orleanie na prelekcji, odwiedza moją ciotkę i wygłupia się ze mną i z Kate. Lubimy się z nim widywać. Mnie nazywa bratem Andym, a ją - panną Ruby.

- Musimy zabrać stąd Kate i potrzebna jest mi do tego twoja pomoc.

Sam wpada przez nowe żaluzje Kate i zaczyna chodzić tam i z powrotem po maleńkim podwórzu, gdzie siedzę zgarbiony i zdeprymowany swoją niemocą. Zauważam, że moja kuzynka zaczęła zdierać tynk z muru sutereny, odsłaniając następne stare cegły.

- Chodzi o to, że Kate jedzie do Nowego Jorku, a ty ją tam zawieziesz. Zabierz ją tam dzisiaj i czekaj na mnie... Wrócę za dziesięć dni. Ma się spotkać z Etienne'em Sue. Wiesz, kim on jest: jednym z tych fantastycznych geniuszów z kontynentu, równie dobrze znanym ze swoich prac archeologicznych w Knossos, co z badań klinicznych. Ten człowiek sam jest chronicznie chory i przyjmuje jedynie garstkę pacjentów, ale dla Kate zrobi wyjątek. Już do niego dzwoniłem. Ale moim mistrzowskim posunięciem jest to, że już załatwiłem jej pobyt u Księżnej.

- Księżnej?

Nad nami rozlega się jakiś hałas. Mrużąc oczy, spoglądam pod słabnące słońce. Bessie Coe — nazywana tak dla odróżnienia od praczki Bessie Baham — Murzynka z cętkowaną twarzą i białą wargą, wychyla się z chodnika dla służby, żeby otrzepać mopa. Ponieważ jest pomocą kuchenną, może sobie pozwolić na powitanie w starym stylu.

- Pan Binx! - oznajmia okolicznym mieszkańcom zachrypniętym głosem, wykrzykując te słowa nad moją głową w parodii powitania. Czyni to jednak dobrodusznie, zachęcając wręcz do przyłączenia się do tej parodii.

- Ma siedemdziesiąt pięć lat, jest trochę zasuszoną staruszką i najbardziej obok Em czarującą, dowcipną i mądrą kobietą, jaką znałem. W ONZ przydała się nam bardziej niż cała amerykańska delegacja. W jej domu nigdy nie brak napięcia i emocji. Kate, która moim zdaniem już jest wielką damą, wreszcie by się tam odnalazła. Krótko mówiąc, Księżna potrzebuje towarzystwa. Tego samego wieczoru, w którym wyjechałem z Nowego Jorku, powiedziała: „A teraz posłuchaj. Gdy już będziesz na swoim amerykańskim Południu, zadbaj o to, by znaleźć mi jakąś miłą

dziewczynę z Południa... Wiesz, jaką mam na myśli". Oczywiście, taka, jaką Księżna ma na myśli, to mieszkanka Południa osobliwie przypominająca rosyjską ziemiankę w dawnym stylu. Pomyślałem o tym znowu dopiero wczoraj wieczorem, gdy patrzyłem, jak Kate idzie po schodach. „Mój Boże - powiedziałem - oto Natasza Rostowa". Zwróciłeś kiedyś na to uwagę?

- Natasza? - mówię mrugając powiekami. - Co się stało? Czy coś stało się Kate?

- Nie wiem, co się stało. - Yerger dotyka obcasem czubka drugiego buta i trzymając dłonią łokieć drugiej, wyprostowanej ręki - skupiony, zebrany w sobie - zaciąga się papierosem. - Gdy Kate kładła się spać o drugiej nad ranem, z pewnością wszystko było w porządku. Była wręcz w ekstatycznym nastroju. Mieliśmy za sobą, ona, ja i Em, cztery godziny najciekawszej rozmowy, jaką kiedykolwiek i gdziekolwiek prowadziłem. Była najbardziej fascynującą kobietą w Nowym Orleanie i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

(Tak, słodka Kate, ja też zdaję sobie z tego sprawę. Znam twoją starą przewrotną sztuczkę: gdy wszystko stracone, gdy oni rozpaczają nad tobą, wtedy ty, w tym najbardziej zgubnym momencie, okazujesz się cudowną osobą).

- Ja i Emily rozmawialiśmy nieco dłużej i poszliśmy spać na piętro. Było nie później niż wpół do trzeciej. O czwartej coś mnie zbudziło. Za nic nie mogę sobie przypomnieć, co, ale obudziłem się z dominującym poczuciem, że coś nie gra. Wyszedłem na korytarz. Spod drzwi pokoju Kate sączyło się światło, ale wewnątrz było cicho. Wróciłem więc do łóżka i spałem do ósmej. - Sam mówi zdawkowo, pośpiesznie, fachowo podając kolejne fakty. - Gdy Kate nie zjawiała się o dziesiątej na śniadaniu, Emily posłała Mercera z tacą na górę. Tymczasem Jules wyszedł do kościoła. Mercer zapukał do drzwi Kate i wołał wystarczająco głośno, by było go słyszeć na parterze, ale nie otrzymał odpowiedzi. Emily była wyraźnie zatrwożona i poprosiła,

żebym poszedł z nią na piętro. Przez dziesięć minut pukaliśmy i wołaliśmy (wiesz, jak długo trwa dziesięć minut?). Więc niech tam, rozwaliłem drzwi. Kate była w łóżku, głęboko, jak mi się zdawało, uśpiona. Ale oddech miała dość płytki, a na stoliku stała otwarta buteleczka z kapsułkami. Wcałe nie była pusta... wypełniona, jak sędzę, niemal w połowie. W każdym razie Emily nie mogła jej dobudzić. Niezmiernie wzburzona poprosiła, bym wezwał doktora Minka. Zanim przybył, Kate się oczywiście zbudziła i naskoczyła na nas z wyjątkową, złowrogą, pijacką gwałtownością. Wobec Emily przejawiała zimną furję, która rzeczywiście budziła przerażenie. Kiedy kazała nam się wynosić do diabła, zapewniam cię, że usłuchałem natychmiast. Doktor Mink zrobił jej płukanie żołądka i podał środek pobudzający... — Sam Yerger spogląda na zegarek - godzinę temu. Ten człowiek ma dość sporo odwagi. Nie umieścił jej w szpitalu, co inni na jego miejscu chętnie by zrobili. Emily zapytała, co proponuje. Odparł, że Kate obiecała przyjść do niego z wizytą w poniedziałek i że to mu wystarczy... A jeśli chodzi o pentobarbital, to nikt tak naprawdę nie może nikogo powstrzymać od połknięcia dowolnej liczby kapsułek w dowolnie wybranym momencie. Nawiasem mówiąc, doktor jest wielkim wielbicielem Etienne'a Sue. Zdołaliśmy jednak zdobyć buteleczkę...

- Sam! - Z góry dociera do nas głos ciotki, niski i bogaty w podteksty.

Yerger spogląda w dół, żeby zobaczyć, czy obcas jego buta jest właściwie ustawiony. Ruszam nerwowo na piętro, w obawie, że mógł nie dosłyszeć ostrzeżenia w ciotczynym głosie.

- Jeszcze jedno. Są tutaj Oscar i Edna. Nie wiedziałeś, że będą? Ale to chyba bez znaczenia, dla Kate jest to bowiem niezręczny moment. Cała sztuka w tym, by się pokazała. Oto nasz pomysł: ty się zjawiasz, o niczym nie wiedząc, przychodzisz w poszukiwaniu Kate i sprowadzasz ją na obiad.

Dostrzegam ciotkę w jadalni i wchodzę tam, żeby ją pocałować i porozmawiać z Oscarem Bollingiem i jego żoną. Sytuacja wydaje się opanowana. Stryj Jules śmieje się z czegoś razem z ciotką Edną. Chociaż ciotka Emily jest roztargniona, wsparła skroń na trzech palcach, mówi radośnie i mimo woli zastanawiam się, czy opowieść Sama nie jest przejaskrawiona. Stryj Oscar i ciotka Edna przyjechali z Feliciany na karnawał i wiosenną pielgrzymkę, doroczny objazd po starych domach i patiach. Ciotka Edna jest przystojną tęgawą kobietą z wesołymi czarnymi oczami i meszkiem pod nosem. Chociaż liczy co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, jej włosy są nadal czarne, a ich spiralne loki nad uszami przywodzą na myśl „krucze pukle”. Stryj Oscar jest wystrojony, ale widać u niego wpływ prowincji. Jako czwarty ze starszych braci Bollingów postanowił, że nie będzie ani żołnierzem, ani prawnikiem, ani lekarzem, lecz sklepikarzem - to znaczy do czasu niedawnego sukcesu w pokazywaniu Lynwood turystom za dolara od głowy. Pewnymi grymasami twarzy i ruchami głowy zaskakująco przypomina sędziego Anse'a, ma jednak spłaszczony grzbiet nosa, mniej ostro zarysowane czoło oraz życzliwość w figlarnych jasnobłękitnych oczach. Po śmierci braci i emigracji dziewcząt stary dom przypadł w spadku wujowi Oscarowi i ciotce Ednie. Szczerze mówiąc, nie stanowi on specjalnej atrakcji turystycznej (nikomu nigdy nie przyszło na myśl, by nadać mu nazwę, dopóki ciotka Edna nie wymyśliła Lynwood), jest bowiem rozległym gmaszyskiem i nie odznacza się żadnym szczególnym walorem oprócz głębokich werand oraz wysadzanej dębami alei dojazdowej. Stryj i ciotka zdołali go wspaniale odnowić, a nawet na stałe umieścić na liście miejsc na Szlaku Azalii. Co dziwne, to nie stryj Oscar, stary osadnik, odrestaurował dom w najlepszym stylu Natchez - dodając zadaszony chodnik prowadzący do kuchni zewnętrznej, serwując napój miętowy tam, gdzie Bollingowie zawsze raczyli się wyłącznie grogiem, a nawet strojąc biednego starego Shada w liberię i stawiając go przy szosie z dzwonkiem na kolację - to nie stryj Oscar, lecz

ciotka Edna, córka aptekarza z północnej części stanu Nowy Jork, którą poznał i poślubił podczas szkolenia w Plattsburgu w czasie pierwszej wojny światowej.

Kiedy się pochylam, żeby ją pocałować, ciotka Emily nie daje mi żadnego znaku poza zwykłym spojrzeniem szarych oczu i tradycyjnymi dwoma klepinięciami w policzek - żadnego znaku, chyba że jest nim pewna głębia ironii w spojrzeniu, szarość pod warstwą szarości.

Gdy wchodzę na górę, dociera do mnie urwane gardłowe słowo, zwiastujące czyjaś obecność, zagłuszone skrzypieniem krzesła, jak gdyby przesławszy mi sygnał i teraz tego żałując, musiało udać, że jest tylko drobnym domowym odgłosem. Na półpiętrze znajduje się ciemna antresola, urządzona jako umeblowany pokój. To miejsce, obok którego przechodzi się dwadzieścia razy dziennie i do którego pragnie się wejść nie bardziej niż do wiszącego na ścianie obrazu; miejsce, do którego nie ma się ochoty nawet zajrzeć, kiedy się jednak już tam wejdzie, wchodzi się z osobliwym wrażeniem dogłębnego wkraczania w obraz, żywy obraz, w którym przestrzeń jest niezamieszкана i z którego widok domu, korytarza i jadalni poniżej wydaje się dziwny i uprzywilejowany zarazem. Kate siedzi tam w mroku, obok porcelanowego kominka z przeszklonymi kasetkami na medale, z pikowanymi cygańskimi kapciami, z kryształem inkrustowanym złotem oraz ambrotypem kapitana Aleksa Bollinga z Drugiego Pułku Luizjańskiej Piechoty, zamkniętym, i to szczelnie, na zawsze szybą osadzoną w ścianie. To zamknięcie pobudzało mnie kiedyś do bardzo intensywnych domysłów samą swoją trwałością - pomyśleć o małych przedmiotach zamkniętych na zawsze w tej samej pustelniczej atmosferze tysięcy dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Kate, uwolniona już od potrzeb i konieczności właściwych wszystkim przechodniom, wtulona w swoje ramiona, z radością robi mi miejsce na dwuosobowej kanapie. Dopiero później zastanawiam się, dlaczego wygląda tak dobrze:

jest, po raz pierwszy od Bożego Narodzenia, cała wystrojona. To ten zapach jej perfum, jej szeleszczące nylonem nogi, biała sukienka na tle jej ciemnej skóry, prawdziwa suknia, prążkowana i z falbanami, chwycona teraz w dłonie Kate i rozłożona z dała ode mnie.

Jesteśmy zwróceni pod takim kątem, że widzimy jadalnię i całe zebrane w niej towarzystwo z wyjątkiem ciotki Emily. Widać jedynie nadgarstek jej prawej ręki i dłoń gładzącą twarz Iwa z chorobliwie rozszczepionym nosem wyrzeźbioną na poręczy fotela.

- Powiedz matce, że czuję się świetnie i zejść na dół później. Nie jestem głodna. - To tak, jakby powiedziała: „Wtedy rzeczywiście będę się świetnie czuła”. Właśnie świadomość, że na nią czekają, i tylko to, nie daje Kate spokoju.

Gdy wracam (ciotka powitała mnie jednym ponurym skinieniem głowy), moja kuzynka pali papierosa, zaciągając się głęboko i wydmuchując smugi dymu z płuc. Założyła nogę na nogę, macha stopą, zapalniczkę i pudełko trzyma na kolanach.

- Widziałeś się z Samem? - pyta.

- Tak.

- Co ci powiedział?

- Że miałaś złą noc i że był tu Merle. — Mówię prawdę, bo nie mam dość trzeźwości umysłu, by powiedzieć cokolwiek innego. Kate o tym wie: jestem tym niezbyt rozgarniętym, którego dorośli wypytyują na stronie.

- Hm. Chcesz znać prawdę? Miałam bardzo dobrą noc. Być może najlepszą noc w swoim życiu.

Sam uderza nożem o kielich. Zgodnie ze swoim zwyczajem zwraca się przez stół do mojej ciotki, świadom jednak tego, że inni podsłuchują. Siedzący na prawo od niego stryj Jules czyni to z zadowoleniem i patrzy na niego z wyrazem nieprzytomnej niemal życzliwości. To jeden z „obiadów” Em. Sam przemawia na Forum, Em przewodniczy obradom. Dawno temu on, stryj

Jules, tak samo przenikliwie, jak rozpoznaje oznaki chorób i zdrowia w korporacjach, dostrzegł u wykładowców Emily pewną prawidłowość. Okazało się, że osoby prezentujące najbardziej postępowe poglądy na każdy temat i wyjątkowo wręcz wrażliwe na prawa mniejszości (oprócz katolików, ale to stryjowi nie przekadzało) mimo wszystko przestrzegają takich samych tabu i dopełniają takich samych obrzędów. Stryj Oscar nie. Gdy tam siedzi, odchylony i wpatrzony w żyrandol, on również zdaje sobie sprawę, że znalazł się w dość napuszonym towarzystwie, ale nie dokona takiego odkrycia; za chwilę naruszy jedno tabu i będzie bluźnił przeciw jednemu obrzędowi, i z lubością opowiadał o Murzynach, pani Roosevelt, makaroniarzach oraz Żydach, o wszystkich jednym tchem. Ale stryj Jules nie naruszy niczych praw ani nie pozwoli naruszyć swoich. Jego zbroją jest brak powagi. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy traktować ich — wykładowców zaproszonych przez ciotkę Emily — docinków jako napaści na swoje głębokie głupie przekonania. Najgorsze, co mogą zrobić, to żyć w zgodzie z sobą, zachowywać się tak, jak tego oczekiwał od „ludzi Em”. Yerger dzwoni swoim kielichem.

- W ubiegły czwartek, droga Emily, Erie wrócił z Genewy i spotkałem się z nim na lotnisku. Twarz miał białą jak kreda...

Kate, która dotąd siedziała wygodnie i spoglądała spod oka na Sama jak teatromanka w łoży, zaczyna wyglądać celofan na swojej paczce papierosów.

- Rozmawialiśmy w ten sposób wczoraj wieczorem. Byłam bardzo szczęśliwa...

Ciotka Edna wychyla się, żeby podsłuchać monolog Yergera. Jeszcze nie pojęła jego sposobu mówienia, jest więc zderwowana.

- Ale co człowiek może zrobić? - pyta i nawet załamuje ręce. Ciotka Edna to osoba niezwykle miła, lecz jest jedną z tych naszych krewnych, których unikam. W oczach widać jej duszę i gdy się spotykamy, zapuszcza w głąb mojej duszy przenikliwe

teozoficzne spojrzenia i chociaż odpowiadam tym samym i w sumie jestem dość sympatyczny, nie jest to łatwa sprawa.

— Sam jest człowiekiem bardzo szlachetnym i miłym - mówi Kate.

— Wiem.

— Bardzo cię lubi. Masz zamiar wysłuchać jego wykładu?

— Chciałbym, ale jutro rano muszę wcześniej wstać. Lecę do Chicago.

— Po co?

— W interesach.

— Spędziłam cudowny wieczór, ale gdy położyłam się spać, trochę się bałam. Wiesz, jak trzeba się chronić przed wzlotami Sama?

- Tak.

— Wszystko, co wzlata, musi opaść, a ja byłam na wysokości dziesięciu mil.

— Wiem.

— Miałam się jednak na baczności i nie upadłam. Od razu poszłam spać. Parę godzin później nagle się zbudziłam. Nie działo się nic złego. Byłam zupełnie rozbudzona i całkowicie sprawna umysłowo. Pomyślałam o twojej propozycji i wydało mi się, że to jednak chyba możliwe. Bylebym tylko wszystkiego nie zepsuła.

Mercer podaje półmisek z batatami. Przy każdym nakryciu przestaje oddychać, odrzucając do tyłu głowę i wytrzeszczając oczy, po czym ze stłumionym odgłosem wypuszcza powietrze z płuc.

Stryj Oscar unosi rękę nad oparciem krzesła i mówi coś do Sama. Nie rozumiem, co, ale rozpoznaję ten głos; swobodne rozwlekłe słowa przechodzą w chrapliwy śmiech, który wymaga naszej zgody i grozi odwetem, gdy mu jej odmówimy. Mimo to lubiłem sklep stryja Oscara w Felicianie - słyszeć teraz jego odgłos to tak, jakby czuć zapach desek podłogi zepsutej mokrą groweną. Ale nawet wtedy obecność tam i jego nagabywania

były niebezpieczne. Niebezpiecznie było widzieć, jak toczy bitwę na zabójczej arenie wiejskiego sklepu, widzieć, jak przygotowuje się do unicestwienia swojego przeciwnika i chcąc się zabezpieczyć przed kontratakami, przechodzi w swobodny chrypliwy śmiech i przypisuje sobie zwycięstwo.

- Oscarze! — krzyczy ciotka Edna, udając, że jest w świetnym humorze. Słyszysz już Sama opowiadającego o Dallas.

- W zeszłym tygodniu usłyszałem wspaniały komentarz o umysłowości Południa...

Pochylając się, ciotka Edna gwałtownie i czule klepie swojego męża, co oznacza, że jest on dobrym człowiekiem i że wszyscy go kochają. Oznacza to również, że stryj może się zamknąć.

- Nie było mowy o śnie - mówi Kate. - Zesłam na dół, znalazłam jedną z powieści kryminalnych ojca, wróciłam do łóżka i przeczytałam ją w całości. Kryminał opowiadał o jakichś ludziach z Los Angeles. Dom był pogrążony w ciemności i bezruchu, a na rzece co jakiś czas rozbrzmiewała syrena statku. Zrozumiałam, jak może wyglądać moje życie — egzystencja porządnej osóбки, takiej jak Della Street, co wieczór cerującej pończochy. Ale wtedy przypomniałam sobie, co się stało w Memphis. Wiedziałeś, że kiedyś tam mieszkałam?

Ciotka Emily zwraca na wuja Oscara równie mało uwagi jak na Sama. Paznokciem kciuka metodycznie „czesze” wyłobienia w drewnie wyobrażające lwia grzywę.

- To było w pięćdziesiątym pierwszym... ty służyłeś w armii. Ja i ojciec toczyliśmy boje o politykę. Teraz uzmysłowiłam sobie, że naprawdę mógł mnie wyrzucić z domu. Tak czy inaczej, matka zasugerowała, że może byłoby dobrze, gdybym pojechała w odwiedziny do jej dawnej szkolnej koleżanki w Memphis, pani Boykin Lamar, naprawdę niezwykłej kobiety. Boykin Lamar śpiewała w Civic Opera w Nowym Jorku i napisała dość zabawną książkę o swoich podróżach po Europie w okresie dzieciństwa. Państwo Lamar byli dla mnie bardzo życzliwi, ale nikt nie umiał wymyślić tematu rozmowy. Wieczór w wie-

czór siedzieliśmy, słuchając oper z gramofonu i bojąc się chwili, gdy muzyka umilknie i ktoś będzie musiał coś powiedzieć. Zrobiłam się tak nerwowa, że pewnego wieczoru pośliznęłam się przy palenisku i wpadłam do ognia. Możesz uwierzyć, że przejmujący ból fizyczny był dla mnie ulgą? Piekło nie może być ogniem - są gorsze rzeczy. Przeprowadziłam się do hotelu i przez jakiś czas czułam się świetnie. Miałam pracę w opiece społecznej i mnóstwo randek. Ale po pewnym czasie mój pokój zaczął czynić mi wyrzuty. Gdy przychodziłam po południu z pracy, słońce zachodziło po drugiej stronie rzeki w Arkansas i co dzień jego żółte światło napawało mnie coraz większym smutkiem. Zaś Arkansas na żółtym Zachodzie... o mój Boże, nie masz pojęcia, jak smutny stanowiło widok. Pewnego popołudnia spakowałam walizkę i pojechałam autobusem Illinois Central do domu.

Sam przemawia w zupełnie dobrym stylu, przez cały czas odciskając ostrzem noża płytkie rowki na obrusie. Do jego głosu wkrada się nowy, wprowadzający ton - jak w symfonii, gdy zbliża się jej „dobra” część. Wiem, że Sam szykuje się do jednej ze swoich opowieści. Te opowieści wzbudzały we mnie kiedyś tak głębokie uznanie i sprawiały mi tak wielką przyjemność, że graniczyło to z rozdrażnieniem. Na ciemnej werandzie w Felicianie opowiedział nam raz o czasach, gdy wybrał się w podróż do źródeł Orinoko, nabawił się febry i przez wiele tygodni był złożony chorobą. Pewnego wieczoru usłyszała, jak ktoś niesamowicie pięknym głosem śpiewa wszystkie pieśni *Podróży zimowej*. Był przekonany, że to delirium, dopóki rano nie poznał ich wykonawcy, austriackiego inżyniera, który śpiewał lepiej niż Lotte Lehman... itd. Gdy Sam skończył, nie posiadałam się niemal z drażniącej rozkoszy i złościłem się na innych, ponieważ nie byli wystarczająco poruszeni tym przeżyciem.

- Emily, czy pamiętasz ten wieczór, gdy widzieliśmy *There Shall Be No Night* i byłaś tak poruszona, że nalegałaś, by iść pieczo aż do samego hotelu Carlyle?

Kate nie zwraca jednak uwagi na toczącą się rozmowę. Unosi swój obskubany kciuk do światła i dokładnie mu się przygląda.

- Wczoraj w nocy wszystko było znakomicie, dopóki nie skończyłam czytać książki. Wtedy stało się to kwestią oczekiwaną. „Co teraz?” - pomyślałam. Zaczęłam się trochę bać... Po raz pierwszy miałam wrażenie, że zbliżam się do końca liny, po której stąпам. Stałam się świadoma własnego oddechu. Wszystko zaczęło trochę tracić znaczenie. Przyrządziłam sobie małego drinka, zażyłam dwie kapsułki nembutalu i czekałam na kopa.

Po raz pierwszy powiedziała o swoich kapsułkach. Moja prostoduszność dobrze jej służy.

- Wiesz, co się potem stało? Co ci powiedział Sam? Nieważne. Widziałeś się z Merlem? Nie? Hm. Stała się najbardziej banalna rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Nic wspaniałego, chociaż chciałabym myśleć, że to było wspaniałe. Wzięłam w sumie sześć lub osiem kapsułek. Wiedziałam, że to mnie nie zabije. Mój Boże, przecież nie chciałam umrzeć... nie w tamtym momencie. Chciałam tylko... się oderwać, wyrwać z martwego punktu... Posłuchaj. Czyż nie jest prawdą, że jedynymi szczęśliwymi mężczyznami są mężczyźni zranieni? Przyznaj to! Czyż to nie jest prawdą? - Kate milknie i zaczyna gwałtownie ziewać. - Czułam się tak dziwnie. Wszystko sprawiało wrażenie tak... nieważnego na swój sposób, rozumiesz? - Kołysze stopą i nuci jakąś melodyjkę. - Prawdę mówiąc, nie pamiętam za dobrze. Jakie to dziwne. Zawsze pamiętałam każdy drobiazg.

- ...i rozmawiałaś ze mną po raz pierwszy o swoich mesjanistycznych nadziejach? - Sam uśmiecha się do ciotki Emily. W Felicianie spekulowaliśmy na temat nowego mesjasza, uczonego-filozofa-mistyka, który przejdzie zamaszystym krokiem wśród ruin starego świata z *Bhagawadgitą* w jednej i licznikiem Geigera-Miillera w drugiej dłoni. Lecz dzisiaj Sam błędnie ocenia sytuację. Ciotka milczy. Paznokiec jej kciuka dalej czesze lwią grzywę.

Po obiedzie stryj Oscar czeka w jadalni, aż inni wyjdą, po czym chwyta się za krocze i mocno potrząsa nogą. Wstając chwiejnie, nagle senny jak po upiciu się.

- Zaczekaj. - Kate natarczywie chwyta mnie obiema dłońmi za rękę. - Jadę z tobą.

- Dobra, ale najpierw chyba zdrzemnę się na werandzie.

- Chodzi mi o wyjazd do Chicago.

- Do Chicago?

- Tak. Masz coś przeciwko temu?

- Nie.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro rano.

- Mógłbyś zrobić to dziś wieczorem i kupić dwa bilety na pociąg?

- Dlaczego na pociąg? - Zaczynam sobie uświadamiać, jak niewiele spałem w minionym tygodniu.

- Wiesz co? Ty się połóż, a ja się tym zajmę.

- W porządku.

- Myślisz, że potem moglibyśmy wybrać się na zachód i pobyć trochę w jakimś miasteczku, na przykład w Modesto bądź we Fresno?

- Niewykluczone.

- Wszystko przygotowuję. —Wydaje się bardzo zadowolona.

- Masz jakieś pieniądze?

- Tak.

- Daj mi.

To, że Kate działa w takim pośpiechu (wyszła stukając obcasami, pod rękę z macochą, porwała swoją torebkę i na oczach trochę ponuro, jak mi się zdawało, przyglądającego się temu Sama Yergera odjechała swoim niewygodnym małym plymouthem), powinno zaskakiwać — myślę sennie w hamaku, po czym zastanawiam się, skąd ten pośpiech. To przez pociągi. Jeśli chodzi o podróż, o zwyczajną sprawę wyjazdu, wejścia do

wagonu sypialnego i wymknięcia się wieczorem z miasta, Kate jest równie szybka i nieokiełznana jak Della Street.

Później, na Prytaniu, stryj Oscar wsadza ciotkę Ednę do kombi - jadą na zwiedzanie „patio w świetle świec” - i z naburmuszoną miną, odchylony, z ręką przyciśniętą do boku przechodzi na drugą stronę auta. Sam Yerger zbliża się na palcach do siatki.

-A tera spójrz tutaj, bracie Andy. Czy to aby nie Kingfish i Madam Queen? Na mur-beton.

Gdy wyczerpanie wywołuje zawroty głowy, śmiechu należy się wystrzegać tak samo jak odruchów wymiotnych.

— Przedawkowałeś, bracie Andy?

- Nie. - Mój żołądek sprawia Samowi dodatkową przyjemność ostatnią rozpaczliwą wędrówką do gardła. O Boże.

Później do mojej dłoni trafia chyba kanciasta butelka ogrzana ciałem Yergera i znana moim palcom dzięki szklanej przędzie pozostawionej przez formę odlewniczą oraz apteczny symbol *oz* lub 3 bądź § — a wraz z nią parę wskazówek, z których należy pamiętać jedynie to, że przekazano je takim samym tonem, jakim ciotka informowała o jednym ze swoich wspaniałych conceptów terapeutycznych.

2

Trzy godziny później jedziemy, bujając się po nierównej drodze, przez środek bagien Ponchitoula.

Ledwie otwieramy ciężkie drzwi wagonu Sieur Iberville i wchodzimy do stalowego korytarza z jego lodowatą ciszą oraz pojedynczymi głosami dolatującymi z otwartych przedziałów i zgubną wonią euforii w nozdrzach, a ostatnie dziesięć lat mojego życia przybiera mglistą postać pobytu ograniczonego podróżami koleją. Właśnie dziesięć lat temu po raz ostatni jechałem pociągiem, z San Francisco do Nowego Orleanu, a więc tych dziesięć

lat, przez które nie korzystałem z osobliwej wiedzy tajemnej pasażerów pociągów, tworzyło wyżyny, z których objawiają się zarówno żałosne śmieci przeszłości, jak i przyszłość jasna i prosta jak tylko być może, oraz sama jazda, nasza uprzywilejowana podróż przez świat. Ale kolej się zmieniała. Zniknęły górne i dolne kuszetki, przepierzenia i korbki, a także zielony welur; został tylko steward, chyba nawet ten sam człowiek, czarnoskóry mężczyzna z dłońmi koloru krewetek i szyją nabrzmiałą od niechęci. Nasze przedziały okazują się małymi trumnami dla jednej osoby. Zauważam, że od czasu do czasu ich lokatorzy wystawiają głowy na korytarz, spragnieni widoku przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

Kate udzieliła sobie osobliwej pociągowej dyspensy. Jej szary zakiet nie sięga szerokich bioder, a obcisła spódnica opina pośladki w sympatycznie wulgarny sposób. W drodze do wagonu z oknami panoramicznymi zaciąga mnie na pomost korytarza i całuje, sięgając ręką pod moją marynarką jak kelnerka. Dla uczczenia Mardi Gras umalowała oczy błyszczącym tuszem i teraz patrzy na mnie czarnym nieustępliwym spojrzeniem.

- Zamieszkamy w Modesto?

- Oczywiście - mówię, zaniepokojony jej filuternością. Nie czuje się tak dobrze, jak udaje. Przecież w pociągu nie jest bezpieczna; chodzi raczej o to, że czymś w rodzaju brawury może stawić czoło niebezpieczeństwu.

Wagon z szybami panoramicznymi jest zatłoczony, lecz udaje nam się znaleźć sąsiednie miejsca na kanapie - siedzę przyściśnięty do faceta czytającego gazetę. Suniemy wśród domków Carrollton przecinających podwórka dziwnymi trapezoidami, a potem wśród ośrodków rekreacyjno-sportowych i cmentarzy Metaire. W zapadającym zmierzchu te ostatnie wyglądają z początku jak miasta z rzędami białych grobowców, niekiedy dwu- bądź trzypiętrowych, tworzących mieszkania i domy mieszkalne, z uliczkami, skrzyżowaniami, a nawet trawnikami. A wszystko to jest tak proporcjonalne, że w pierwszej chwili,

wskutek niedoskonałości ludzkiego wzroku, odcina się od tła niczym oglądane z daleka miasto. Na przedmieściach zaś frunimy niczym czarownice nad wysypanymi żwirem dachami.

Stopniowo dociera do mojej świadomości, że mężczyzna po drugiej stronie przejścia patrzy na nas dziwnie natarczywie. Kate trąca mnie w ramię. To Sidney Gross i jego żona, bez wątplenia również jadący na konwencję. Sidney, syn Sidneya Grossa z firmy Danziger and Gross, jest niskim chłopakiem o świeżej twarzy, falistych włosach i bystrym promiennym spojrzeniu, jakie miewają czasem Żydzi z Południa. Zawsze łączyły nas szczególnie serdeczne stosunki. Sidney ożenił się z ładną dziewczyną z Missisipi. Ona, w odróżnieniu od niego, wystrzega się takich spotkań - pewnie wie, które z nas odezwało się pierwsze podczas ostatniego spotkania - rzuca więc senne spojrzenia nad naszymi głowami, mimo woli zatrzymując wzrok na białej twarzy Kate i jej czarnych oczach w oprawie sztywnych sterzących rzęs. Jednak Sidney pochyla ku nam, rozpromieniony, swoje silne plecy kucyka z głową mocno osadzoną na ramionach i z płasko przylegającymi do czaszki uszami.

- No, no, no. Kupiec Jack. Więc ty też spóźniłeś się z rezerwacją biletów na samolot.

- Witaj, Sidneyu. Witaj, Margot. To jest Kate Cutrer.

Margot robi się bardzo życzliwa, w stylu plotkarek z delty Missisipi.

- Zapomnieliście, że to karnawał, i nie mogliście polecieć?

- Nie, lubimy podróżować koleją.

Sidney jest podekscytowany - nie podróżą, jak ja, ale konwencją. Pochylając się przez przejście ze zwiniętym w rulon programem w dłoni, wyjaśnia, że ma uczestniczyć w dyskusji panelowej na temat ulg podatkowych dla funduszy obligacji.

- A ty?

- Myślę, że wezmę udział w czymś, co nazywają Sesją Domorosłych Filozofów.

- Spodoba ci się. Wszyscy mówią prosto z głowy. Można zdjąć marynarkę, wstać i rozprostować kości. Co tylko chcesz. W zeszłym roku mieliśmy zabawnego gościa z Georgii. - Sidney gwałtownie szuka sposobu przekazania, jak bardzo tamten był zabawny, i nie znalazłszy, mówi dalej. - Co za typ. Przekomiczny. Jaki jest temat?

- Rywalizacja ze sprzedawcami polis na życie o zmiennej wartości.

- A tak - odpowiada Sidney z kwaśną miną typowego przedstawiciela naszej branży. —Tym się nie przejmuję. - Przesuwa papierowy rulon w dłoni. - A ty?

- Nie.

Sidney proponuje partyjkę brydża, ale Kate się wymawia. Grossowie przesiadają się do stołu w kącie wagonu i zaczynają grać w remika.

Kate, która grzebała w swojej torebce, nieruchomieje. Czuję na sobie jej wzrok.

- Masz moje kapsułki?

- Słucham?

- Moje kapsułki.

- Owszem. Zapomniałem o nich.

Kate przyjmuje buteleczkę, nie odrywając wzroku od mojej twarzy, wkłada lek do torebki i zatrząskuje ją.

- To do ciebie niepodobne.

- Ja ich nie wziąłem.

- A kto wziął?

- Dał mi je Sam. Kiedy leżałem w hamaku. Ledwie to pamiętam.

- Zabrał je z mojej torebki.

- Nie wiem.

Kate siedzi przez długi czas, trzymając dłonie na kolanach, z zaciśniętymi, lekko poruszającymi się palcami, po czym gwałtownie wstaje i wychodzi. Gdy wraca, na bladej twarzy nie ma już makijażu, włosy przy czole nadal są ciemne od kropelek

potu. Z równowagi wytrącił ją nie incydent z kapsułkami, ale spotkanie z Grossem i jego żoną. Wszystko psuje perspektywa miłej rozmowy, wspaniałej zabawy, jak ująłby to Sidney („Zamartwialiśmy się, że samolot odleciał bez nas, gdy zjawia się Jack Bolling i urządzamy sobie ubaw po pachy”) - a mogliśmy jechać w kołyszącym się pociągu przez stare mroczne Missisipi, sami pośród obcych. Mimo to Kate czuje się lepiej. Może pod wpływem ożywającej nadziei, że dzięki remikowi pozbedziemy się Grossów, a może podziałała pierwsza ukryta nadzieja, obudzona przez substancje chemiczne przedostające się do jej krwi.

Nabierając teraz prędkości, zostawiamy bagna w tyle. Kiwamy się ramię w ramię i obserwujemy światła aut na biegnącej tamtędy drodze, mrugające przez torfowisko niczym wielkie żółte robaczki świętojańskie.

Powraca niepożądana senność. Rozpoznaję w niej coś w rodzaju kapryśnego półmroku, który mnie ostatnio ogarnia, półmroku, w którym śni się sny na jawie, natomiast prawdziwy sen nigdy nie nadchodzi.

Mężczyzna siedzący obok mnie wysiada w St Louis. Gdy konduktor przychodzi zebrać nasze bilety, zwraca mu odcinek: mój sąsiad jedzie do domu. Ma na sobie porządny garnitur. Siedzi z nogą założoną na nogę, jeden przyzwoicie odziany pośladek podejżdza do góry jak szynka, mięsień łydki utrzymuje podudzie pod rozwartym kątem. Jego brunatne włosy są młodzieńcze (on sam może mieć trzydzieści osiem lub czterdzieści lat). Z kosmykiem opadającym na czoło i w czarnych okularach bardzo przypomina aktora Gary'ego Merrilla i posiada identyczne uwierzytelnione prawo do zajmowania przyjemnego miejsca swoją sympatyczną osobą. Ten zdrowy jak ryba człowiek tłumi donośne czknięcie chusteczką. Tego wieczoru z pewnością zjadł wyśmienity posiłek w Galatoires i krew w jego żyłach wrotnej niesie obfite żniwo odżywczych czerwonych krwinek. Kiedy zaczyna przeglądać gazetę, otwiera ją niczym książkę i nie pozostaje mi nic innego, jak czytać razem z nim. Zatrzymujemy się przy

reklamie klubu nocnego przy Bourbon Street w postaci zdjęcia tancerki z naoliwionym ciałem. Jej mięśnie trójgłowe prężą się jak u rasowej klatczy. Przez chwilę obaj patrzymy na nią spod półprzymkniętych powiek, po czym przesuwamy wzrok dalej. Teraz mój sąsiad znajduje to, czego szukał, i niczym pasażer nowojorskiego metra składa gazetę wpół, potem jeszcze raz, i drugi, w zgrabny prostokąt szerokości dokładnie dwóch kolumn. Opierając go na kolanie, wyciąga smukły złoty ołówek, wprawnym ruchem ręki reguluje wysunięcie wkładu i podkreśla kilka zdań prostymi czarnymi liniami (nawykł do podkreślania). Śniąc na jawie u jego boku, mogę dojrzeć jedynie:

Aby pogłębić i wzbogacić małżeńską...

To rubryka porad psychologicznych, której wiernym czytelnikiem jestem i ja.

Pociąg kołyszac się jedzie przez bagna. Mieszkańcowi St Louis, przechylonemu w prawo i oddychającemu głęboko przez porośnięte sztywnymi włosami nozdrza, udaje się siedzieć w taki sposób, że jego udo tworzy niewzruszony pulpit do pisania.

W głosach pasażerów wagonu słychać rozdrażnienie. Wygląda na to, że podróżują razem od długiego czasu i pogłębili w sobie tajemne zrozumienie oraz dawne urazy. Rozmawiają ze sobą ze złością językiem pełnym niedomowień.

Czuwanie jest rodzajem choroby, a przed snem chroni na zawsze nieprzytomna, wynikająca z poczucia obowiązku czujność. Sny na jawie zdarzają się równie nieregularnie jak pożary torfowiska.

Doktor Bob Dean z żoną podpisują egzemplarze swojej książki *Technique in Marriage* („Technika w małżeństwie”) w domu towarowym przy Canal Street. Para urodziwych ludzi. Przyjechałem pewnie z samego Gentilly, stoję przyciśnięty do stołu, na którym spoczywa piramida książek. Nie mogę oderwać oczu od Deanów: podstarzałe małżeństwo, nadal jednak oboje

przystojni i oboje, co dość dziwne, mocno piegowaci. Czekając na rozpoczęcie spotkania, świetnie się ze sobą bawią i przekomarzają w profesjonalnym stylu showmanów (sądzę, że te preliminaria noszą nazwę rozgrzewki). „Nie, nigdy się nie kłócimy - mówi Bob Dean. — Ilekroć bowiem zaczyna się spór, zaglądamy do rozdziału na temat kłótni, który napisałem”. „Nie, mój drogi - odpowiada Jackie Dean. - To ja napisałam ten rozdział...” - itd. Wszyscy się śmieją. Zwracam uwagę, że tłoczący się wokół mnie tłum to prawie same kobiety, energiczne korpulentne panie w średnim wieku. Spod opadających powiek przyglądam się Deanom, dziwnie poruszony ich starym numerem, który odgrywiają tak swobodnie, że podczas wymiany dowcipnych uwag potrafią rzucać rzeczowe spojrzenia, jakby byli tu sami. Kiedy jednak biorą się do pracy, stają się tak poważni jak duchoborcy i wytwarzają wokół siebie aurę gorliwej, niemal ewangelicznej uczynności. Jeden egzemplarz książki leży otwarty na stole. Czytam: „A teraz z czułością zdejmij dłoń z sutka partnerki i delikatnie dotykaj...” Nie sposób nie wyobrazić ich sobie podczas badań, dostojnych niczym para brontozaurów, z ciężkimi piegowatymi członkami splecionymi w uścisku, z dłońmi umiejętnie odkrywającymi strefy erogenne, pigmentowane otoczki brodawek sutkowych, położone w ustronnych miejscach gruczoły śluzowe, uśpione sieci naczyń krwionośnych. Nigdy wcześniej nie czułem tak gwałtownego mrowienia na swoim ciele.

Moja kiwająca się niczym żonkil głowa opada dobrych kilka centymetrów w stronę sąsiada, po czym podrywa się w górę. Kate siedzi przy mnie, drząc jak osika, on zaś jest masywny i ciepły jak piec kaflowy. Gdy nasz pociąg kołysze się w tej jedynej w swoim rodzaju podróży w czasoprzestrzeni, tysiące drobnych rzeczy-zdarzeń bombardują nas niczym wiatr kosmiczny. W rowie za oknem leży skrawek gazety z datą trzeciego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. Mój licznik Geigera-Miillera stuka jak dalekopis, ale wydaje się, że nikt poza

mną tego nie zauważa. Wszyscy są pochłonięci lekturą swoich czasopism. Kate drży niczym liść, ponieważ marzy o tym, by być kimś, kto jest gdziekolwiek, a nie potrafi. Mieszkaniec St Louis czyta nagłówki:

UCZONY PRZEWIDUJE PRZYSZŁOŚĆ,
O ILE ENERGIA JĄDROWA BĘDZIE
WŁAŚCIWIE WYKORZYSTYWANA

W ruch idzie złoty ołówek i kreśli równą czarną ramkę. Po chwilowej lekturze mój sąsiad wraca do początku artykułu i już ma zrobić drugą koncentryczną ramkę, ale rozmyśla się, wyjmuje z kieszeni srebrny uniwersalny scyzoryk, otwiera go i nożyczkami wycina cały tekst, składa go i umieszcza w portfelu. Nie sposób dostrzec żadnego z podkreślonych ustępów z wyjątkiem wyrażenia: „stopniowa konwergencja fizyki i socjologii”.

Bardzo dobry zwrot. Nie mogę nie podziwiać mojego sąsiada za jego uporządkowane życie, za jego złoty ołówek oraz scyzoryk z nożyczkami i za to, jak wycina artykuły na temat konwergencji nauk fizycznych i społecznych; nagle czuję, że w ciągu kilku minionych dni moje życie podupało. Nie jadam już i nie śpiam regularnie ani nie zapisuję filozoficznych spostrzeżeń w swoim notesie, a za paznokciami mam brud. Moje poszukiwania odebrały mi zadowolenie z przyzwoitego życia w Gently. Nie dawniej niż tydzień temu taki zwrot jak: „oczekując z nadzieją stopniowej konwergencji nauk fizycznych i społecznych” wywołały u mnie co najwyżej ironiczne zmarszczenie brwi. Teraz brzmi niczym skowyt na całych bagnach Ponchitoul, prawdziwy dźwiękowy i duchowy wyraz rozpacz.

Kate przestała drżeć i gdy zapala papierosa, jestem pewny, że czuje się lepiej. Mylę się jednak.

— Och — wzdycha dla pozorów i znowu podrywa się z miejsca. Wagon szarpie, rzuca ją na fotel Grossa i tam zatrzymuje

— przez chwilę można by ją wziąć za urzeczoną obserwatorkę gry w remika. Sidney stuka talią o wypolerowane drewno, dopóki karty nie ułożą się idealnie równo. Złota obrączka na jego małym palcu zdaje się służyć jako środek, zgrabne zapięcie, którym można okiełznać i wykończyć ruchy jego ręki.

Mija pół godziny, a Kate nie wraca. Odnajduję ją w kuszetce, jak siedzi z założonymi rękami i twarzą zwróconą ku ciemnej szybie. Siadam tuż obok.

- Dobrze się czujesz?

Kiwa powoli głową w stronę okna, ale policzkiem wtula się w moje ramię. Za oknem kwadrat żółtego światła umyka wzdłuż wału, opada w stronę lasów i pół, po czym wraca z hukiem jak nowy. Nagle pojawia się radosna atrakcyjna kobieta. Kate pochyla się do przodu, wtulając się w swoje ramiona.

- Tak. Z tobą zawsze czuję się nie najgorzej.

- Czemu?

- Nie dzięki tobie. Przeciwnie. Inni są bardziej życzliwie nastawieni niż ty, zwłaszcza matka i Sam.

- A Merle?

- Merle! Słuchaj, przy nim mogłabym puszczać wiatry, a on posłałby mi to samo szybkie pochwalne spojrzenie. Ale ty, ty jesteś bardziej stuknięty ode mnie. Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Myślisz, że to wystarczający powód do zawarcia małżeństwa?

- Nie gorszy od innych. Lepszy niż miłość.

- Miłość! Co ty wiesz o miłości?

- Nie powiedziałem, że coś wiem.

Kate z powrotem siedzi przy swoim oknie, porusza ręką, żeby zobaczyć, jak ta przesuwa się w lecącym żółtym kwadracie. Garbimy się, stykając kolana i nosy jak dwa diabły na planszy Rorschacha. W kąciu jej oka coś błyszczy. Na pewno nie łza.

- To dopiero karnawał. Dwie propozycje małżeństwa w jeden Mardi Gras.

- Od kogo jeszcze?
- Od Sama.
- Nie żartuj.
- Nie żartuję. I powiem ci coś jeszcze. Za tą fasadą kryje się prawdziwy, w gruncie rzeczy samotny człowiek.

- Wiem.
- Jesteś gorszy od Sama. - Kate jest zła.
- Pod jakim względem?
- Sam to intrygant. I też mnie lubi. Wie, że kiedyś będę dość bogata. Ale też mnie lubi. To nie takie złe. Intrygi są rzeczą ludzką. Trzeba być człowiekiem, żeby być intrygantem. Ilekroć przejrzę jedną z jego drobnych intryg, czuję przyływ serdeczności. „Aha — myślę sobie - więc tak musiał kiedyś wyglądać świat... Mężczyźni i kobiety pragnący czegoś gorąco i intrygującego, ile wlezie”. Ale ty...

- Tak?
- Ty jesteś podobny do mnie. Nie oszukujmy się więc.
Mówi bardziej opanowanym głosem. Być może to przez ten delikatny ruch pociągu, w rytmie którego kiwamy nieznacznie głowami: tak, tak, tak.

- Nie rozumiesz, że dla nas jest o wiele za późno na takie naiwne drobne intrygi?

- Jak małżeństwo?
- Przyznaj, że mógłbyś to przeprowadzić jedynie jako kolejne ze swoich pomysłowych badań.

- Czemu zatem tego nie zrobić?
- Przypominasz mi więźnia w celi śmierci, który czerpie perwersyjną przyjemność z robienia takich rzeczy, jak rejestrowanie się w komisji wyborczej. Uzmysłowiłam sobie, że cała twoja wesołość i dobry nastrój mają ten sam perwersyjny charakter. Nie, dziękuję. Mam już dosyć twoich figli skazańca.

- Co mamy do stracenia?
- Nie widzisz, że po wydarzeniach ubiegłej nocy to się na nic nie zda? Teraz nie mogę kręcić. Ale nie martw się. Nie za-

mierzam połknąć wszystkich tabletek naraz. Utrata nadziei nie jest taka zła. Istnieje coś gorszego: utrata nadziei i ukrywanie tego przed sobą samym.

- Świetnie. Trać nadzieję lub nie trać. Bój się lub nie bój. Ale tak czy inaczej wyjdź za mnie, a nadal będziemy mogli po spacerować w letni wieczór, z nadzieją czy bez, drżąc bądź nie, obejrzyć film i zjeść ostrygi na Magazine Street.

- Nie, nie.

- Nie rozumiem...

- Zgadza się. Nie rozumiesz. Wbrew temu, co myślisz, nie chodzi o jakąś jedną rzecz. Chodzi o wszystko. To wszystko jest takie potworne.

- Co jest potworne?

- Powiedziałam ci - mówi z rozdrażnieniem. - Wszystko. Nie czuję się na siłach. Posiadanie mężulka... byłbyś mężulkiem, najdroższy, i właśnie to jest niedorzeczne... uraziłam twoje uczucia? Odprowadzanie mężulka rano, lunch z dziewczętami, nawiązywanie bliskich stosunków w domu Eddiego i Neli, mały skok w bok z czymś mężulkiem, noszenie krążka macicznego, wychowywanie dwóch ślicznych chłopców i martwienie się przez następnych dwadzieścia lat o to, czy dostaną się do Princeton.

- Mówiłem ci, że zamieszkamy w Gentilly. Albo w Modesto.

- Byłam równie pomysłowa jak ty.

- Chcesz żyć jak Sam i Joel?

- Binx, Binx. Jesteś taki sam jak twoja ciotka. Kiedy wyznałam jej, jak się czuję, powiedziała: „Katherine, masz zupełną rację. Nigdy nie utrac swoich ideałów i entuzjazmu dla idei...” Myślała, że mówię o czymś związanym z literaturą bądź polityką, albo o arcydziełach literatury światowej, na litość boską! Pomyślałam sobie: „Czy właśnie to robię?”, wybiegłam i zażyłam cztery tabletki. Nawiasem mówiąc, oni wszyscy myślą się co do moich skłonności. Wszyscy myślą, że zaraz popełnię samobójstwo. To jakiś żart. Prawda oczywiście wygląda zupełnie

inaczej: samobójstwo to jedyna rzecz, która trzyma mnie przy życiu. Ilekroć wszystko inne zawodzi, wystarczy, że pomyślę o samobójstwie i za dwie sekundy cała jestem w skowronkach. Ale gdybym nie mogła się zabić... No, to wtedy bym to zrobiła. Mogę się obyć bez nembutalu i kryminałów, ale nie bez samobójstwa. A propos - dodaje i wychodzi stalowym korytarzem, sunąc jedną dłonią po ścianie wagonu.

Oczywiście, nic z tego nie jest dla mnie nowością. Prawdę mówiąc, nie zwracam zbytnej uwagi na to, co mówi Kate. Po jej głosie poznaję, jak ona się czuje. Przemawia teraz „śmiałym” tonem, a ponieważ wydaje się spokojniejsza, wręcz radosna, niż mogłyby na to wskazywać jej słowa, nie martwię się o nią za bardzo.

W kuszecie szybko robi się jednak duszno i - nie będąc w stanie rozmawiać z Sidneyem Grosseem o interesach — ruszam w przeciwną stronę, zatrzymuję się w pierwszym przedsionku i pociągam spory łyk ze swojej karnawałowej butelki. Pewnie wjeżdżamy do Jackson. Pociąg z piskiem powoli kręcących się kół pokonuje zakręt i jedzie przez przedmieścia. Kate wychodzi z przedziału i bez słowa staje obok mnie. Pachnie mydłem i wydaje się, że jest w niesłychanie dobrym humorze.

- Napijesz się?

- Pamiętasz wyjazdy pociągiem do Baton Rouge na mecze futbolowe?

- Oczywiście. — Balansując w przedsionku, z owalną twarzą rozpromienioną w ciemności, z włosami gładko zaczesanymi na głowie i opadającymi pod kołnierz kostiumu, Kate wygląda jak studentka. Pijąc, uciska palcami gardło. - Boże, jak wspaniale.

Pociąg zatrzymał się i nasz wagon stoi na estakadzie wysoko nad jakąś ulicą Jackson. Niemał pełny księżyc płynie wśród strzępów chmury i rzuca jaskrawe światło na kopułę dawnego Kapitolu Stanowego, nowiutkie biurowce ze stali i szkła oraz pustą ulicę ze lśniącym torem tramwajowym. Nie widać żywego

ducha. Daleko, za skrzydłami gmachu Kapitolu, rozciągają się ciemne, porośnięte drzewami wzgórza i migoczące światła miasta. Za sprawą blasku księżyca Jackson wydaje się białe jak śnieg i nigdy nie zasiedlone; leży pogrążone we śnie na szczycie wzgórza niczym święte miasto Syjon.

Kate kręci powoli głową w zachwycie w sposób, który przejęła od swojej macochy. Staram się odwrócić jej uwagę od piękna. Piękno jest ladaczną.

- Widzisz tamten budynek? To siedziba Southern Life & Accident. Gdybyś w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim zainwestowała sto dolarów w zakup udziałów w tej firmie, teraz byłyby warte dwadzieścia pięć tysięcy. Twój ojciec kupił sporo akcji pierwszej emisji. — Pieniądze to lepszy bożek niż piękno.

- Nie wiesz, co mam na myśli - woła Kate z takim samym łagodnym uniesieniem.

Dobrze wiem, co ma na myśli. Wiem jednak coś, czego nie wie ona. Pieniądze są dobrą przeciwwagą dla piękna. Piękno, dążenie wyłącznie do piękna, jest rozpustą. Dziesięć lat temu goniłem za pięknem i nie myślałem o pieniądzach. Słuchałem cudownych melodii Mahlera i czułem się duchowo chory. Teraz gonię za pieniędzmi i w zasadzie czuję się lepiej.

- Wiem, jak mogłabym żyć w mieście! - woła Kate. Odwraca się twarzą do mnie i splata dłonie za moimi plecami.

- Jak?

- Tylko w jeden sposób. Gdybyś ty mówił mi, co mam robić. To takie proste. Czemu nie rozumiałam tego wcześniej?

- Że powinienem ci mówić, co masz robić?

- Tak. To może nie najszlachetniejszy sposób życia, ale jedyny. Mój! Och, drogi słodki staruszk, jaką radość sprawia odkrycie w końcu, kim się jest. Nieważne, kim się jest, o ile się to wie!

- Kim ty jesteś?

- Chętnie ci powiem, bo właśnie to odkryłam i nie chcę zapomnieć. Proszę, nie pozwól mi na to. Jestem osobą religijną.

— Jak to?

— Nie rozumiesz? Chcę uwierzyć w kogoś bezgranicznie, a potem robić to, co on chce, żebyśmy robiła. Gdyby Bóg miał powiedzieć: „Kate, oto, co masz zrobić: natychmiast wysiądź z tego pociągu i idź na tamten róg przy budynku Southern Life & Accident Insurance Company. Stój tam przez resztę życia i zwracaj się uprzejmie do ludzi...” Myślisz, że nie zrobiłabym tego? Myślisz, że nie byłabym najszcześniejszą dziewczyną w Jackson w Missisipi? Byłabym.

Pociąg z butelki i spoglądam w kąć korytarza, gdzie stoi Kate. Księżycowy blask wydaje się namacalny, to gęsta czysta matryca, w której osadzony jest zarówno krawężnik, jak i budynek.

Kate bierze butelkę.

— Powiesz mi, co mam robić?

— Oczywiście.

— Możesz to zrobić, bo sam nie jesteś religijny. Bóg też nie jest. Ty jesteś niewzruszoną siłą napędową. Nie potrzebujesz Boga ani nikogo innego... to nie twoja zasługa, chyba że zasługą jest bycie najbardziej egocentrycznym człowiekiem wśród żywych. Nie wiem, czy cię Kocham, ale wierzę w ciebie i zrobię, co każesz. Czy jeżeli wyjdę za ciebie, powiesz mi: „Kate, dziś rano zrób to i to”, a gdy będziemy musieli iść na przyjęcie, czy powiesz: „Kate, stań dokładnie tam, wypij trzy kieliszki i porozmawiaj z takim a takim”? Powiesz?

— Oczywiście.

Kate splata ręce na mojej piersi, chwytając jedną dłonią za przegub drugiej, i całuje mnie namiętnie.

Później, tak jak przewidywałem, jej drogocenne piękno wyczerpuje ją nerwowo i jest przerażona. Kolejna wycieczka do toalety i teraz stoi, kołysząc się, przy mnie, gdy Sieur Iberville przemierza północne Missisipi. Wiosnę zostawiamy w tyle. Żółty zachodzący księżyc wisi nad zimowymi polami, tak samo pociemniałymi, starymi i nawiedzanymi przez duchy jak pola bitewne.

- Och, och, och - jęczy Kate i przywiera do mnie. - Czuję się okropnie. Chodźmy do twojego przedziału.

- Łóżko jest już posłane.

- W takim razie się położymy.

Musimy się położyć: drzwi otwierają się na łóżko. Z czułością biorę Kate w ramiona i mówię, że ją kocham.

- Och, nie - odpowiada, chwytając mnie niedelikatnie i dodaje: - Dość tego, chłopcze.

- Czego?

- Miłości.

Rozumiem ją opacznie i się odsuwam.

- Nie, nie. Nie odchodź — mówi, przytrzymując mnie i nie zaprzestając obserwacji.

- Dobrze.

- Po prostu nie mów mi o miłości, chłopcze.

Spogląda na mnie czarnymi, nieustępliwymi oczami, ale jak sądzę, niezupełnie mnie widzi. Wsparta na jednej ręce, zagryza wargę i ciężko opuszcza drugą rękę na moje ramię, jakbym był starym kumplem.

- Coś ci powiem.

- Co?

- Przedwczoraj zapytałam Merle'a - znowu opuszcza ciężko dłoń i mnie łapie - „Co byś powiedział, gdybym trochę zaszalała?”. Merle źle mnie zrozumiał i zrobił mi wykład o dojrzałej i czulej relacji między dorosłymi, i tak dalej i dalej... No wiesz. Odparłam: „Nie, nie, źle to rozumiałeś. Chodzi mi o zwykłe stare małpie figle...” - Kate potrząsa mną - ...jak w komiksie pokazanym mi w zeszłym tygodniu przez jedną ze służących twojej ciotki, w którym Tillie the Toilter i Mac... rozumiesz, nie prawdziwa Tillie, ale jej francuskie wcielenie... idą na przyjęcie biurowe. W magazynie dochodzi między nimi do krótkich erotycznych zapasów i przyłapuje ich na tym Wally Whipple. Powiedziałam o tym Merleowi i wyjaśniłam: „To właśnie mam na myśli, co ty na to?”.

- I co powiedział?

Kate zdaje się nie słyszeć pytania. Bębni palcami w parapet i spogląda na pędzące korony drzew.

— Zatem... gdy wszystko zostanie powiedziane i zrobione, to jest autentyk, nieprawdaż? Przyznaj to. Ty i mała Honduraska na pierwszym piętrze ze swoją książeczką, rano, w połowie rana, a tam, w bielizniarce z mopami i wiadrami...

— To twoja Honduraska i twój komiks...

— Powiem ci teraz, co możesz zrobić, Wally. Wyjdź stąd i wróć dokładnie za piętnaście minut. Och, jesteś wielkim paskudnym Wallym i nadajesz się tylko do jednej rzeczy.

Będę musiał powiedzieć ci prawdę, Rory, choć jest ona bolesna. Nic nie sprawiłoby mi większej radości niż wyznanie, że uczyniłem jedną z dwóch rzeczy - albo to, co ty robisz: kładziesz Debbie do swojego łóżka i demonstrując cnotę tak zwycięską, że aż morderczą, bierzesz poduszkę oraz koc i kładziesz się na kanapie w salonie, żeby tam leżeć po ciemku, z dłońmi splecionymi za głową, patrzeć w sufit i rozmawiać przez otwarte drzwi o waszych nadziejach i marzeniach, albo to, co zrobiłby bohater powieści: on także poszukuje i jest kimś w rodzaju pielgrzyma, i właśnie wrócił z Guanajato bądź Sambuco, gdzie znalazł To, Co Słuszne i Prawdziwe, lub ze Wschodu, gdzie uczył się mądrości u jakiegoś mędrca i stał się wytrawnym znawcą siódmej drogi do siódmego nieba. Mimo to nie gardzi też tym światem i gdy zdarza się, że do jego łoża przychodzi służąca z sercem pełnym tęsknoty za nim, on odkłada książkę w radosnym nastroju i daje jej tyle radości, ile tylko mogłaby sobie zażyczyć. Po czym, gdy ona zapada w sen tak słodki, jak słodka była zawsze radość Scarlett z porannyh powrotów Retta, *on* znowu sięga po książkę i już po chwili wzlatuje na wysokość dziesięciu mil i rusza w Droge.

Nie, Rory. Nie zrobiłem, nie zrobiliśmy żadnej z tych rzeczy. Poszło nam bardzo źle i omal nie zrobilibyśmy tego w ogóle. Zawiodło nas ciało, biedne ciało. Ciężar był zbyt wielki i ciało, biedne ciało, ani nie uświęcone sakramentem, ani nie wzgar-

dzone przez ducha (wzgarda nie jest bowiem najgorszym losem, jaki przypada w udziale ciała), ale aż do tej chwili przejrane na wylot i unieważnione, pozbawione mocy przez zimne rybnie oko złego samopoczucia - ciało, biedne ciało teraz, w tej chwili wezwane do ról wszelakich, do tego, by wszystko zakończyć i wszystkim być, ostatnia i jedyna szansa - truchleje i zawodzi nadzieje. Prawda wygląda tak, że byłem niemal śmiertelnie przerażony jej śmiałym (niespecjalnie śmiałym, nie wulgarnie, lecz mentalnie śmiałym) zachowaniem. Myślę, że przywykłem do swoich rumieniących się dziewcząt z Gentilly. Kate też była wystraszona. Drżeliśmy jak liście. Była wystraszona, bo wydawało się teraz, że nawet Tillie theToiler musi sprawić jej zawód. Nigdy w życiu się tak nie napracowałem. Nie miałem wyboru: inna możliwość była wręcz ohydna. Chrześcijanie mówią o okropności grzechu, ale coś przeoczyli. Stale mówią tak, jakby wszyscy byli wielkimi grzesznikami, podczas gdy tak naprawdę obecnie wielka grzeszność jest ponad nasze siły. W otchłani naszej niemocy grzechu jest bardzo niewiele. Kulminacyjną chwilą w życiu człowieka dotkniętego niemocą może być moment, gdy udaje mu się grzeszyć jak prawdziwej istocie ludzkiej. (Spójrz na nas, Binx — moi wędrowni przyjaciele niemal krzyknęli do mnie - grzeszymy! Udaje się nam! Jednak jesteśmy ludźmi!).

- Dobranoc, słodki Wally. Ułóż teraz Kate do snu. Biedna Kate. — Odwraca poduszkę dolną, chłodną stroną ku górze.

- Dobranoc, słodki Wally, dobranoc, dobranoc, dobranoc.

3

Okazuje się, że moje obawy co do Chicago były uzasadnione. Ledwie wysiadamy z pociągu, gdy demon-dusza miasta trzepocze skrzydłami jak myszołów i siada na moim ramieniu. Jeździ sobie na mnie podczas całego naszego krótkiego pobytu - krótkiego, po-

wiadam, krótszego nawet niż planowany, został bowiem gwałtownie skrócony przez katastrofę w poniedziałkowy wieczór, w dniu naszego przyjazdu. Przez cały dzień przed tym zdarzeniem stałem na rogach ulic pogrążony w myślach i speszony, mrugając oczami. Kate się mną opiekuje. Czuje się dziwnie swobodnie w tym mieście, całkowicie obojętna na pięć milionów osobistych pól promieniowania j ego mieszkańców i na osobliwą woń ich życia tutaj, woń, którą trzeba odetchnąć i zatrzymać w sobie, zanim człowiek ruszy się na krok od dworca (gdyby tylko ktoś mógł mi powiedzieć, kto wybudował tę cholerną stację, jaki jest stan budynku, podał szczegóły sporu między urzędnikami miejskimi a koleją, tak żebym natychmiast, od pierwszego strzału nie padł jej ofiarą, ofiarą tej stacji. Wszystkie miejsca przybycia powinny mieć budkę, ustawioną i obsadzoną przez zwykłego człowieka, którego zadaniem jest witanie obcych i dawanie im drobnego trofeum z lokalnej czasoprzestrzeni - opowiadanie o swoich trudnościach w szkole średniej i wsypywanie im do kieszeni szczypty ziemi - aby zapewnić, że ów obcy nie stanie się Kimkolwiek). Ale się, do cholery, pocę. Kate przejmuje stery, gorączkując się i cmokając z dezaprobatą, jakby dostrzegła we mnie ogromną pustkę i chciała ukryć ją przed światem. Nagle jest zwykłą dziewczyną z miasta nie do odróżnienia od innych małych oliwkowoskórych imigrantek znad Morza Śródziemnego o niskich czołach i wielkich tyłkach, jakie zaludniają ulice i podziemne kolejki Północy.

Pocieszam się tylko tym, że widzę, iż się nie myliłem: Chicago jest dokładnie takie, jakim je zapamiętałem. Byłem tu dwadzieścia pięć lat temu. Ojciec przywiózł mnie i Scotta na Wystawę Światową, i raz jeszcze, później, na mecz bejsbolowy z cyklu World Series. Z tej pierwszej podróży pamiętam jedynie to: nastrój tego miejsca, urok demona-duszy tego miejsca, które posiadają wszystkie miejsca, bo inaczej nie są godne tego miana. Mogłem się mylić: to mogło być coś zupełnie innego, nie wspomnienie miejsca, lecz wspomnienie dzieciństwa. Ale wystarczy krok w jaskrawy marcowy dzień i oto pojawia się we

własnej postaci, demon-dusza tego miejsca, które od razu trzeba poznać i ujarzmić, dokądkolwiek jedziemy, albo samemu zostać poznanym i ujarzmionym. Do tej pory jeden i tylko jeden demon-dusza okazał się dla mnie zbyt mocny: San Francisco — ścigałem go po wzgórzach, nie zauważałem go i byłem ścigany przez obecność, puder jesiennego złota w powietrzu, drżącą jaskrawość, która przeszywała serce, i przez smutek spowodowany dotarciem w końcu nad morze, dotarciem do kresu Ameryki. Nikt oprócz południowca nie zna rozdzierającego, wyjaławiającego smutku miast Północy. Wiedząc wszystko o demonach-duszach i mieszkając w miejscach nawiedzonych, takich jak Shiloh, Wilderness, Vicksburg i Atlanta, gdzie duchy bohaterów spacerują za dnia i są bardziej rzeczywiste niż ludzie, rozpoznaje ducha od razu, i ledwie wysiada z pociągu w Nowym Jorku, Chicago bądź San Francisco, czuje demona-duszę tych miast na swoim ramieniu.

Oto Chicago. Obecnie, tak samo jak ćwierć wieku temu, budynki są tu masywne i niemal kwadratowe, i rozstawione daleko od siebie bez ładu i składu jak pomniki na wielkiej wietrznej równinie. I Jezioro. Jezioro w Nowym Orleanie to starorzecze migocące na ładnej nizinie. Nie tutaj. Tutaj Jezioro jest samą Północą — niebezpiecznym miejscem, z którego napływają porywiste wiatry ducha, wyjące na trwogę.

Wiatr i przestrzeń — to one są demonem-duszą tego miasta. Jak, do cholery, mogę myśleć o ubezpieczeniach na życie, czując, jak demon-dusza Chicago siedzi mi na ramieniu?

Ale to one, wiatr i przestrzeń, są tym demonem-duszą. Wiatr wieje stale od Jeziora i domaga się przestrzeni dla siebie, powodując erozję każdego skrawka chodników i zimnych kamiennych fasad domów. Wciska się między budynki, odpychając je od siebie na błękitnych polach światła i powietrza. Powietrze jest ściskane przez wiatr w soczewki - powiększające, wyostrajające i tłumiące dźwięki: wszystko cichnie w ryku wiatru, który nadciąga niczym rabuś z Północy. To miasto, gdzie nikt nie śmie kwestionować roszczeń wiatru i błękitnego pola do otwartej przestrzeni. Niebo

Środkowego Zachodu jest najbardziej nagim i najbardziej samotnym niebem w Ameryce. Żeby przed nim uciec, ludzie żyją w czterech ścianach domów i pod ziemią. Inna rzecz, którą pamiętam: ojciec zabrał mnie do jednego z tych pomników, żebym zobaczył basen, w którym pływał Tarzan-Johnnie Weissmuller — rozbrzmiewające echem podziemie, gdzie zimne szare światło sączyło się ze świetlika na drugim piętrze; muskularni mężczyźni z metalowymi żetonami na szyi pływali w nim i krzyczeli, a ich głosy odbijały się od mokrych kafelków na ścianach.

Parę lat później, po śmierci Scotta, przyjechaliśmy - ja i ojciec - do Field Museum, gmachu z bardzo długim, niknącym w oddali ponurym perystylem, i stanęliśmy przed tableau przedstawiającym ludzi z epoki kamienia: ojca, matkę i dziecko siedzących w kucki wokół sztucznych żarzących się węgli, zastygłych w groźnym bezruchu. Staliśmy tak, dopóki - czując na sobie wzrok ojca - nie odwróciłem się i nie zrozumiałem, czego ode mnie wymaga. Tamtego lata tworzyliśmy bardzo osobliwą parę: on, stawiający tym razem wszystko na kartę idealnego braterstwa, i ja, widzący w jego oczach to straszne żądanie, wymagające ode mnie jego prawdziwego życia; przez chłodną chłopcę przekorę bądź atawistyczny wstręt do bliskości zbyt intymnej odtrąciłem go, odprawiłem z kwitkiem, odmówiłem mu tego, czego dać nie mogłem.

Przygotowani zatem na wpływ demona-duszy Chicago, z początku nie przejmujemy się tym miastem i ani przez chwilę nie czujemy niemocy. Kate jest radosna. Idziemy prosto do Stevensów, żeby zgłosić się po przydział pokoi i na sesję Dorośli Filozofów — jest tam Sidney, stojący przy stole recepcyjnym, majestatyczny w wyprostowanej postawie niewysokiego ciała, z ręką w kieszeni, z połą marynarki podciągniętą przy rozcięciu i z gładkim, błyskającym w świetle czołem; inaczej niż inni, życzliwie nadstawiający ucha z pochylonymi głowami.

Gross przypina mi do klapy plastikowy identyfikator i z nim się spostrzegę, popycha mnie na schody prowadzące do

niebieskiej sali balowej, pozwalając Kate i Margot z kamiennymi twarzami wlec się za nami.

- O co chodzi? - pytam zaniepokojony, ociągając się. Zaczynam się pocić i mogę jedynie myśleć o znalezieniu się na ulicy i wypiciu trzech drinków w pierwszym napotkanym barze. Uwięzionych w tej niebieskiej jaskini demon-dusza Chicago z pewnością nas dopadnie. - Sądziłem, że spotkania zaczynają się dopiero jutro rano.

- Zgadza się. To tylko zebranie Ligi Gorącego Pieca.

- O Boże, co to takiego? - pytam, spływając potem.

- Nawijujemy znajomości, dyskutujemy o ubiegłorocznych interesach, nabijamy się z gaf funduszy. Spodoba ci się.

I faktycznie - na środku sali stoi trzymetrowy pękaty piec zrobiony z celofanu. Kelnerzy przechodzą obok nas z tacami zastawionymi martini, a orkiestra kameralna gra *Getting to Know You*.

Delegaci na zjazd to bardzo porządni ludzie. Uzmysławiam sobie, że toczę rozmowę z sześcioma młodymi mężczyznami z Zachodniego Wybrzeża i że bardzo ich lubię - szczególnie jednego, tęgiego nieśmiałego gościa ze Spokane nazwiskiem Kinchen, i jego żonę, atrakcyjną, żółto-blondwłosą i tęższą od Sharon, z wargami wywiniętymi jak płatki róży, głową odrzuconą po królewsku do tyłu i niesamowitym błyskiem w oku. Jakże miłymi są ludźmi. Wcale nie jest źle być biznesmenem. Czuć tutaj ducha zaufania i współpracy. Wszyscy żartują z takich rzeczy, ale gdyby biznesmeni nie ufali sobie i nie mogli uruchamiać swoich projektów na kredyt, kraj by jutro upadł i Amerykanom powodziłoby się tak samo jak Saudyjczykom. Mam wrażenie, że Stanley Kinchen zrobiłby dla mnie właściwie wszystko. Wiem, że ja dla niego również. Przedstawiam Kate jako moją narzeczoną, a ona wykrzywia usta. Nie wiem, czy jest zniesmaczona mną, czy moimi kolegami po fachu. Ale ci ludzie: tacy życzliwi i...? Jacy, przygnębieni? Nie mam pewności.

Kinchen pyta, czy będę na sesji Domorosłych Filozofów. Jest bardzo zdenerwowany: wygląda na to, że jest szefem programowym i ktoś mu się wycofał. Bierze mnie na stronę.

- Wyświadczyłybyś mi przysługę? Rozpocząłbyś od pięćdziesięciminutowej prelekcji na temat materiałów promocyjnych i reklamowych?

- No pewnie.

Ściskamy sobie dłonie i rozstajemy się jak dobrzy towarzysze.

Dobrzy koledzy czy nie, muszę się jednak stąd wydostać. Prawdę mówiąc, zbyt dużo zrozumienia przyprawia mnie o nerwowość. Jeszcze chwila i sama sala balowa zrobi się niespokojna. Celofanowy piec już zaczął się złowieszczo jarzyć.

- Muszę znaleźć Harolda Graebnera - wyjaśniam Kate.

Chwytam ją za rękę, wmykamy się na niebezpieczną otwartą przestrzeń i znajdujemy najmniejszy bar w najruchliwszym kwartale Pełli. Tam widzę ją wyraźnie, widzę wyraźnie po raz pierwszy, odkąd leżałem ranny w jakimś rowie i patrzyłem, jak orientalny ziarnojad grzebie w liściach - Kate jest cichą osobką, twardą małą Celtyjką z miasta; nie, tak naprawdę bardziej przypomina Rachel, śniadą małą Rachel, zmierzającą do brooklyńskiego domu pociągiem IRT. Klepię ją po nodze.

- Słucham? - mówi, ledwie zwracając na mnie uwagę: jest zajęta szukaniem domu Harolda na planie miasta i sumowaniem pozycji na rachunku z baru. Dopiero teraz zauważyłem, jaka jest przebiegła i skąpa - prawdziwa Kreolka.

- Kochana Katie - mówię, poklepując ją.

- Dobra, chodźmy- odpowiada, ale nie wychodzi od razu. Wypijamy sześć kolejek w dwóch barach, wsiadamy do autobusów, przemierzamy sto mil miejskich kwartałów, mijamy miliony ludzi i w końcu docieramy do miejsca o nazwie Wilmette - które wcale, jak się okazuje, nie jest miejscem, ponieważ nie ma swojego demona - gdzie mieszka Harold Graebner,

jedyny znany mi człowiek na całym Środkowym Zachodzie. Jego, jednego spośród pięciu milionów, musimy spotkać i pozdrowić, życzyć mu szczęścia i się z nim pożegnać - inaczej nie możemy mieć pewności, że w ogóle tutaj jesteśmy - po czym znowu czmychnąć w labirynt miasta umieszczonego tak dziwnie pod wielkim, grmiącym i samotnym niebem Środkowego Zachodu.

Wysiadka z autobusu i w radosnym nastroju, tanecznym krokiem przemierzamy Wilmette, mijamy w odległości kilku stóp wspaniałe dziewczyny ze Środkowego Zachodu o pogodnych oczach i wspaniałych tyłkach, nie zważając na nie nawet przez chwilę. Cóż za przeżycie, Rory, choć raz uwolnić się od tego. Przemoc to. Cóż to za obrzydliwość, Rory, ten współczesny, pochrześcijański seks. Jedną rzeczą byłoby życie poganina, serwitut bez trudu wypełniany w dawnym, dobrze się zapowiadającym pogańskim świecie; inną — życie chrześcijanina, cudzołóstwo zabronione, a nawet nie do pomyślenia w tym nowym życiu, i widzę, że nie trzeba o nim myśleć, gdyby istniało takie życie. Ale nie być ani poganinem, ani chrześcijaninem, lecz tym — to obrzydliwość, Rory. Na to bowiem należy czekać z utęsknieniem i marzyć przez pierwszych dwadzieścia lat życia, nie uprawiać tego, ale też nie całkowicie zabraniać; po prostu czekać z utęsknieniem, z utęsknieniem jak na owoc niezupelnie zakazany, lecz niby-zakazany i przez to skrycie ceniony, ceniony przede wszystkim i zawsze przez wyznawców frywolnej przyjemności, w której kulcie wszyscy są przyzwoitsi niż chrześcijanie i bardziej nieprzyzwoici od pogan, w której kulcie oddajemy się nie jednemu, lecz dwom amerykańskim marzeniom: o Ozziem i Harriet, przyzwoitszych od chrześcijan, a także o Macu i Tiflie oraz brzuchu na postili.

Skaczymy dalej jak sójki w lipcu.

Graebner mieszka w okazałym domu na nowym przedmieściu Wilmette. Ojciec zostawił mu zakład szklarski w południowym Chicago i Harold rzeczywiście się wzbogacił. Co

roku wysłała na Boże Narodzenie kartkę ze zdjęciem swojej żony oraz dzieci i kilkoma słowami w takim oto stylu: „W tym roku zarobiłem na czysto ponad trzydzieści pięć patoli - to chyba coś znaczy, co nie?”. Trzeba byłoby znać Harolda, by zrozumieć, że to nie tyle przechwałki, ile radosna wieść od wesołego i prostego gościa, który nie może się nadziwić swojemu szczęściu i dlatego musi o tym opowiedzieć. „To chyba coś znaczy, Rollo, co nie?” - mówił i podnosił ręce w niemowlęcym geście. Wiem, co ma na myśli. Ilekroć notowania akcji American Motors skaczą o dwa dolary, czuję taką samą radosną i rosnącą życzliwość dla świata.

Ponieważ Kate i ja nie możemy się doczekać powrotu do naszej włości, odwiedziny u Graebnerów trwają około dwudziestu minut. Jak wspominałem wcześniej, Harold bardzo mnie lubi, bo uratował mi życie. Ja bardzo go lubię, bo jest bohaterem. Bohaterów darzę bezgranicznym podziwem, a Harold to autentyczny bohater. Dostał krzyż za akcję patrolową w dolinie Chongchon. Inny porucznik prowadzący rekonesans - czyli ja, to żadna tajemnica - wpadł w potrzask; porucznik Graebner, który dowodził patroliem wspierającym, miotając obelgi nadbiegł w ogniu móżdżerzy niczym Old Pete Longstreet, strzelając ze swojej wyrzutni rakiet kaliber trzydzieści pięć jak z karabinka automatycznego, zrobił wyłom w zasiekach (zostaliśmy złapani w potrzask na wapiennym wzniesieniu otoczonym zasiekami) i podpalił z pół hektara terenu zajmowanego przez Azjatów. Gdy mówię, że nie wygląda na bohatera, nie chodzi mi o to, że jest skromnym człowieczkiem jak Audie Murphy - Audie Murphy jest bohaterem i wygląda jak bohater. Harold jest naprawdę nieheroiczny - do tego stopnia, że można odnieść wrażenie, iż rozmienia swój heroizm na drobne. Chętnie mówi o wojnie i to w tak beznamietnie nieprzyjemny sposób, że jego wojenne przeżycia wydają się rozczarowujące. Ze swoim trochę ryjkowatym nosem, falistymi włosami wyrastającymi pośrodku czaszki i śpiewnym sposobem mówienia przypomina mi uczestnika teleturnieju:

PROWADZĄCY: Poruczniku, pewnie byliście zadowoleni, widząc, że tamtej nocy nadciąga mgła.

HAROLD: (dziwnie nadętym i śpiewnym głosem) Panie Marx, chyba mogę szczerze powiedzieć, że akurat wtedy mi nie przeszkadzało, że mgła zasnuwa mi oczy (wodzi wzrokiem po widowni).

PROWADZĄCY: Ejże! To przecież ja mam tutaj stroić sobie żarty!

Żona Harolda jest chudą dziewczyną o pięknej twarzy i zgarbionych ramionach. Stoi daleko od nas, trzymając niemowlę, mojego chrześniaka, i waha się między wyborem czegoś w rodzaju salonu i „półwyspowego” baru; wydaje się, że zaraz nas poprosi, byśmy usiedli w jednym bądź przy drugim, ale nie czyni tego. Patrząc na nią, wiem, co widzi w niej Harold: po prostu piękność. Mawiał, że taka a taka, chyba Veronica Lake, jest „po prostu piękna”. Graebner pochodzi z Indiany i wyzywał mnie, używając określeń typowych dla Środkowego Zachodu, takich jak „diabeł wcielony” i „bęcwał” - i jego żona jest piękna w taki sam środkowozachodni sposób: blond włosy układające się w fale na policzkach jak u Madonny, boskie niebieskie oczy, lecz garbi się tak, że łopatki rozchodzą się jej niczym skrzydła.

Graebner wędruje po całym salonie z rękami uniesionymi w niemowlęcym geście, który wykonuje podczas rozmowy, tam zaś, jakby między nami a dziećmi przed telewizorem, stoi jego drobna żona-madonna. Harold cieszy się jednak na mój widok.

- Stary Rollo — mówi, spoglądając na moją pierś. — To wspaniale, Rollo - dodaje i denerwuje się emocjami, których nie umie określić. „Rollo” to przydomek, który nadał mi na Wschodzie - najwyraźniej oznaczający na Środkowym Zachodzie coś, co nie jest rozpowszechnione w Luizjanie. „Stary Rollo” — mówił i zachwycał się trafnością tego przezwiska. Teraz te

emocje ogarniają go z całą siłą: jak dobrze jest ujrzeć towarzysza broni, z którym wiele się przecierpiało i wiele przetrzymało, ale też jakie to bolesne. Chodzi tam i z powrotem z podniesionymi rękami, rozgorączkowany, nie wiedząc, co jest źródłem tego rozgorączkowania.

- Haroldzie, jeśli chodzi o chrzciny...
- Ochrzciliśmy go wczoraj - odpowiada z roztargnieniem.
- Przepraszam.
- Byłeś ojcem chrzestnym *per pro cum*.
- Och.

Kłopot w tym, że nie ma gdzie usiąść. Stoimy u wybrzeży barowego „półwyspu” jak żaglowce unieruchomione przez flautę - nie mogąc się ruszyć.

Odwróciwszy się plecami do Harolda, opowiadam żartobliwie Kate i Sylvii, jak uratował mi życie, parę razy tylko spoglądając na niego. Dla Graebnera to zbyt wiele - nie moja wdzięczność, nie piękno jego heroizmu, lecz ta nagła konfrontacja z przeszłością, czasem strasznym i wspaniałym w swojej arcyrealności, a więc utraconym, puszczonej z prądem niczym wielki statek w powodzi lat. Harold stara się to - ów czas i czas późniejszy, tych dziwnych dziesięć minionych lat - przeanalizować, i nie jest w stanie. Kręci głową jak bokser.

Stoimy w sztywnych pozach w nieformalnej przestrzeni mieszkalnej.

- Jak długo tu mieszkasz, Haroldzie?

- Trzy lata. Spójrz na to, Rollo. - Przesuwa po barze głowę konia wyrzeźbioną w modernistycznym stylu z jasnego drewna, z opadającą grzywą i wygiętą w łuk szyją. - Jak myślisz, kto to zrobił?

- Bardzo dobra rzeźba.

- Stary Rollo — mówi, przyglądając się mojej klatce piersiowej. Nie potrafi rozgryźć przeszłości, musi więc coś zrobić. - Jak bardzo jesteś wytrzymały? Idę o zakład, że potrafię cię pokonać. - Harold uprawiał zapasy w Northwestern. - Mógłbym cię załatwić w jed-

nej chwili. — Rzeczywiście zaczyna być na mnie wściekły.

- Słuchaj, Haroldzie - mówię ze śmiechem. - Czy codziennie jeździsz do miasta?

Kiwa głową, ale nie unosi wzroku.

- Skąd pomysł, żeby tu zamieszkać?

- Rodzina Sylvii mieszka w Glencoe. A jak ci się podoba tam w Nowym Orleanie?

Harold naprawdę chciałby walczyć, i to nie na żarty. Wszedłem i przyniosłem to, ten ból w jego piersi, ze sobą. Byłoby lepiej, gdyby pozbył się i bólu, i mnie.

Dziesięć minut później wysadza nas przy stacji kolei podmiejskiej i pośpiesznie odjeżdża w nocną dal swoim cadillakiem.

- Cóż za osobliwa rodzina - mówi Kate, patrząc na czerwone wieżyczki świateł samochodu.

Powrót na Pętlę, gdzie wchodzimy do matki i kolebki wszystkich kin - azteckiej kostnicy pełnej urn i hieroglifów oraz obecności duchów z innej epoki, Williama Powella, George'a Brenta, Patsy Kelly i Charleya Chasea, najlepszych przyjaciół mojego dzieciństwa - i oglądamy film zatytułowany *The Young Philadelphians*. W ciemności Kate trzyma mocno moją dłoń.

Paul Newman gra młodego idealistę, który jest rozczarowany i staje się cyniczny oraz wyrachowany. W końcu jednak powraca do swoich ideałów.

Na zewnątrz do szumu wiatru zakradła się nowa nuta, potworny gwałtowny dźwięk dobiegający ze straszego pustkowia na północy.

- Och, och, och - zawodzi Kate, zamknięta w sobie, wyzbyta ochoty nawet na trzymanie mojej dłoni, gdy wlecemy się do hotelu. - Coś się na pewno wydarzy.

I wydarza się. Żółta karteczka wręczona w hotelowej recepcji nakazuje mi zadzwonić do telefonistki centrali numer trzy w Nowym Orleanie.

Dzwonię więc i słyszę głos ciotki mówiącej do telefonistki, a potem - niezmiennym tonem - do mnie. Emily Cutrer nie zadaje sobie trudu, by dodać nutę serdeczności lub chłodu, miłości lub nienawiści do swojego monotonnego upomnienia i jest to bardziej złowieszcze niż dziesięć tysięcy potwornych dźwięków.

- Czy Kate jest z tobą?

- Tak, ciociu.

- Chciałbyś się dowiedzieć, jak was znaleźliśmy?

- Tak.

- Policja znalazła samochód Kate na stacji.

- Policja?

- Kate nikomu nie powiedziała o swoim wyjeździe. Jednak jej zachowanie da się wytłumaczyć i dlatego można je usprawiedliwić. Twojego nie.

Milczę.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

Zastanawiam się.

- Nie pamiętam.

4

Wieczorem na dzień przed ostatkami nie sposób znaleźć wolne miejsce w samolocie do Nowego Orleanu. Do wtorku rano w rozkładzie jazdy nie ma żadnych pociągów, ale autobusy odjeżdżają mniej więcej co godzinę. Wysyłam więc telegram ciotce, telefonuję do Stanleya Kinchena i usprawiedliwiam wyjazdem rezygnację z wygłaszania prelekcji o materiałach promocyjnych i reklamowych - nic nie szkodzi: prelegent, którego miałem zastąpić, wyzdrowiał. Rozstajemy się jeszcze serdeczniej, niż się witaliśmy. To serdeczność stratosferyczna, która kolejne spotkania może tylko uczynić krępującymi. Ale to mi nie przeszkadza.

O północy jedziemy do Nowego Orleanu scenicruiserem, który kieruje się bardziej na wschód niż pociągi Illinois Central, trasą wzdłuż Wabash do Memphis przez Evansville i Cairo.

Dobrze, że wyjeżdżamy; Chicago nadaje się jedynie do krótkotrwałej rotacji. Kate czuje się dobrze. Wezwanie od macochy nie przygnębiło jej ani nie przestraszyło. Rozmawia z nią dość długo i kierując się niezawodnym instynktem, skłania ciotkę do rozmowy o odwoływaniu rezerwacji i anulowaniu biletów powrotnych, stawia na swoim, decyduje, że zostaniemy, po czym zmienia zdanie i nalega, byśmy rozwiali ich obawy i wrócili do domu. Teraz rozgląda się z zaciekawieniem po dworcu autobusowym, co kilka sekund ulegając potrzebie przeciągłego ziewania. Znalazłszy się w autobusie, zapada się w nicłość i z obwisłą żuchwą przesypia całą drogę do rzeki Ohio. Ja zaś drzemię z przerwami i budzę się na dobre, gdy zaczyna świtać, na peryferiach Terre Haute. Kiedy robi się dostatecznie jasno, wyjmuję swój egzemplarz *Arabia Deserta* w miękkiej okładce i czytam do śniadania, na które zatrzymujemy się w Evansville. Kate je z apetytem, powoli wsiada z powrotem do autobusu, rzuca okiem na czarne wody Ohio i nagie drzewa lasów porastających nisko położone tereny, do których zima lgnie niczym fioletowa mgła, po czym zapada w ciężki sen z ustami rozwartymi w zetknięciu z moim ramieniem.

Dzisiaj jest Mardi Gras, tłusty wtorek, lecz nasz autobus wyjechał z Chicago o wiele za późno, żeby przewozić karnawalowych gości. Jego pasażerowie tworzą zwykłą zbieraninę teściowych odwiedzających swoich zięciów w Memphis, nauczycielek oraz telefonistek jadących na wakacje w uroczym starym Vieux Carre. Górny pokład autobusu to zielona bańka, w której - jak się okazuje - ludzie czują się zwolnieni z konwencjonalnego nakazu zachowania ciszy przestrzegane poniżej, tak jakby wspinając się na górę z innymi, żeby widzieć rozległy świat i zielone niebo, zawiązali już swego rodzaju tajne bractwo i zamienili ze sobą pierwsze słowo. Oddają swoje miejsce przeciągającej się Kate

i zginam jej uniesione nogi w kolanach, a przez resztę długiej podróży przez Indianę, Illinois, Kentucky, Tennessee i Missisipi prowadzę rozmowę z dwoma pasażerami - pierwszy to jakiś romantyk z Wisconsin, drugim jest sprzedawca z małej firmy produkcyjnej w Murfreesboro w stanie Tennessee, który rozbił samochód w Gary.

Siedzę teraz w pierwszym rzędzie zielonej bańki; zjeżdżamy brzegiem Missisipi od strony Illinois przez obszar czarnych jak sadza wąwozów, opadających stromo w kierunku zachodnim. Na ich zboczach wspierają się wysokie domy o drewnianej konstrukcji z kolorowymi oknami i wieże polskich kościołów. Czytam:

Dosiedliśmy wielbłądów w porannym mroku, ale jeszcze długo po świetle niebo nad nami wydawało się zamknięte niczym grobowiec warstwą ciemnych chmur. Wjechaliśmy w okropne pokłady lawy

Romantyk siedzi po drugiej stronie przejścia, rozparty z gracją, trzymając stopę na metalowej półce. Czyta *Pustelnię parmeńską*. Jego twarz jest nadzwyczaj foremna i ładna, ale zbyt mała głowa wyłaniająca się ze wspaniałego kołnierza jego sportowej kurtki sprawia, że mężczyzna wygląda trochę jak picuś-głancuś. Ciekawią mnie dwie rzeczy. Jak siada? Od razu z gracją, podświadomie, czy nie od razu i z pełną świadomością? Jak czyta *Pustelnię parmeńską*? Od razu, jako człowiek, który stroni od świata i ma ochotę na lekturę tej powieści, tak jakby miał ochotę na brzoskwinie, czy stopniowo, jako człowiek, który znajduje się pod presją konieczności wpasowania się w świat w pewien sposób, rozparcia się w fotelu w przyzwoitych granicach, czytania książki na przyzwoitym poziomie w autobusie przyzwoitej klasy? Czy jest romantykiem?

Jest. Pierwszą wskazówkę stanowi jego poza: ta kwintesencja wszystkich pełnych wdzięku pozycji siedzących jest zbyt piękna, żeby była prawdziwa. Jakby dla przesądzenia sprawy,

mężczyzna spostrzega mnie oraz książkę, którą czytam, i wstrząsa nim spazm uznania oraz wstydlivości. Pragnąc skrócić jego cierpienia, podchodzę i pytam, jak mu się podoba powieść Stendhala. Przez ułamek sekundy mierzy mnie wzrokiem, żeby się upewnić, czy aby nie jestem homoseksualistą. Widział już jednak ze mną Kate i widzi ją teraz, uśpioną, ze wspaniale uniesionym biodrem. (Zauważyłem, że nie jest już możliwe, by — z wyjątkiem pewnych rejonów Południa i Zachodu - jeden młody mężczyzna rozmawiał nieroztropnie z drugim, nieznanym mu, a już z pewnością nie może tego robić z książką w dłoni). Jeżeli chodzi o mnie, to rozpoznałem go już dzięki jego wstydlivości. To wstydlivość czysto heteroseksualna. Nie jest homoseksualistą, a jedynie romantykiem. Zamyka teraz książkę i spogląda na nią surowo, jakby samym patrzyeniem wydzierał z niej jej duszę zawartą w jakimś słowie.

- Jest... bardzo dobra - mówi w końcu i się rumieni. Biedak. Właśnie zaczął odczuwać skutki tego żalosego figla, który romantycy płatają samym sobie: odsunięcia tuż poza swój zasięg tego, do czego akurat przywiązują wagę. On przywiązuje bowiem wagę właśnie do takich spotkań, przypadkowych spotkań z przypadkowo poznanym przyjacielem w przypadkowo wybranym autobusie; z przyjacielem, z którym może porozmawiać, zwierzyć mu się z części swoich okropnych pragnień. I teraz, spotkawszy takiego przyjaciela, mnie, niezwykłego przyjaciela z autobusu, nie może oczywiście wydobyć z siebie głosu. To zaś przemawia za bezpośrednią indagacją.

Romantyk jest studentem ostatniego roku w małym college'u na północy stanu Wisconsin, gdzie jego ojciec pełni funkcję kwestora. Jego rodzice są niezmiernie dumni z dokonań naukowych swoich dzieci. Trzy siostry mają doktoraty oraz magisteria z rozmaitych dziedzin i w połowie życia dalej gromadzą dyplomy (mówi pospiesznie, w wyćwiczony sposób, który uznaje za odpowiedni dla naszego wyjątkowego spotkania, a gdy jest zmuszony użyć zwykłego słowa, takiego jak „autobus” - nie mając innego

sposobu przydania mu szlachetnego posmaku, bierze je w cudzysłów i wypowiada z kwaśną miną). Po zakończeniu drugiego trymestru, mając dość punktów, by ukończyć studia, pospiesznie wyjechał do Nowego Orleanu, żeby przez jakiś czas pracować przy załadunku bananów, a może nawet zaciągnąć się do marynarki handlowej. Uśmiechając się nerwowo, wychyla się do przodu i znowu nie może wydobyć z siebie głosu. „Na pewien czas” - dodaje. To znaczy, że ma nadzieję znaleźć sobie dziewczynę, najzwyczajszą z niezwykłych, i wieść życie Rudolfa na balkonie, przesiadując na podłodze i doświadczając porozumienia dusz. Mam wątpliwości. Po pierwsze, przegra z samym sobą, zagalopuje się, śmiertelnie przerazi jakąś dziewczynę swoim wspaniałym dławiącym milczeniem, będzie jej pragnął tak rozpaczliwie, że zgodnie z własną osobliwą logiką nie będzie mógł jej zdobyć; albo zdobywszy ją, zagalopuje się jeszcze bardziej i w końcu ucieknie na wyspy, gdzie wsparty o reling swojego statku w jakimś cuchnącym porcie będzie rozmyślał o swojej samotności.

Tak naprawdę nic więcej nie można mu powiedzieć. Najlepsze, co można zrobić, to zmniejszyć trochę presję, straszną romantyczną presję, i zostawić go w spokoju. On jest kinomanem, chociaż oczywiście nie chodzi do kina.

Sprzedawca nie ma takiego kłopotu. Podobnie jak wielu przedsiębiorców, jest lepszym metafizykiem niż romantyk. Daje mi na przykład próbkę swojego towaru, zwyczajny kawałek pokrytej niebieskim nalotem odpuszczonej stali przerobiony na obosieczne ostrze. Waży je w dłoni i bada stopień twardości. Jego dłoń zna to ostrze, uprawia własną metafizykę zalet stali.

- Bardzo dziękuję - mówię, przyjmując ciepły przedmiot.

- Wiesz, co musisz jedynie z tym zrobić?

- Nie.

- Wejdz do biura... (sprzedaje te nasadki sklepom z narzędziami rolnymi) ...i zapytaj tego gościa, ile kosztuje jego nóż od Bush Hoga. Powie, że około dziewięciu i pół za dwa. Wtedy

wystarczy, że rzucisz mu to na biurko i powiesz, że kosztuje trzydzieści pięć centów i że nie da się go złamać.

- Do czego służy?

- Do wszystkiego. Do czyszczenia, spulchniania ziemi, łuskania grochu, fasoli, ścinania młodych drzewek tej wysokości; do wszystkiego. Ten mały skubaniec będzie sukcesem. - Sprzedawca uderza jedną ręką obok drugiej, a ja mam już wyobrażenie o anegdotycznych, legendarnych wręcz właściwościach ostrza, uwierzytelnionych typowym dla mieszkańców Południa szacunkiem dla doskonałości maszyn: niesamowicie, niezrównanie śmiesznym wyrazem najwyższego uznania okazywanego, gdy jakaś nowa maszyna rolnicza wyrusza w swą cudaczną, tnąco-koszącą podróż.

Siedzimy na tylnej kanapie, on z uniesionym kolaniem, jedną stopą wsuniętą pod udo i ręką wspartą na kolanie. Nosi czarne buty oraz białe skarpety na grzybicę stóp i od czasu do czasu wsuwa w nie palec, żeby uśmierzyć swędzenie. Mówienie o nożu i rodzinie w Murfreesboro sprawia mu przyjemność, i milknie dopiero w Union City. Ani razu nie pyta o moje sprawy i to mnie cieszy, bo nie wiedziałbym, co powiedzieć. Przedsiębiorcy są naszymi jedynymi metafizykami, ale kłopot w tym, że to metafizycy jednowymiarowi. Zanim wysiądzie w Union City, w głowie mi się kręci od informacji o nożu za trzydzieści pięć centów. Czuję się tak, jakbym całe życie mieszkał w Murfreesboro.

Canal Street jest ciemna i prawie pusta. Ostatni pochód, *krewe Comusa*, dawno już zniknął na skrzyżowaniu z Royal Street z trzęsącymi się platformami i płonąca pochodnią. Zamiatacze ulic zgarniają konfetti i stroiki na rozmiękłe sterty w rynsztokach. Zimna mżawka pachnie kwaśno masą papierniczą. Na wolnym powietrzu pozostało tylko kilka maszkar, chwiejące się małpy przybrane oplątwą brodawkowatą, potwory Frankensteina ze śrubami w szyjach, oraz parę okolicznych ekip jadących

na rowerach, strzelających z batów i maszerujących ramię w ramię z powrotem do swoich ciężarówek.

Kate nie roni łez. Stojąc, rozgląda się z roztargnieniem, jakby wylądowała w obcym mieście. Postanawiamy pójść pieszo Loyola Avenue po nasze samochody. Romantyk stoi przed nami, przed wystawą sklepu z bielizną damską, urządzoną w gejowskim stylu. Umieszczone na niej pozbawione nóg torsy odziane są w czarne ażurowe majtki. Uświadamiając sobie w porę naszą obecność i chcąc uniknąć zażenowania powitaniem (bo w końcu co mamy sobie powiedzieć, a jeśli jeszcze nie znajdziemy odpowiednich słów?), pospiesznie odchodzi z rękami głęboko w kieszeniach, a jego foremna głowa kiwa się w tę i we w tę nad wspaniałym kołnierzem jego kurtki.

Rozdział piąty

1

- Nie powiem, że staram się cię zrozumieć. Powiem natomiast, że po dwóch dniach całkowitego zdumienia w końcu pojęłam, czego nie rozumiem. To przynajmniej krok we właściwym kierunku. Bo widzisz, razi mnie oryginalność twojego postępu. Naprawdę wierzę, że odkryłeś coś nowego pod słońcem.

Moja ciotka zwraca się do mnie w środę rano z wyjątkową i złowieszczą bezstronnością. W samej gwałtowności swoich emocji odkryła energię potrzebną, żeby nad nimi zapanować, tak że teraz, upojona swoim zwycięstwem, może spokojnie skorzystać ze starych form grzecznościowych, a nawet z poczucia humoru. Jedyną widomą oznaką zagrożenia jest uśmiech w jej oczach, trochę zbyt dyskretny i subtelnie powściągliwy.

- Zechciałbyś zweryfikować moją hipotezę? Czy nie na tym polega twoje odkrycie? Po pierwsze, czyż nie jest prawdą, że w całych minionych dziejach ludzie, którzy znajdowali się w trudnych sytuacjach, zachowywali się w pewien doskonale znany sposób, dobrze bądź źle, odważnie bądź tchórzliwie, znakomicie bądź marnie, z honorem lub haniebnie. Są to zachowania rozpoznawalne. Dowodzą odwagi, litości, strachu, zażenowania, radości, smutku i tak dalej. Takie w każdym razie jest ugruntowane

od dwóch lub trzech tysięcy doświadczenie rodzaju ludzkiego, nieprawdaż? Twoim odkryciem, o ile mogę to określić, jest przeświadczenie, że istnieje inne rozwiązanie, którego nikt jeszcze nie znalazł. Polega ono na tym, że człowiek znajdujący się w krytycznej sytuacji życiowej nie musi reagować w tradycyjny sposób. Nie. Może po prostu zwlekać. Spasować. Zrobić, co mu się podoba, wzruszyć ramionami, odwrócić się na pięcie i wyjść. Ulotnić się. Bo w końcu czemuż by miał postępować po ludzku? Jak wszystkie wielkie odkrycia, to odkrycie zapiera dech w piersiach swoją prostotą. - Ciotka posyła mi zagadkowo-prawniczy uśmiech, który przypomina mi sędziego Ansea.

Dzisiaj rano jej dom wyglądał tak samo jak w środę. Ten sam chór silników, odkurzaczy, zmywarki do naczyń, pralki automatycznej, wzajemnie zagłuszające się brzęczenie i dudnienie. Z górnego piętra, odbijając się echem w klatce schodowej, dochodzi stłumione pokrzykiwanie Bessie Coe, odgłos tak znajomy i płaczliwy jak ćwierkanie wróbli pod okapem. Stryj Jules też wyglądał tak samo, omijając mnie z daleka, gdy przechodziłem obok niego na werandzie, i rzucając krótkie i smutne: „Dzień dobry”, jakby jego dezaprobata mogła się co najwyżej wyrazić lakonicznością powitania i lekkim zażenowaniem. Kate nigdzie nie było. Wiem, że do godziny dziesiątej ciotkę można spotkać przy jej sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem, gdzie prowadzi swoje „księgi rachunkowe”. Nie pozostaje nic innego, jak iść prosto do niej i stać spokojnie, dopóki mnie nie zauważy. Teraz przygląda mi się, wyprostowana i przystojna jak Czarna Księżka.

- Tak?

- Przykro mi, że wskutek nieporozumienia lub mojej bezmyślności nie powiedziano ci o planach naszego wyjazdu do Chicago. To bez wątpienia wynikało z mojej bezmyślności. W każdym razie przepraszam i mam nadzieję, że twój gniew...

- Gniew? Mylisz się. To nie był gniew. To było odkrycie.
- Odkrycie czego?
- Odkrycie, że kogoś, w kim pokładało się wielkie nadzieje, nagle nie ma. Tak jakby oprzeć się na czymś, co wygląda na ramię wiernego zwolennika, i poczuć, że robi się dziwnie gąbczaste.

Oboje spoglądamy na nóż do papieru, miecz z miękkiego żelaza, który ciotka Emily wyciągnęła z rąk figurki rycerza w hełmie stojącej na podstawce na kałamarz i pióra.

- Przepraszam za to.
- Temu, że jesteś mi obcy, być może sama jestem winna. Było głupotą z mojej strony, że wcześniej w to nie wierzyłam. Teraz bowiem naprawdę wierzę, że jesteś niezdolny troszczyć się o kogokolwiek, o Kate, Julesa lub o mnie, tak samo jak ten Murzyn idący ulicą - właściwie bardziej niż on, bo mam poczucie, że ja i on odkrylibyśmy jakąś wspólną, łączącą nas tradycję. — Ciotka chyba dopiero teraz spostrzega, że czubek noża jest wygięty. — Naprawdę sędzę, że nie przyszło ci do głowy powiadomić nas o waszym wyjeździe, mimo że wiedziałeś, jak ciężko chora jest Kate. Naprawdę myślę, że nigdy nie przyszło ci do głowy, że nadużywaś świętego zaufania, zabierając to biedne dziecko w taką fantastyczną podróż, albo że zawodzisz to wielkie zaufanie i sympatię, którymi ona cię darzy. No więc? — pyta, gdy nie odpowiadam.

Staram się jak mogę, by wyglądało na to, że dostałem za swoje, że - skoro nie mam racji - mylę się w rozpoznawalny, należyty sposób. Ale żadna odpowiedź nie przychodzi mi na myśl.

- Czy masz w ogóle pojęcie, jak się czułam, gdy niespełna dwanaście godzin po próbie samobójstwa Kate zniknęła bez śladu?

Obserwujemy miecz wsparty na jej palcu wskazującym, gdy ciotka upuszcza go na blat sekretarzyka; opada ze stukiem na mosiężny zawias żaluzjowego zamknięcia. Po czym, tak nagle, że omal nie podskakuję, ciotka wsuwa miecz do rycerskiej pochwy i kładzie dłoń płasko na sekretarzyku. Odwróciwszy ją,

wygina palce i przygląda się uważnie swoim paznokciom, poro-
ranym głębokimi podłużnymi bruzdami.

- Czy miałeś z Kate intymne kontakty?

- Intymne?

- Tak.

- Nie bardzo.

- Zapytam jeszcze raz. Czy miałeś z nią intymne kontakty?

- Tak przypuszczam. Choć „intymne” to niezupełnie od-
powiednie słowo.

- Tak przypuszczasz. „Intymne” to niezupełnie odpowied-
nie słowo. Zastanawiam się, jakie jest odpowiednie. Bo widzisz...
- mówi ze swoistym poczuciem humoru - ...jest jeszcze jedno z
moich ukrytych założeń. Przez wszystkie te lata zakładałam, że w
rozmowach między nami słowa oznaczają z grubsza to samo, że
wśród pewnych ludzi, mogę ich nazywać szlachetnie urodzo-
nymi, istnieje zbiór wspólnych znaczeń, że pewne zachowania i
pewne poczucie przyzwoitości są równie naturalne jak oddycha-
nie. W wielkich chwilach życia - sukcesów, niepowodzeń, mał-
żeństwa, śmierci — ludzie naszego pokroju zawsze posiadali wro-
dzoną zdolność postępowania, naturalną lojalność lub poczucie
przyzwoitości, tak mogę to nazwać. Wyznam ci coś. Nie wstydzę
się używać słowa „klasa”. Zgodzę się również z innym zarzutem.
Z zarzutem, że osoby przynależące do mojej klasy uważają się za
lepsze od innych ludzi. Masz absolutną rację: jesteśmy lepsi. Jeste-
śmy lepsi, ponieważ nie uchylamy się od swoich obowiązków wo-
bec siebie i innych. Nie jęczymy. Nie organizujemy grupy mniej-
szościowej i nie szantażujemy władz. Nie cenimy bylejakości przez
względ na miernoty. Jestem świadoma, że obecnie słyszemy wiele
pochlebnych rzeczy o waszym wspaniałym prostym człowieku...
zawsze było dla mnie bardzo wymowne, że jest on całkowicie usa-
tysfakcjonowany tym mianem. Bo też jest właśnie tym: prostym
człowiekiem, a gdy mówię „prostym”, mam na myśli kogoś pro-
stego jak budowa cepa. Nasza cywilizacja osiągnęła coś w rodzaju
światłości. Zostanie zapamiętana nie dzięki rozwiniętej technice

czy nawet wojnom, ale za swój nietypowy etos. Nasza cywilizacja jest jedyną w dziejach, która otoczyła czią mierność jako narodowy ideał. Inne były zdeprawowane, ale to nam należy się miano sprawców najbardziej pospolitej deprawacji. Żadnych orgii, żadnego rozlewu krwi na ulicach, żadnych niemowląt zrzucanych w przepaść. Nie, my jesteśmy ludźmi sentymentalnymi i z łatwością wpadamy w przerażenie. To prawda, nasza tkanka moralna gnije. Nasz charakter narodowy cuchnie jak diabli. Ale za to jesteśmy bardziej uprzejmi niż kiedykolwiek. Żadna nierządnicza nie popadała w czułość szybciej niż my, gdy wzruszą się nasze serca. Nie ma też nic nowego w złodziejstwie, lubieżności, kłamstwie i cudzołóstwie. Nowe natomiast jest to, że w naszych czasach kłamcy, złodzieje, dziwki i cudzołożnicy życzą sobie, żeby im jeszcze gratulowano, i otrzymują gratulacje od publiki, jeżeli tylko ich wyznania są wystarczająco psychologiczne lub przybierają wystarczająco czuły i autentyczny ton szczerości. Tak, jesteśmy szczerzy. Temu nie przeczę. Nie znam obecnie nikogo, kto nie jest szczerzy. Najbardziej szczerą znaną mi osobą jest Didi Lovell: ilekroć idzie z kimś nowym do łóżka, czyni to z największą szczerością. Jesteśmy najbardziej szczerymi Laodycejczykami, którzy trafili do szamba historii. Nie, mój młody przyjacielu, nie wstydzę się posługiwać słowem „klasa”. Powiadają, że uważamy się za lepszych. Masz cholerną rację, jesteśmy lepsi. I nie myśl, że o tym nie wiedzą... - Ciotka unosi miecz w stronę Prytania Street. - Coś ci powiem. Jeżeli ten osobnik jest ozdobą ekspozycji ukazującej rozwój ludzkiej rasy w minionych trzech tysiącleciach, to mogę tylko powiedzieć, że z radością zniknę z tego obrazu. Być może w sensie biologicznym jesteśmy mutantami. Nie jestem pewna. Ale jestem pewna jednego: żyjemy według własnych zasad, umieramy według własnych zasad i bez względu na to, kim są główni bogowie, spojrzymy im w oczy bez wstydu. — Ciotka obraca się na krześle twarzą do mnie; wcale nie jest taka ponura. - Zrobiłam dla ciebie, chłopcze, wszystko, co w mojej mocy. Dałam ci wszystko, co miałam. Nade wszystko chciałam ci przekazać jedyną spuściznę po mężczyznach z nasze-

go rodu: pewien przymiot ducha, wesołość, poczucie obowiązku, dyskretną szlachetność, wdzięk, delikatność wobec kobiet - jedyne dobre cechy, jakie kiedykolwiek miało Południe, i jedyne cechy, które naprawdę mają znaczenie w tym życiu. No cóż. Wciąż możesz mi jedno wyjaśnić. Wiem, że nie jesteś złym chłopcem - szkoda, że nie. Ale jak to się stało, że żadna z tych cech nigdy nic dla ciebie nie znaczyła? Bo najwyraźniej tak było. Zechciałbyś mi to wyjaśnić? Jestem naprawdę ciekawa.

Nie mogę oderwać oczu od miecza. Przed laty zgiąłem jego czubek, próbując otworzyć szufladę. Ciotka też na niego patrzy. Czy coś podejrzewa?

— Trudno byłoby mi to wyjaśnić. Mówisz, że żadna z cech, które wymieniłaś, nigdy nic dla mnie nie znaczyła. To nieprawda. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie zapomniałem niczego, co mi mówiłaś. Tak naprawdę zastanawiałem się nad tym całe życie. Moich zastrzeżeń, choć właściwie nie są zastrzeżeniami, nie da się wyrazić w zwykły sposób. Prawdę mówiąc, w ogóle nie umiem ich wyrazić.

— Rozumiem. Czy akceptujesz swoje postępowanie z Kate?

— Czy akceptuję? - Akceptować. Mrużę oko. - Sądzę, że nie.

— Sądziś, że nie. — Moja ciotka kiwa głową ponuro, niemal życzliwie, na swój ironiczny prawniczy sposób. — Wiedziałaś, że Kate ma samobójcze skłonności?

- Nie.

— Przejąłbyś się, gdyby się zabiła?

- Tak.

Po długim milczeniu ciotka pyta:

— Nie masz nic więcej do powiedzenia?

Kręcę głową.

Mercer otwiera drzwi i zagląda do pokoju, wyczuwa panującą w nim atmosferę i natychmiast się wycofuje.

— W takim razie wyjaśnij mi jedną rzecz. Tak, jedną rzecz! — mówi ciotka, rozpromieniając się, gdy po omacku dochodzi wreszcie do sedna sprawy. - Wyjaśnij mi to i już nic więcej nie będę chciała wiedzieć. Zakładałam, że darzyłeś Kate zaufaniem.

Być może moje założenie było błędne, ale wiem, że wiedziałeś, iż ona zażywa leki. Zgadza się?

- Tak.

- I zrobiłeś to, co zrobiłeś?

- Tak.

- Nic więcej nie masz do powiedzenia?

Milczę. Mercer zaczyna woskować podłogę. Właśnie na to starał się dostać pozwolenie. Nie myślę o niczym szczególnym. Na ulicy za oknem rozlega się wołanie i w pole mojego widzenia wchodzi Murzyn, o którym mówiła ciotka. To Cothard, ostatni z kominiarzy, cudaczny, czarny jak smoła Murzyn, odziany w surdut i powgniatany cylinder, niosący na ramieniu wiązkę liści boczni i ruszczyka kolczastego. Znowu rozlega się wołanie:

- *R-r-r-ramenez la cheminée du haut en bas!*

- Jedno ostatnie pytanie, żeby zaspokoić moją pustą ciekawość. Co się działo w twoim umyśle przez te wszystkie lata, gdy słuchaliśmy razem muzyki, czytaliśmy *Krytiasza* i rozmawialiśmy... a może to tylko ja mówiłam... dobry Boże, nie pamiętam... o dobru, prawdzie, pięknie i szlachetności?

Kolejne wołanie i *ramoneur* odchodzi. Nie mam nic do powiedzenia.

- Nie kochasz tych wartości? Nie kierujesz się nimi w swoim życiu?

- Nie.

- A co kochasz? Czym się kierujesz?

Milczę.

- Powiedz mi, w czym cię zawiodłam.

- Nie zawiodłaś.

- Co twoim zdaniem jest celem życia... chodzić do kina i flirtować z każdą dziewczyną, jaka się nawinie?

- Nie.

Na sekretarzyku leży otwarta księga rachunkowa, jedna z tych staromodnych, z marmurkową okładką, w których ciotka

zawsze prowadziła rejestr swoich nieruchomości, rozmaitych stacji obsługi, kanadyjskich kopalń, patentów - osobliwego do-robku biznesowego lekarza - pozostawionych jej przez starego doktora Willsa.

- Cóż. - Zamyka ją energicznie i uśmiecha się do mnie; ten uśmiech, bardziej niż wszystko, co zaszło tu wcześniej, wyznacza koniec naszej rozmowy. Uśmiechając się, podaje mi rękę w swoim dawnym towarzyskim stylu, z przekrzywioną na bok głową. Ale to właśnie fakt, że nie wypowiedziała mojego imienia, wyznacza mi nowy status. Tak mogłaby zwrócić się do dowolnej z wielu luźno z nią związanych osób, takich jak przybyli na festiwal Spring Fiesta turyści spotkani przypadkiem w holu jej domu.

Przechodzimy obok Mercera, który stoi z szacunkiem pod ścianą. Mamroc słowa powitania, które wskutek wyrafinowanej kalkulacji wyraża jego sympatię dla mnie, a zarazem jest deklaracją przywiązania do mojej ciotki. Kątem oka widzę, jak zwinnie, w szampańskim nastroju wskakuje do jadalni. Wychodzimy na werandę.

- Bardzo ci dziękuję, że wpadłeś — mówi ciotka, dotykając palcami naszyjnika i spoglądając przez moje ramię na dom Vaudrieulów.

Kate woła do mnie na rogu ulicy. Pochyla się do okna mojego MG, marszcząc bluzkę, energiczna jak stewardesa.

- Jesteś głupi, głupi jak but - mówi ze złowrogą miną.

- Słucham?

- Wszystko słyszałam, ty nędzny, głupi draniu - oświadcza, po czym, jakby się zapominając, bębni szybko paznokciami o przednią szybę. - Jedziesz teraz do domu?

- Tak.

- Zaczekaj tam na mnie.

2

To ponury dzień. Gentilly co jakiś czas omiatane jest wschodnim wiatrem od strony płonących torfowisk w Chef Menteur i miasto ogarnia fala pożądania.

Dziś są moje trzydzieste urodziny. Siedzę na „morskiej fali” na szkolnym podwórku, czekam na Kate i nie myślę o niczym. W trzydziestym pierwszym roku niewesołego pielgrzymowania po tej ziemi, wiedząc mniej niż wiedziałem wcześniej, nauczywszy się jedynie od razu rozpoznawać *merde*, odziedziczywszy po ojcu jedynie dobre wyczucie *merde*, wszystkich rodzajów gówna, które zyskuje aprobatę - to mój jedyny talent - wyczuwając *merde* ze wszystkich kierunków, żyjąc tak naprawdę w samym centrum *merde*, w wielkim sraczu naukowego humanizmu, w którym potrzeby są zaspokajane, każdy staje się kimkolwiek, serdeczną i twórczą osobą, i prosperuje jak żuk gnojak, sto procent ludzi to humaniści, a dziewięćdziesiąt osiem wierzy w Boga; ludzie są martwi, po trzykroć martwi. Niemoc osiadła w ich sercach niczym promieniotwórczy opad i ludzie naprawdę boją się nie tego, że bomba spadnie, ale tego, że nie spadnie — w te trzydzieste urodziny nic nie wiem i nie pozostaje mi nic innego jak paść ofiarą pożądania.

Pozostaje tylko pożądanie, ono zaś nadciąga przez Elysian Fields, wyjąc jak mistral. Zarzuciłem swoje poszukiwania; nie mogą się równać z moją ciotką, z jej prawością i rozpaczą, z jej rozpaczaniem nade mną i nad sobą. Ilekroć wychodzę od ciotki po takim poważnym wykładzie, muszę sobie znaleźć jakąś dziewczynę.

Po pięćdziesięciu minutach czekania na Kate na „morskiej fali” przestaję nad sobą panować. Co się z nią stało? Porozmawiała z ciotką i pozbyła się mnie. Nie pozostaje mi nic innego jak zadzwonić do Sharon do biura. Mała pagoda ze szkła i aluminium, stojąca na neutralnym gruncie Elysian Fields w samym centrum hałaśliwej strefy komunalnej, z zewnątrz jest ładna i

zadbana, ale w środku cuchnie. Odwracając się powoli, zwracam uwagę na napisane ołówkiem wierszyki i smutne karykatury onanistów; drut telefoniczny drży i nieruchomieje i znowu drży, a w przerwie słyszę w uchu swój oddech, jakby moje „ja” stało obok mnie i nie chciało mówić. Nikt nie odbiera telefonu. Czyżby Sharon zrezygnowała z pracy?

Jakieś dzieci weszły na plac zabaw po drugiej stronie ulicy; dwaj duzi chłopcy przewożą je na „morskiej fali”. Zwykle malcy jeżdżą tylko na karuzeli zainstalowanej tuż przy ziemi i obracającej się po jednej orbicie.

Muszę ją znaleźć, Rory. Teraz jest jasne, że ciotka ma rację, a Kate o tym wie, i że została jedynie Sharon. Wschodni wiatr przelatuje ze świstem pod okapem mojej pagody i dociska szyby do ram okiennych. Próbuję złapać ją w jej mieszkaniu. Sharon nie ma w domu, ale jest Joyce, Joyce z okna, Joyce od wydętych z przyganą ust i kurtki z koźlej skóry.

- Mówi Jack Bolling — informuje głos z dawnej Wirginii.

- Proszę, proszę.

- Zastałem Sharon?

- Wyszła ze swoją matką i Stanem. - Głos Joyce ma w sobie charakterystyczny dla mieszkanki Środkowego Zachodu wigor. Joyce mówi „mat-ko” i „pro-sze”. - Nie wiem, kiedy wróci. - Brzmieniem głosu przypomina siostrę Peppera Younga z radiowej sagi rodzinnej.

- Kto to jest Stan?

- Stan Shamoun, jej narzeczony.

- A tak, zgadza się. - Co się zgadza? Sharon nie tylko zrezygnowała z pracy. Wychodzi za tego makaroniarza. -A ty? Też wychodzisz za męża?

- Co to za pytanie?

- Od pewnego czasu chcę się z tobą spotkać.

- Właśnie sobie o czymś pomyślałam.

- O czym?

- Wczoraj panował Władca Nierządny...

- Kto taki? - Czyżby zaczęła opowiadać jakiś skomplikowany śródkowozachodni dowcip? Szczęząc zęby w obłąkańczym uśmiechu, powstrzymuję się ze wszystkich sił.

Joyce dalej mówi szelmowskim głosem o Władcy Nierządnym i gościu z Purdue University - niech mnie diabli, jeżeli kiedyś widziała jakiegoś.

Dwaj duzi chłopcy na placu zabaw rozpędzili „morską falę” na tyle, by móc wskoczyć na nią i utrzymywać jej prędkość kopnięciem w podłoże, gdy zbliży się do ziemi. Nienaoliwione gniazdo na słupie urządzenia wydaje infantylne melodyjne piski, a dzieci obejmują żelazne rozporki i odchylają w tył głowy, by z tej pozycji obserwować wirujący świat.

- Zastanawiam się, Joyce, czy mogę być z tobą szczerzy
- ten głos dochodzi do mojego ucha, ja sam zaś mam wrażenie, że milczę.

- Bardzo proszę. Lubię szczerych ludzi.

-Tak właśnie myślałem... - Marlon Brando w roli starego konfederaty: piskliwy głos, pełen podtekstów, porozumiewawczych mrugnięć i pożądlivych spojrzeń, a przede wszystkim pełen samozadowolenia. Cóż za wstrząs. Gada i gada. —Wiem, że niektórzy mogliby uznać to za trochę niekonwencjonalne, ale i tak ci to powiem. Pewnie tego nie pamiętasz, ale widziałem cię w zeszlą sobotę... - Słuchanie tych wynurzeń jest zbyt kłopotliwe.

- Pamiętam!

„Morska fala” kręci się bez ustanku, urządzając kocią muzykę i jazgocząc teraz bardzo donośnie; wewnętrzny ogranicznik ociera o słup i szarpie tak gwałtownie, że dzieci z całych sił trzymają się rozporek.

- Do domu przychodzę tylko na lunch - wyjaśnia Joyce.

- Ale może byś wpadł w sobotę wieczorem. Będzie parę dziewczyn. Moglibyśmy chyba wszyscy się wybrać do Pata O'Briena.

- Joyce pozuje na dużą dziewczynkę, jedną z dziewcząt gotowych jak ona do szalonej zabawy.

- Z całą pewnością.

Rozmyte światło słońca przedziera się przez dym Chef Menteur i zabarwia niebo na żółto. Elysian Fields lśnią niczym kadz z siarką; plac zabaw wygląda tak, jakby tylko on przetrwał koniec świata. W końcu dostrzegam Kate; jej mały plymouth zatrzymuje się przed przystankiem mojego autobusu. Ona siedzi tam niczym pilot bombowca, wsparta na kierownicy. Spogląda z ukosa na dzieci niewidzącym wzrokiem; mogłaby być mną, z oczami czarnymi jak sadza, nie wiadomo gdzie.

Czy to możliwe, że... Od dawna skrycie liczyłem na koniec świata i wraz z Kate, moją ciotką, Samem Yergerem i wieloma innymi ludźmi wierzyłem, że dopiero po końcu świata ci nieliczni, którzy ocaleją, wypełnią ze swoich kryjówek, sami odkryją, że są sobą, i będą żyć beztrosko sami jak dzieci pośród porośniętych pnączami ruin. Czy to możliwe, że - nie jest za późno?

„Iii-orr” piszczy „morska fala”, rozporcki migocą w złotym świetle, boczna ostona kołysze się niczym mała tancerka.

- Bardzo bym chciał, Joyce. Mogę przyprowadzić moją narzeczoną, Kate Cutrer? Chcę, żebyście ją poznały.

- No jasne, czemu nie - odpowiada Joyce w dziwacznej środkowozachodniej parodii języka swojej współlokatorki i prawdę mówiąc, w jej głosie słycać nutę ulgi.

Plac zabaw opustoszał. Sama szkoła jest pusta i zamknięta na cztery spusty. Samochody przejeżdżają z szumem po Elysian Fields, a w kamforowcach gwizdzą sójki. Piesi od czasu do czasu skręcają przy szkolnej bramie, ale nie kierują się do szkoły, lecz do kościoła w sąsiedztwie. Początkowo sądzę, że przyszli na ślub bądź pogrzeb, ale potem wychodzą, dwójkami i trójkami, i przychodzą następni. Później, gdy para młodych ludzi mija mnie, idąc powoli chodnikiem, dostrzegam smugi na ich czołach przy linii włosów. No jasne. Jest środa popielcowa. Sharon nie odeszła z pracy. W środę popielcową zamknięte są wszystkie filie firmy Cutrera.

Siedzimy w samochodzie Kate. To plymouth z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku, wysokie szare coupe, o które Kate, mimo wszystkich swoich wzlotów i upadków, sumiennie dbała; silnik pracuje z lekkim sykiem. Gdy Kate prowadzi auto - z pochyloną głową, z dłońmi ułożonymi symetrycznie na kierownicy, z lekko drżącą skórą u dołu ramion i swoimi akcesoriami: słomianą matą na fotelu, dozownikiem z chusteczkami oraz magnetycznym pojemnikiem na papierosy, rozłożonymi na stałych miejscach - łatwo uwierzyć, że ten lekki niewygodny samochodzik stopniowo przeobrażał się za sprawą swojej właścicielki, aż wszystkie jego nakrętki i śrubki stały się jej osobistą własnością. Gdy przyjeżdża ze stacji obsługi, a jego wąskie opony są jeszcze czarne i mokre od wody, nawet smar nie wydaje się zwykłym paskudztwem, ale bursztynowym sokiem ze smukłego drzewa jego osi.

- Czemu jej nie powiedziałeś o naszych planach? - Kate nie wypuszcza kierownicy z rąk i obserwuje ulicę. — Byłam w bibliotece i słyszałam każde słowo. Idiota.

Jest zadowolona. I pewna, że niczym idolowi z kolorowego magazynu udało mi się przyjąć pozę wielkiego stoika.

- Powiedziałeś jej? — pytam.

- Powiedziałam jej, że mamy się pobrać.

- A mamy?

- Tak.

- Co ona na to?

- Nic. Miała tylko nadzieję, że dziś po południu spotkasz się z nią.

- I tak muszę to zrobić.

- Dlaczego?

- Tydzień temu obiecałem jej, że powiem, co ma zamiar zrobić.

- A co masz zamiar zrobić?

Wzruszam ramionami. Mogę zrobić tylko jedną rzecz: słuchać ludzi, zobaczyć, jak wpasowują się w świat, pomagając im w

ich niewesołej podróży i otrzymywać pomoc z uzasadnionych własnym interesem powodów. Pozostaje tylko zdecydować, czy to powołanie najlepiej spełniać na stacji benzynowej, czy też...

- Pójdiesz na medycynę?
- Jeżeli ona będzie tego chciała.
- Czy to znaczy, że teraz nie możesz się ze mną ożenić?
- Nie. Masz przecież mnóstwo pieniędzy.
- W takim razie wyjaśnijmy to sobie.
- W porządku.
- Nie wiem, czy mogę dziedziczyć.
- Wiem, że nie wiesz.
- To zakrawa na kompletne szaleństwo.
- Tak.
- Lepiej zróbmy to szybko.
- Dobrze. -

Taksie boję.

Palec wskazujący Kate zaczyna penetrować sąsiadujący z nim kciuk, badając poszczególne strzępy poszarpanej skóry. Za nami zatrzymuje się nowy mercury w jaskrawym kolorze. Wyśiada z niego jakiś Murzyn i rusza do kościoła. Nie dość, że jest porządny, to w dodatku bardziej przypomina przedstawiciela klasy średniej, niż ktoś byłby w stanie uwierzyć: jego wąsy a la Archie Moore, to, jak się odwraca i widząc, że go obserwujemy, rzuca czujne spojrzenie na niebo; to, jak wyszarpuje chusteczkę z tylnej kieszeni, podrywając połę marynarki, i wyciera nos w magicznym pojednawczym geście (bo widzicie, byłem tu już wcześniej - to dla mnie zwykła formalność).

- Gdybym mogła mieć pewność, że wiesz, jak bardzo jestem przerażona, bardzo by mi to pomogło.

- Możesz mieć pewność.

- Nie tylko małżeństwem. Dziś po południu potrzebowałam papierosów, ale myśl o tym, by iść do drugostoru, sprawiła, że nogi się pode mną ugięły.

Milczę.

- Jestem przerażona, gdy jestem sama, i wtedy, gdy przebywam wśród ludzi. Uspokajam się jedynie wtedy, gdy jestem z tobą. Będziesz musiał spędzać ze mną sporo czasu.

- Dobrze.

- Chcesz tego?

- Tak.

- Moja terapia będzie długa.

- Wiem o tym.

- I nie jestem pewna, czy kiedyś się zmienię. Czy naprawdę się zmienię.

- Mogłabyś.

- Ale chyba już widzę sposób. Wydaje mi się, że gdy będziemy często razem, a ty będziesz mi wyjaśniał najprostsze rzeczy i nie będziesz się ze mnie śmiał... błagam cię, na litość boską, byś nigdy się ze mnie nie śmiał... i mówił mi na przykład: „Kate, możesz spokojnie iść do drugostoru”, i mnie całował, to wtedy ci uwierzę. Będziesz tak robił? - mówi z nie całkiem szczerą powagą, z nieco wystudiowaną powagą Sarah Lawrence.

- Będę.

Zaczęła skubać kciuk na poważnie, odrywając strzępki skóry. Chwytam jej dłoń i scałowuję z niej krew.

- Ale musisz spróbować nie ranić się tak mocno.

- Spróbuję! Spróbuję!

Murzyn wyszedł już z kościoła. Jego czoło ma nie wiedzieć czemu kolor sjeny i jest nakrapiane - nie sposób być pewnym, że zostało posypane popiołem. Gdy wsiada do swojego auta, nie odjeżdża od razu, ale siedzi wpatrzony w coś, co leży na fotelu obok. Teczka z próbkami? Warunki ubezpieczenia? Obserwuję go bacznie w lusterku wstecznym. Nie wiadomo, dlaczego tu przyjechał. Czy to nieodłączna część złożonego procesu poprawiania swojej sytuacji życiowej? Czy dlatego, że wierzy, iż sam Bóg jest obecny tutaj, na rogu Elysian Fields i Bons Enfants? Czy też zjawił się tutaj z obydwu powodów: wskutek jakiegś

zagadkowej olśniewającej łaskawości losu przychodzi po jedno i otrzymuje drugie jako natrętnie wciśniętą premię od Boga? Nie wiadomo.

Rozdział szósty

Tak skończył się trzydziesty rok mojej wędrówki do nieba, jak nazwał życie poeta.

W czerwcu ja i Kate pobraliśmy się. Udało mi się zamknąć swoje sprawy służbowe w Gentilly i udać się z ciotką w podróż do Karoliny Północnej szybciej, niż się spodziewałem, ponieważ Sharon, obecnie pani Stanleyowa Shamoun, posiadała na tyle dobrą znajomość rzeczy, że mogła samodzielnie załatwiać sprawy nielicznych latem klientów, przynajmniej do czasu, aż zdołano by znaleźć mojego następcę. W sierpniu pan Sartalamaccia kupił mój klub myśliwski za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Gdy we wrześniu rozpoczęły się zajęcia na wydziale medycyny, Kate znalazła dom niedaleko mieszkania macochy, jeden z bardzo długich domków odnowionych przez moją kuzynkę Neli Lovell i bardzo odpowiadających gustowi mojej żony. Z drzwiami barowymi otwierającymi się do kuchni, grafitowymi żaluzjami i odlanym z ołowiu św. Franciszkiem na patio.

Moja ciotka bardzo mnie polubiła. Gdy tylko pogodziła się z tym, co sama mówiła przez te lata - że rodzina Bollingów podupadła, a ja nie jestem jednym z jej idoli, ale bardzo zwy-

czajnym facetem - nasze stosunki stały się bardzo dobre. Zarówno ona, jak i Kate uważają, że jestem komiczny i świetnie się bawią moim kosztem.

Rankiem w Mardi Gras następnego roku stryj Jules doznał w Boston Club drugiego ataku serca, wskutek czego później zmarł.

W maju następnego roku, kilka dni po swoich piętnastych urodzinach, mój brat przyrodni Lonnie Smith zmarł z powodu ciężkiej infekcji wirusowej, której nigdy nie rozpoznano.

Jeśli chodzi o moje poszukiwania, nie mam ochoty rozwozić się na ten temat. Po pierwsze, nie jestem władny, jak oszajmiał wielki duński filozof, mówić o takich sprawach, nie pouczając. Po drugie, nie mogę pouczać, bo jest już na to za późno, o wiele za późno, by pouczać lub zrobić coś więcej niż znaleźć się w odpowiednim miejscu, gdy nadarzy się okazja - o ile tyranizowanie istotnie różni się od pouczania.

Ponadto jestem przecież członkiem rodziny mojej matki, więc oczywiście wystrzegam się tematu religii (przede wszystkim „religia” to słowo osobliwe; to coś, do czego należy odnosić się podejrzliwie).

I dlatego wydaje się, że nadeszła odpowiednia pora, by skończyć z powściągliwością, prawie niespotykaną w dokumentach tego rodzaju.

Na dzień przed śmiercią Lonniego Kate nagle nabrała ochoty na to, by go odwiedzić. Zwykle zabieram ją z gabinetu Merle[^], podwożę do domu jej macochy i jadę do centrum, gdzie załatwiam dla ciotki Emily kilka drobnych spraw służbowych w biurze stryja Julesa. Dzisiaj jednak musimy tylko przejść przez ulicę z gabinetu doktora Minka do szpitala Touro.

Mam pewne wątpliwości co do sensowności pomysłu Kate. Był to lekkomyślny babski kaprys, coś, co prywatnie nazywam podwojeniem, czyli duplikacją: jak wtedy, gdy pod wpływem

uniesienia nagle zachciało się jej polecieć do Dallas i usłyszeć Marian Anderson; wydawało się jej, że można to tak po prostu zrobić. Nie chce przez to powiedzieć, że Kate przejmuję się tym, co jest modne: nie, po prostu wydawało jej się, że to dobry pomysł- coś, co robi się w tych okolicznościach, gdy jest się osobą, która... itd. - więc to zrobiła. Poza tym nie widziała Lonniego od chwili, gdy zachorował, i choć starałem się ją przygotować na zmianę w jego wyglądzie, nie była na to gotowa.

Po wizycie szła ulicą niepewnym krokiem, gryząc kłykie, z oczami zasnutymi przez łzy.

- O mój Boże, jakie to straszne.
- Nie powinienem był pozwolić ci tam iść.
- To było jak cios w twarz.
- Przykro mi.

- Ten biedny chłopiec... jest tak okropnie chudy i żółty, jak jeden z tych ludzkich wraków leżących na wagonie-platformie kolejowej w Dachau. Czemu tak zżółkł?

- Ma zapalenie wątroby.

- Jak możesz być taki nieczuły? Będziesz gruboskórny i przemądrzały niczym student medycyny? Jak ja tego nienawidzę! Przecież on umiera!

- Wiem o tym.

- Co takiego wyznał ci szeptem?

- Powiedział, że zwalczył skłonność do nałogów.

- Co to znaczy?

- Powiedział też, że bardzo atrakcyjna z ciebie dziewczyna.

- Serce mi się kraje! - Idziemy w milczeniu. - I jego biedni rodzice. Widziałeś, jak pan Smith wyszedł na korytarz i płakał jak małe dziecko?

- Tak.

- Aż litość bierze.

Przystaje, żeby wytrzeć nos. Jej gęste stalowoszare włosy rozdziela szeroki, nierówny przedziałek. Całuję białą skórę na jej głowie.

- Bardzo dobrze dzisiaj wyglądasz. - W ubiegłym roku Kate przytyła; jej ramiona lśnią jak lamparcie futro.

Jest przerażona.

- Proszę, przestań. - Skubie kciuk. - Masz w sobie coś przerażającego.

- Muszę znaleźć działwę. - Gdy stan Lonniego pogorszył się wczesnym rankiem, moja matka musiała przywieźć ze sobą wszystkie dzieci, wszystkie oprócz Jean-Paula. Od ósmej siedzą w samochodzie.

Therese spostrzega mnie i wysuwa swą spiczastą twarz przez okno.

- Jak Lonnie się czuje? - pyta, próbując naśladować jego ruchy.

- Jest bardzo chory.

- Umrze? - pyta w charakterystyczny dla siebie, oszczędny sposób mała mądrała.

- Tak. -Wsiadam tyłem, żeby ich widzieć. Kate uśmiecha się do dzieci i staje z dala od samochodu. - Ale nie chciałby, żebyście się smucili. Kazał was ucałować i powiedzieć, że was kocha.

Nie są smutni. To bardzo poważna i rzadko poruszana sprawa. Szukają gwałtownie w moich oczach sposobów na przedłużenie tej rozmowy, tej zabawy w poważne mówienie i poważne słuchanie.

- My też go kochamy - mówi Mathilde, łkając.

- Pocałuj najpierw nas! — wołają Donice i Clare z tylnego siedzenia.

Mathilde łka na mojej piersi, a Therese przygląda mi się przenikliwie.

- Otrzymał namaszczenie? - pyta swoim jednostajnym, brzęczącym głosem pszczoły matki.

- Tak.

- To bardzo dobrze.

Tylko te dwie dziewczynki odczuwają smutek, ale w skrytości ducha są też dumne, że zrozumiały rozgrywającą się tragedię.

Donice dalej szuka sposobu na przedłużenie rozmowy.

- Binx - mówi, po czym chyba zapomina, co chciał powiedzieć. — Gdy nasz Pan wskrzesi nas w dniu ostatnim, Lonnie nadal będzie na wózku czy będzie taki jak my?

- Będzie taki jak wy.

- To znaczy, że będzie mógł jeździć na nartach? - Dzieci zadzierają głowy i słuchają jak starcy.

- Tak.

- Hurra! - krzyczą bliźnięta, czynią to jednak trochę bez przekonania, wsłuchując się w brzmienie swoich głosów.

- Słuchajcie - mówię ze śmiechem. - Chcielibyście wybrać się do Audubon Park i pojeździć pociągiem?

- Tak! Tak!

- To poczekajcie. Zaraz wrócę.

- My też cię kochamy, Binx! - krzyczy Donice dla zabawy i wychyla się mocno z okna. - Odwiedzisz nas?

- Jasne. A teraz uciszcie się. Chcę porozmawiać z Kate.

Kate spogląda w stronę auta.

- Byłeś dla nich bardzo miły.

- Dziękuję.

- Co się stało?

- Nic. Wyświadczysz mi przysługę?

- Słucham.

- Będę tu cały dzień z Lonniem i dziećmi. Pojedziesz do centrum i odbierzesz za mnie w biurze obligacje państwowe? Twoja matka znowu postanowiła trzymać je w domu. Uważa, że w razie wybuchu wojny jej biurko jest bezpieczniejsze niż sejf. Pojedziesz?

- Sama?

- Tak. Możesz pojechać tramwajem w dół St Charles Avenue. Dobrze jest usiąść przy otwartym oknie.

- Skąd miałabym wiedzieć, o co mam prosić?!

- Nie musisz wiedzieć. Zadzwoń do pana Klostermanna i on wręczy ci kopertę. Oto, co masz zrobić: wsiądź do tramwaju,

wsiądź przy Common Street, wejdź prosto do biura. Pan Klostermann da ci kopertę... nie będziesz musiała nic mówić... a potem wsiądź do tramwaju w tym samym miejscu. Pojedzie dalej Canal Street i wróci w górę St Charles.

- Nie mam pieniędzy.

- Proszę.

Kate przygląda się ćwierćdolarówce w swojej dłoni.

- Jeszcze tylko jedno. Nie chodzi o to, że się boję. - Patrzy na kwiat jaśminu wystający przez żelazne ogrodzenie. Zrywam go i podaję jej.

- Jesteś słodki — mówi niespokojnie. - A teraz mi powiedz...

- Co?

- Czy gdy będę w tramwaju... będziesz o mnie myślał?

- Tak.

- A jeżeli nie dam rady?

- Wsiądź i idź do domu.

- Muszę się jeszcze upewnić co do jednego.

- Słucham.

- Mam usiąść przy oknie od strony jeziora i położyć jaśmin na kolanach?

- Zgadza się.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Sześć metrów dalej Kate odwraca się.

- Pan Klostermann?

- Pan Klostermann.

Patrzę, jak z jaśminem przy policzku idzie w stronę St Charles Avenue, dopóki moi bracia i siostry nie zaczynają krzyczeć z samochodu za moimi plecami.